

ANDRZEJ KWIECIEŃ
METAMORF



TE PULPIONS

ANDRZEJ KWIECIEŃ
METAMORF



ANDRZEJ KWIECIEŃ
METAMORF



Matt wgrzył się w szyję mężczyzny i zaczął pić jego krew. To było nasze pierwsze wspólne zadanie i uprzedzono mnie, czego mogę się po nim spodziewać. Myślałem, że jestem na to przygotowany. Śmierć nie robiła już na mnie wrażenia – od lat stanowiła istotną część mojego życia i zdążyłem się z nią oswoić, tak jak oswajało się z przewlekłą chorobą. Dotychczas jednak nie zdarzało mi się sterczeć w nocy w ciemnym zaułku i patrzeć, jak ktoś ssie krew, pomrukując przy tym z zadowoleniem. Kurwa, nawet mu nie przeszkadzało, że zagryziony typ wciąż drgał i charczał!

Po jakichś trzydziestu sekundach Matt skończył, wytarł rękawem brodę i wstał. Musiałem wyglądać zabawnie z twarzą wykrzywioną grymasem obrzydzenia, bo gdy na mnie spojrział, uśmiechnął się krwisto.

– Wszystko w porządku, Arth? – spytał z cieniem drwiny w głosie.

– Wszystko okej – odpowiedziałem, z trudem powstrzymując atak torsji.

– To dobrze. Lepiej, żebyś mi tu nie zemdłał, bo musiałbym cię resuscytować. – Przetarł palcami kąciki ust, oblizał się końcówką języka.

– Wolałbym nie.

Matt zrobił minę obrażonej panienki, po czym wrzucił ramionami, rozebrał się do naga i w teatralnym geście wznosił rozłożone ręce ku niebu, jak artysta domagający się zasłużonych owacji. Zdążyłem tylko pokręcić głową z niedowierzaniem, gdy zaczęła się metamorfoza. Ciało stojącego przede mną mężczyzny zapadało się w sobie pod wpływem wewnętrznych sił. Mięśnie zanikały, jak gdyby ktoś spuścił z nich powietrze. Głośne chrupnięcia towarzyszyły kurczącym i przesuwającym się kościom. Stawy wyginały się, przez co Matt przyjmował groteskowe pozy, niczym kukielka w rękach początkującego kuglarza. Gładka, atletyczna klatka piersiowa stała się płaska, a wokół sutków wykwitły rude i siwe włosy. Skóra pozbawiona ciała, na którym jeszcze przed chwilą się opinała, zafalowała jak luźny żagiel. Z każdym ruchem kurczyła się i dopasowywała do nowej zawartości. Straciła brązową opaleniznę, zrózowiała i pokryła się cętkami piegów. Pod kolanem i na lekko wzdętym brzuchu pojawiły się stare, blade blizny. Kwadratowa szczęka modela wydłużyła się i pokryła zarostem, w rozszerzonych nozdrzach wyrosły włosy. Matt mrugnął i jego źrenice – dotąd idealnie niebieskie – zmieniły barwę na brązową. Wyregulowane brwi zgęstniały i przyprószyły się siwizną, a linia włosów cofnęła się i uformowała zakola w przerzedzonych włosach.

Wszystko to trwało najwyżej kilkanaście sekund. Po tym czasie zamiast dobrze zbudowanego trzydziestolatka miałem przed sobą podstarzałego, łysiejącego kurdupla – idealnego sobowtóra nieboszczyka leżącego na ziemi. Nie tak wyobrażałem sobie miliardera Craiga Dhorena.

Nowy Dhoren niezgrabnym krokiem podszedł do samochodu i z tylnego siedzenia podniósł sportową torbę. W środku znajdowały się takie same ubrania, jakie miał na sobie denat. Nieco luźny brązowy garnitur, biała koszula i wzorzysty krawat. Matt założył to wszystko na siebie, po czym dopełnił przeobrażenia staromodnymi okularami w okrągłych oprawkach.

– Jak wyglądam? – zapytał obco brzmiącym głosem i rozchylił poły marynarki, obracając się wokół własnej osi.

– Chujowo – odpowiedziałem zgodnie z prawdą i wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki minichłodziarkę z zestawem strzykawek. Klęknąłem na klatkę piersiową denata, uważając przy tym, żeby nie ubrudzić sobie spodni krwią. Moje osiemdziesiąt pięć kilo sprawiło, że Dhoren wykonał swój ostatni wydech. Odchyliłem jego głowę na bok, poszukałem na szyi odpowiedniej żyły, wkłułem się w nią na całą długość igły i odciągnąłem tłoczek. Ciemna krew zaczęła wypełniać strzykawkę. Standardowa procedura. Firma dbała o to, by przydatny kod genetyczny nie przepadł bez śladu, a specjalna chłodziarka gwarantowała, że krew będzie tak samo świeża za pięćdziesiąt lat jak w chwili pobrania. Napełniłem trzy strzykawki, zamknąłem je w chłodziarce i schowałem ją do kieszeni kurtki.

Wstałem z kolan i spojrzałem na wylot zaułka. Desmina Strip Club – staroświecki neon walił czerwienią po oczach. Nie przestawało mnie zadziwiać, dlaczego człowiek pokroju Dhorena wybrał Desminę na miejsce spotkania. Słowo daję, w całym mieście nie znalazłem nędzniejszej speluny. Smród potu i rozlanej wody, głupekowato uśmiechnięte gęby podnieconych frajerów i dziewczyny mogące robić za miniaturowe laboratoria w centrum chorób zakaźnych. Craig Dhoren pasował do tego miejsca jak fiut do gilotyny. Gość ma... miał wszystko. Miliardy na koncie, wille, jachty, odrzutowce, małaletnie dziwki z każdego zakątka świata, dostarczane na zawołanie, i przyjaźń ludzi potrafiących wyciągnąć go z dupy samego Lucyfera. A jednak wciąż było mu mało. Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że brakowało mu prawdziwych emocji, z rodzaju tych, których nie da się kupić za pieniądze, albo chciał pokazać kolegom, jakim jest twardzielem. Mógłbym mieć takie problemy, naprawdę. Zresztą, mniejsza o to. Miliarder czy nie, za chwilę nie zostanie po nim ślad.

Czasami firma zabezpieczała ciała celów, ale najwyraźniej w przypadku Dhorena nie miała dalekosiężnych planów i nie otrzymałem takiego polecenia. Zapakowałem nieboszczyka do kontenera na śmieci i wylałem na niego Genx-Del i Tpir N3 – każdego po pięć litrów, prosto z butli. Osobno można było te gówna nawet pić, za to zmieszane sprawiały, że w kilkudziesiąt sekund ciało zamieniało się w mokrą breję i wyparowywało bez śladu. Z człowieka nie zostawało nic. Nada. Zero. Czysta magia. Właśnie taką kąpiel do nicości zafundowałem Dhorenowi, prezesowi ArmTec Industries i przyjacielowi sekretarza obrony. Nie ma co, ego pęczniało jak trup w upalny dzień.

Skończyłem i spojrzałem na zegarek. Mieliśmy jakieś osiem godzin na załatwienie sprawy. Osiem godzin. Aż nie mogłem w to uwierzyć. Żaden z moich wcześniejszych podopiecznych nie zbliżył się nawet do połowy tego czasu. Cała akcja powinna zabrać

nam nie więcej niż trzy, więc z pięcioma w zapasie nie było się czego obawiać. W teorii. W rzeczywistości wolalem nie ryzykować i nie zwlekać zbyt długo. Matt miał modelowe rekordy stabilności, ale z tymi arcydziełami biotechnologii i inżynierii genetycznej nigdy do końca nie było wiadomo.

Z bagażnika samochodu wyciągnąłem czarną walizkę, położyłem ją na masce i otworzyłem. Monitor umiejscowiony w wieku włączył się i zainicjował proces autoryzacji. Przyłożyłem kciuk do czytnika i poczułem ukłucie igły pobierającej materiał genetyczny oraz sprawdzającej ciepłość ciała. Gdy weryfikacja potwierdziła, że nadal jestem tym samym i wciąż żywym sobą, otrzymałem dostęp do konsoli sterującej insertera.

Urządzenie służyło do bezinwazyjnego transferu jaźni. Nigdy nie byłem wybitnym znawcą ani wielbicielem technologii, ale nawet ja musiałem przyznać, że to cudem było niesamowite. W niecałą minutę potrafiło przesłać i zainstalować w mózgu pełen obraz świadomości dowolnej osoby. Oczywiście, zwykły człowiek nie miałby się najlepiej po czymś takim, ale od czego mieliśmy metamorfy? W mózgach Matta i jego kolegów przez ograniczony czas mogły współistnieć dwie świadomości: ich własna i dodatkowa, dowolnej osoby. Po transferze jaźni metamorf myślał, mówił i zachowywał się jak człowiek, pod którego się podszywał, a dodatkowo miał całą jego wiedzę i wspomnienia. Jednocześnie świadomość własna metamorfa pozostawała nadrzędna. Stawała się jego wolą i sumieniem.

Wpisałem swój PIN i uruchomiłem skróconą procedurę sprawdzającą. Przewód insertera, ułożony na spodzie walizki, rozświetlił się na niebiesko, a diody wbudowane we wtyczkę zaczęły migać czerwienią, stopniowo zmieniając kolor na zielony, w miarę potwierdzania sprawności podzespołów. Gdy urządzenie zgłosiło gotowość do pracy, konsola pozwoliła mi wybrać zapis osobowości Dhorena, wykradzony przed kilkoma godzinami z banku jaźni.

– Gotowy? – rzuciłem w kierunku Matta kręcącego się kilka metrów ode mnie i najwyraźniej próbującego oswoić się z nową fizycznością.

– Tak – odpowiedział i podszedł do samochodu. – Ależ to ciało jest chujowe! Bycie tym gościem uszkadza mi psychikę.

– Da się bardziej?

– Dobre pytanie – odpowiedział Matt.

Oparł się tyłem o błotnik i podskoczył, próbując usiąść na masce. Wątle ramiona nie sprostały wyzwaniu i uderzył krzyżem w bok samochodu.

– Kurwa... Mówiłem, że chujowe – wydusił z siebie, kucając z bólu.

– Spróbuj się nie zabić przed zakończeniem zadania. – Chwyćłem go pod ramię i pomogłem mu wstać. – W porządku?

Matt skinął głową, rozmasowując potłuczone miejsce.

– Oprzyj się o samochód i stój przez chwilę spokojnie. – Wsunąłem mu do portu za uchem wtyczkę insertera i czekałem, aż urządzenie skończy skanować mózg. Po trzydziestu sekundach konsola zaraportowała, że nie widzi przeciwwskazań do namieszania mu w głowie. – Zaczynam.

– Dobra, dawaj to – potwierdził Matt i przymknął oczy.

Uruchomiłem transfer. Pozornie nic się nie działo, ale wystarczyło przyrzeć się twarzy Matta, by dostrzec nienaturalnie szybkie ruchy gałek ocznych pod zamkniętymi powiekami – nieodzowny znak postępującego przenoszenia jaźni. Wszystko poszło gładko i po minucie nawet matka by się nie zorientowała, że nie ma przed sobą swojego syna. Fascynujące i przerażające zarazem. Uroki życia w XXII wieku.

* * *

– Witamy, panie Dhoren!

Selekcjoner Desminy, chłystek przed trzydziestką ubrany w kolorowy, połyskujący garnitur i z tlenionymi włosami postawionymi na sztorc, ewidentnie nie mógł powstrzymać ekscytacji na widok Dhorena. Gdy tylko dostrzegł go idącego chodnikiem, zeskoczył z wystawionego przed wejściem do klubu stołka barowego i uklonił się z przesadną uniżonością. Szkoda, że nie został z twarzą wlepioną w chodnik, bo ta aż się prosiła o korektę plastyczną, i to z rodzaju tych wykonywanych kijem bejsbolowym.

Selekcjoner nie był sam. Za jego plecami, przy drzwiach stało dwóch czarnoskórych olbrzymów. W życiu nie widziałem takiej kupy mięcha w człekokształtnej postaci dodatkowo wyposażonej w masywne wszczepy. Te dwa mutanty roztaczały taką aurę, że nawet samochody zjeżdżały na drugą stronę ulicy. Gdy do nich podeszliśmy, ochroniarze wyprostowali się, wypięli klaty i splekli na nich dłonie. Na ich grubych palcach połyskiwały złote sygnety mogące przy jednym uderzeniu zedrzyć pół twarzy do kości.

– Wszystko załatwione wedle życzenia. Pańscy goście już czekają. Kazałem dziewczynom się nimi zaopiekować – powiedział podekscytowany selekcjoner i dopiero wtedy zwrócił na mnie uwagę. – Przyszedł pan z ochroniarzem? – Odruchowo cofnął się o krok w stronę swoich goryli. Może nie był wcale taki głupi, na jakiego wyglądał? Przynajmniej miał instynkt samozachowawczy.

Olbrzym z bioniczną gałką oczną przypominającą metalową kulę otaksował mnie pogardliwym wzrokiem. Zrewanżowałem mu się tym samym, wzmacniając przekaz wyprostowanym środkowym palcem. Zacisnął szczęki, rękawy marynarki opięły się na ramionach. Zdecydowanie poczuł do mnie miętę. Zapewne kusilo go, żeby wkomponować moje dupsko w chodnik, ale spojrzenie selekcjonera utrzymało go w miejscu, a ja postanowiłem nie kusić dłużej losu. Doświadczenie mówiło mi, że jeżeli ktoś wygląda jak góra, to walczy z dynamiką góry, ale czasami można było trafić na wyjątek od tej reguły.

– Czy to jakiś problem? – zapytał Dhoren tonem jednoznacznie sugerującym, jakiej oczekuje odpowiedzi.

– Ależ skąd, panie Dhoren! Nie ma najmniejszego, po prostu zawsze przychodził pan sam... – Selekcjoner zerknął na niewielką walizkę niesioną przez Dhorena i zamilkł.

Nie spodobało mi się to spojrzenie. Za bardzo przypominało wzrok, jakim spogląda się na roczną premię. Chłystek zauważył moją reakcję, uśmiechnął się oblesnie i ręką

wskazał na drzwi lokalu.

– Zapraszam do klubu.

Ochroniarze rozstąpili się i otworzyli przed nami skrzydła drzwi. Na chodnik wylały się odgłosy stłumionej muzyki, słodkawy zapach perfum i czerwień świateł. Czarne ściany holu zdobiły neony uformowane na podobieństwo postaci w erotycznych pozach. Zza kontuaru ustawionego po prawej stronie służbowym uśmiechem przywitała nas recepcjonistka o azjatyckich rysach i pomarańczowych włosach sięgających ramion. Jej czarny kombinezon uwidaczniał detale ciała tak dobrze, jakby był drugą skórą i stanowił zapowiedź tego, co czekało za kolejnymi drzwiami. W głębi korytarza, przy bramkach skanujących stało kilku ochroniarzy wyraźnie różnych od tych sprzed wejścia. Wykorzystałem zoom w soczewkach i przyjrzałem się im dokładniej. Krępi, szybcy i najprawdopodobniej doświadczeni w walce, biorąc pod uwagę różnorodność prezentowanych blizn i augmentacji. Niedobrze. Służyłem kiedyś z podobnymi kolesiami i aż za dobrze wiedziałem, że do powstrzymania takich ludzi potrzebna jest rakietka, i to wpakowana prosto w czoło. Pech chciał, że żadnej przy sobie nie miałem.

– Miło pana znowu widzieć, panie Dhoren – odezwała się recepcjonistka, wychodząc z za kontuaru.

– Ciebie również, Jiao. Stęskniłaś się? – Na twarzy biznesmena pojawił się uśmiezek, a jego ręka wylądowała na biodrze kobiety.

– Bardzo – odpowiedziała recepcjonistka, odsuwając dłoń Dhorena. – Czy pana towarzyszy dołączy do spotkania? – Jiao rzuciła mi krótkie spojrzenie.

– Nie, nie ma takiej potrzeby.

– Rozumiem. Proszę za mną.

Kobieta ruszyła przodem, ukazując odsłonięte aż do pośladków plecy, ozdobione wizerunkiem węża. Ruchomy tatuaż wykonany aktywnym tuszem składał się z milionów mikropikseli, które generowały obraz gada wylaniającego się spod kombinezonu i przesuwał się syczącą głowę między łopatkami.

Przeszliśmy przez bramki, ignorując ostrzegawcze brzęczenie. Żaden z ochroniarzy nie próbował nas zatrzymać i nie pytał, czy mamy przy sobie broń. Nie było sensu marnować oddechu na takie oczywistości. W pracy zawsze towarzyszył mi wojskowy pistolet, któremu bliżej było do prostych konstrukcji z XX wieku niż do współczesnych cywilnych modeli. Powszechnie dostępne pistolety, odblokowywane czytnikiem kodu genetycznego, wyposażone w kamerę transmitującą na żywo informacje do najbliższego posterunku policji, nie były odpowiednim narzędziem w mojej pracy. Chyba że chciałbym bardzo długich wakacji...

Pogrążona w półmroku główna sala Desminy, w której się znaleźliśmy, prezentowała się zupełnie inaczej niż podczas mojej ostatniej wizyty sprzed kilku lat. Snopy świateł opadały z sufitu na podesty rozstawione po całym pomieszczeniu, gdzie wokół rur wily się dziewczyny i chłopcy o urodzie mogącej zaspokoić wszelkie gusta i preferencje. W większości wyglądali na zbyt młodych jak na miejsce, w którym się znajdowaliśmy, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby w rzeczywistości byli starsi ode mnie. Przy stolikach

ustawionych wokół podestów siedzieli klienci i popijając drinki, nagradzali co jakiś czas wysiłki tancerzy, wciskając przycisk na kontrolerze napiwków. Pomiędzy nimi kręciły się skąpo ubrane kelnerki, dbające o to, żeby żaden z gości nie męczył się z pustym szkłem. W głębi sali, obok schodów prowadzących na antresolę z prywatnymi pokojami, znajdowała się scena, na której stał czarny fortepian. Prawą stronę zdominował bar ze szklanymi półkami zastawionymi alkoholem i podświetlony rzędami czerwonych, fioletowych i niebieskich neonów. Całość uzupełniały ciągnące się wzdłuż ścian i obite pikowaną skórą łóżka z okrągłymi stolikami, stonowana muzyka oraz przyjemny zapach kojarzący się z salonem masażu. Innymi słowy: cywilizacja w pełnym rozkwicie.

Recepcjonistka zatrzymała przechodzącą obok blondynkę o kręconych włosach mającą na sobie, poza szpilkami, jedynie przezroczystą bieliznę i wyszeptła jej do ucha kilka słów, po czym zwróciła się do mnie.

– To jest Cli. Zaopiekuje się panem. Drinki i wszystkie usługi oczywiście na koszt firmy.

Podziękowałem skinięciem głowy i dałem się poprowadzić w stronę baru, podczas gdy Dhoren w towarzystwie Jiao zniknął za drzwiami pokoju VIP-ów.

Moja eskorta usadziła mnie przy barze i sama zajęła miejsce obok.

– Czego się napijesz, przystojniaku? – Głos dziewczyny miał barwę przywołującą na myśl kobiety z filmów noir z lat czterdziestych XX wieku. Głęboki, lekko ochrypliwy, seksowny.

– Whisky będzie idealna.

Cli podniosła rękę i skinęła na barmana stojącego przy przeciwnym końcu baru.

– Whisky dla mojego nowego przyjaciela – zarządziła, gdy mężczyzna przypominający nieco starszą i ubraną wersję chłopców tańczących na murze zbliżył się do nas. – Dla mnie to samo co zwykle.

Barman postawił przede mną szklanekę, wrzucił do niej dwie kostki lodu i zalał dno whisky.

– Czytasz mi w myślach – powiedziałem, unosząc szklanekę do ust.

– Za to mi płacą – odparł z uśmiechem barman i zaczął przygotowywać drinka dla mojej opiekunki.

– Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – zapytała dziewczyna, mrużąc zalotnie oczy. – Jestem cała do twojej dyspozycji. Cała.

– Dziękuję i doceniam, ale whisky na razie wystarczy.

– Jesteś pewien? – Cli zbliżyła się do mnie na tyle, że poczułem zapach jej perfum. – Nie wiesz, co tracisz.

– Tak, jestem pewien – odpowiedziałem najuprzejmiej, jak potrafiłem. – Na razie wolałbym pobyc sam i pomyśleć.

– Jak sobie życzysz, przystojniaku. Znajdź mnie, gdybyś zmienił zdanie. – Cli zabrała z blatu przygotowany drink i ruszyła pomiędzy stoliki.

– To jej wizytówka. – Barman położył przede mną półprzezroczysty prostokąt. – Naciśniesz ten przycisk i przyjdzie do ciebie. – Wskazał umiejscowiony w rogu różowy

trójką i odszedł do następnego gościa.

Uniosłem wizytówkę i przyglądałem się jej przez chwilę. Wyświetlała klip prezentujący wdzięki i umiejętności Cli. Zdecydowanie nie można było odmówić dziewczynie zaangażowania, ale i tak nie zamierzałem skorzystać z jej usług.

Odłożyłem wizytówkę, upiłem łyk whisky i wywołałem na soczewce oka dane Dhorena. Firma troszczyła się o swoją własność i każdy metamorf miał wszczepiony analizator do monitorowania przemiany. Mimowolnie uśmiechnąłem się i pokręciłem głową z uznaniem. W życiu nie widziałem stabilniejszych parametrów. Wszystkie linie wyglądały jak z wzorcowego modelu, a nie prawdziwego metamorfa. Zminimalizowałem obraz, zostawiając sobie tylko w kąciku wizji wskaźnik stabilności i odliczanie czasu do marginesu bezpieczeństwa: 07:25:34.

Z zadowoleniem uznałem, że moja praca robi się nudna, i upiłem kolejny łyk. Dotychczas w charakterze opiekuna pracowałem głównie z wczesnymi wersjami metamorfów o modelu stabilności tak nieprzewidywalnym, że można było dostać zawału od samego patrzenia na wykresy. Problem z przemianą polegał na tym, że metamorf mógł pozostawać w zmienionej formie tylko przez określony czas. Jak długo – było kwestią indywidualną, ale w dużym stopniu zależało od modelu oraz jaźni bazowej metamorfa, kontrolującej jego stan i dbającej o to, żeby każda nanocząstka odgrywała swoją rolę. W przypadku poważnej awarii metamorf wracał do podstawowej formy. Na tym jednak problemy się nie kończyły. Po przemianie wgrana jaźń nie potrafiła się odnaleźć w obcym ciele, synapsy zaczynały wariować i metamorf popadał w panikę, która szybko przeistaczała się w psychozę, a następnie dochodziło do uszkodzeń materii mózgowej. Moim zadaniem było do tego nie dopuścić. Przy pierwszych objawach miałem ewakuować podopiecznego, wymazać wgraną mu jaźń i wstrzyknąć krew wzorcową. Gdybym z jakiegoś powodu nie był w stanie tego zrobić i zaistniałoby ryzyko przechwycenia podopiecznego, zgodnie z procedurą powinienem wpakować mu kulę w łeb. Oczywiście miałbym wtedy tak przejebane, że równie dobrze mógłbym siebie potraktować w ten sam sposób.

Do tej pory tylko dwa razy byłem zmuszony ewakuować moich podopiecznych i wstrzykiwać im reseter. W pierwszym przypadku zawiodła technologia i moja metamorfka na oczach celu zmieniła się z sześćdziesięciolatki w nastolatkę – sytuacja jak marzenie, można by pomyśleć, ale jakoś nie wszystkim ta niespodzianka przypadła do gustu. A w drugim, no cóż, kontrahenci mieli inny pomysł na dobicie targu. Zostały mi po tym nieporozumieniu pamiątkowe blizny postrzałowe i uznanie w oczach szefów. Koniec końców, dobrze na tym wyszedłem.

Zresztą robota opiekuna nie była najgorsza, a dodatkowo sama mnie znalazła. Po odejściu z sił specjalnych nie bardzo miałem na siebie pomysł. Nie wiem, jak długo zastanawiałbym się nad wybraniem nowej ścieżki kariery, przepieprzając oszczędności, gdyby rekruterzy dosłownie nie zapukali do moich drzwi. Początkowo zastanawiałem się, w jaki sposób mnie znaleźli i skąd tyle wiedzieli na temat mojego doświadczenia medyka i zaliczonych misji bojowych. Później, gdy usłyszałem, dla kogo pracuję, przestało mnie dziwić cokolwiek. Ktoś w firmie doszedł do wniosku, że skoro byłem

gotowy pakować się za rządowe pieniądze w najgorsze gówno, jakie w danym momencie miało miejsce na świecie, to będę skłonny pakować się w lokalne gówno za jeszcze większą kasę. Cóż, miał rację.

Oficjalnie byłem pracownikiem ekskluzywnej firmy ochroniarskiej należącej do Vertas Corp, zajmującej się ochroną zarządu i innych najbardziej wpływowych przedstawicieli elit. Dla nikogo jednak nie było tajemnicą, czym tak naprawdę jest Vertas. Pod legalną przykrywką, za fasadą szanowanego przedsiębiorstwa kryła się mafia. Po dwunastu latach służby dla jasnej strony – nawet jeżeli tę jasność było widać tylko w mediach i wystąpieniach polityków – miałem służyć tym złym. Długo się wahałem, ale pozostałe opcje nie były kuszące: mogłem albo być bezrobotny, albo wrócić do wojska. Ostatecznie postanowiłem skorzystać z oferty. Tymczasowo. Tylko na kilka miesięcy. Dopóki się nie odkuję. I tak mijał trzeci rok mojej pracy dla zorganizowanej grupy przestępczej, posiadającej trzy fundacje charytatywne i biura na całym świecie.

W kąciaku oka mignęła ikonka alertu. Zmaksymalizowałem obraz, by zobaczyć, co dzieje się z Dhorenem. Analiza chemiczna wykazała obecność niebezpiecznej substancji w jego organizmie. Sprawdziłem skład i wyszło, że to alkohol i kokaina, nic niezwykłego. Takie stężenie nie mogło być groźne nawet dla dziecka, a tym bardziej wywołać niekontrolowanej przemiany. Wszedłem w ustawienia analizatora, żeby skorygować progi alarmowe, ale okazało się, że nie mam uprawnień do edycji. Najwidoczniej Matt jako egzemplarz najwyższego poziomu był zbyt cenny dla firmy, by pozwolić nawet na najmniejsze ryzyko. W sumie nie powinienem się dziwić. W odróżnieniu od niższych wersji metamorfów, Matt nie miał gniazda iniektora genetycznego. Metamorfoza mogła zostać zainicjonowana przez zwykły zastrzyk albo – w warunkach ekstremalnych – przez ugryzienie. Matt uwielbiał ten drugi sposób i z nieukrywaną rozkoszą zagryzał swoje cele. W moich oczach czyniło to z niego chorego popaprańca, ale nie przeszkadzało chyba nikomu innemu firmie. A nawet gdyby tak było, niczego by to nie zmieniło. Wytwarzanie metamorfów zostało zakazane międzynarodową konwencją pięć lat wcześniej i znalezienie drugiego takiego osobnika jak Matt było cholernie trudne i kurewsko drogie. Firma miała na swych usługach kilka zaawansowanych jednostek, jakimś cudem ocalonych z eksterminacji, ale ich dokładnej liczby mogłem się tylko domyślać, na podstawie liczby opiekunów.

Niepisana zasada mówiła, że każdy metamorf ma trzech opiekunów, czasem więcej, co przy trzydziestu czterech opiekunach dawałoby nam około dziesięciu metamorfów w całej firmie. Dziesięć zmiennokształtnych, programowalnych jednostek, których po przemianie nie sposób było odróżnić od oryginału i które po wgraniu osobowości mogły stać się oryginałem. W połączeniu z istnieniem sposobu na to, by w stu procentach wpływać na ich zachowanie, zapewniało to w zasadzie nieograniczone możliwości. Nic dziwnego, że każdy był na wagę złota.

Dopiłem whisky i odstawiłem szklanekę na kontuar. Barman uniósł butelkę, a potem spojrzął na mnie porozumiewawczo. Skontrolowałem parametry Dhorena, po czym skinąłem z przyzwoleniem głową.

II

Korporacyjna limuzyna zawisała kilka centymetrów nad podświetlonym na zielono lądowiskiem wieżowca. Drzwi uniosły się automatycznie i wysiedliśmy. Po chwili pojazd odleciał z cichym szumem w stronę centrum miasta.

Było tuż przed północą i chyba po raz pierwszy wracałem tak wcześnie z akcji. Wszystko szło sprawnie do tego stopnia, że aż zacząłem się niepokoić. Do ostatniej chwili czekałem w napięciu, aż coś się sieprzeży, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Dobrze się sprawiłeś, żołnierzyku – pochwalił mnie Matt, który już w limuzynie metamorfował do swojej podstawowej postaci. Stał teraz w samych spodniach, demonstrując idealnie proporcjonalny tors. Palcami zaczesywał do tyłu długie włosy. – Mogę ci dać jakiś medal, jak chcesz.

– Spierdalaj.

Matt roześmiał się i ruszył ku drzwiom. Po kilku krokach odwrócił się, uniósł lewą rękę i pokazał mi środkowy palec. Nie widziałem jego twarzy, ale mogłem sobie wyobrazić ten głupkowaty uśmiezek.

– Debil – mruknąłem pod nosem.

Stałem na grubej tafli przezroczystego szkła, znajdującej się na wysokości kilkuset metrów, połączonej z budynkiem podświetlonym szklanym pomostem. Poda mną, z morza miliardów świateł, sterczały iglice drapaczy chmur pobłyskujące czerwonymi światełkami. Za każdym razem, gdy je widziałem, przychodził mi na myśl prehistoryczny dół z dnem naszpikowanym zaostrozonymi kijami. W Steris – jak w pradawnej dzicy – czasami też wystarczał jeden nieostrożny krok, by człowiek znalazł się w śmiertelnej pułapce bez wyjścia.

Pomiędzy mną a jasną plamą miasta przelatywały we wszystkich kierunkach taksówki, limuzyny, radiowozy i billboardy reklamowe, przypominając rój owadów kotłujących się nad plastrzem miodu.

Wiatr huczał w przestrzeni wokół mnie, tłumiąc odgłosy ulicy, targając połami kurtki i pchając w moją stronę białe strzępy chmur, które owionęły mnie jak duchy i musnęły twarz chłodną wilgocią. Spojrzałem w górę. Wysoko nade mną, u zwieńczenia budynku, za półprzezroczystą, mleczną zasłoną chmur jarzyła się czerwienią litera V – logo Vertas Corp, symbol władzy niemal absolutnej.

Wiatr zawył. Pchnięty silnym powiewem ruszyłem w kierunku automatycznych szklanych drzwi, za którymi chwilę wcześniej zniknął Matt. Nieskazitelna biel ścian, mebli i posadzki holu, w którym się znalazłem, sprawiła, że odruchowo spojrzałem za siebie, sprawdzając, czy nie zostawiam brudnych śladów.

– Witamy w biurze, panie Ven – rozbrzmiał kobiecy głos, gdy tylko zamknęły się za mną drzwi. Z holograficznego monitora stojącego na recepcyjnym biurku spoglądała uśmiechnięta kobieca twarz sztucznej inteligencji systemu bezpieczeństwa. – Musi pan dokonać obowiązkowej aktualizacji identyfikatora.

– Znowu?

– Przepraszam za uciążliwość, panie Ven, ale Vertas Corporation szczeni się wysokimi standardami bezpieczeństwa i regularne aktualizacje są kluczowe dla ich podtrzymania. Poproszę o pana identyfikator.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnąłem półprzezroczystą plakietkę i położyłem ją na dnie szufladki, która wysunęła się ze ściany biurka.

– Dziękuję. Proszę spojrzeć mi w oczy i przez moment się nie ruszać... Skan kompletny. Dziękuję. Poinformuję pana, kiedy aktualizacja zostanie zakończona. To nie powinno potrwać długo. Może pan skorzystać z poczekalni, jeżeli ma pan takie życzenie.

Kierowany nie tyle życzeniem, ile brakiem alternatywy, udałem się do poczekalni dla gości. Z lodówki wyjąłem butelkę wody i usiadłem na białej kanapie. Na monitorze wiszącym naprzeciwko mnie w zapętleniu wyświetlał się przegląd filantropijnej działalności firmy. Ludzie w białych kurtkach z logiem Vertas rozdawali jedzenie, prowadzili warsztaty i pozowali z dziećmi z nizin społecznych, wybranymi do korporacyjnych programów edukacyjnych. Być może dla niektórych z nich okaże się to jakimś ratunkiem, ale nie byłem pewien, czy trafienie w korporacyjne tryby zaliczyłbym do szczęśliwych okoliczności. Nie mając ochoty na dalszą indoktrynację, sięgnąłem po ulotki leżące na polakierowanym na czerwono stoliku, ale w nich też nie znalazłem niczego interesującego. Na szczęście na ratunek przyszła mi SI, obwieszczając koniec aktualizacji.

Zabrałem identyfikator i posłuszny regulaminowi przypiąłem go do paska spodni. Plakietka mrugnęła i wyświetliła moje dane: Arth Ven, Manager Human Resources. Było to nawet całkiem zabawne, że w opisie stanowiska jedynie słowo resources miało pokrycie w rzeczywistości.

– Dziękuję za współpracę. Czy chce się pan udać do swojego działu?

– Tak. Albo czekaj. Czy Viki Moorsen jest w budynku?

– Tak, pani Moorsen nie opuściła jeszcze swojego biura.

– W takim razie pojedź do magazynu na poziomie minus siedem – oznajmiłem, ruszając w stronę wind.

– Zrozumiałam. Dostęp potwierdzony. Proszę skorzystać z windy numer cztery. – Jedna z framug otaczających sześcioro stalowych drzwi rozświetliła się na zielono. – Miłego wieczoru, panie Ven.

* * *

Winda zjechała dwieście czterdzieści dziewięć pięter i zatrzymała się miękko na poziomie minus siedem. Stalowe drzwi, pokryte ekranami wyświetlającymi korporacyjne informacje rozsunęły się z cichym szmerem. Zamiast magazynu pełnego regałów i pudeł miałem przed sobą długi korytarz tworzony przez szklane ściany laboratoriów i sal

operacyjnych. Białe światło ledowych matryc pokrywających sufit odbijało się w wypolerowanym betonie posadzki, pogłębiając wrażenie sterylności.

Viki rzadko opuszczała ten poziom, nawet we własnym mieszkaniu nie bywała częściej niż dwa razy w tygodniu. Twierdziła, że to miejsce zaspokaja większość jej potrzeb życiowych, i po jej bliższym poznaniu trudno było się z tym nie zgodzić.

Powiedzieć o niej, że była ekspertką od metamorfów, to jak nazwać Nikołą Teslę elektrykiem. Zdawała się wiedzieć wszystko o wszystkim, co miało związek z technologią, a metamorfy zajmowały w jej sercu szczególne miejsce. Kiedyś wyznała mi, że pierwszy prototyp zobaczyła, gdy miała dziesięć lat, i od tego momentu stały się jej obsesją. W jednej chwili zrozumiała, kim chce być i czemu poświęci życie. W ciągu tygodni z przeciętnej uczennicy stała się prymuską, zdobywającą stypendia od bioinżynierskich korporacji. Jeździła na wszystkie wystawy, gdzie demonstrowano kolejne wersje metamorfów, i chłonęła każdy strzęp informacji. Po kilku latach stała się rozpoznawalna do tego stopnia, że na konferencje zaczęto zapraszać ją w charakterze gościa. Niecałą dekadę od pierwszego spotkania z metamorfem zrealizowała swój cel i objęła stanowisko asystentki profesora Elenara Zarmana, twórcy metamorfów. Człowieka, który najpierw chciał dać ludziom życie wieczne, a później zmienił zdanie i został bogiem, przynajmniej we własnym mniemaniu.

Viki współpracowała z Zarmanem kilka lat, aż do dnia, gdy Liga Kontynentalna uchwaliła rezolucję o ochronie integralności gatunku ludzkiego, co w praktyce oznaczało rzeź tysięcy metamorfów najwyższego poziomu i zakaz tworzenia nowych. Oczywiście profesor nie był zadowolony z takiego obrotu spraw i nie miał zamiaru biernie czekać na unicestwienie owoców pracy swojego życia. Wykorzystał dostęp do serwerów i zainicjował globalną aktualizację bazowej jaźni, w wyniku której metamorfy zapomniały, że nie są ludźmi i stały się antyrządowymi anarchistami. Większość z nich zaczęła się ukrywać, ale część formowała organizacje terrorystyczne atakujące instytucje rządowe i policję. Zarman nigdy nie odpowiedział za swoje czyny. Jeszcze w czasie trwania aktualizacji zniknął z siedziby firmy, a wraz z nim podobno zaginęło trzynaście najbardziej zaawansowanych prototypów.

Viki pomogła mentorowi w przeprowadzeniu zemsty, ale w chwili ucieczki została przez niego porzucona. Przez następne kilka miesięcy ukrywała się z grupą metamorfów, jednak w końcu zabrakło jej szczęścia i wpadła podczas jednej z obław prowadzonych przez oddziały rządowe. Jej towarzyszy zlikwidowano na miejscu, a ona sama została aresztowana pod zarzutem terroryzmu i zbrodni przeciwko gatunkowi ludzkiemu. Później nikt nie silił się na pozory i po kilkugodzinnym procesie skazano ją na dożywocie w kolonii karnej. Tkwiłaby tam zapewne po dziś dzień, ale Vertas doszło do wniosku, że ma lepszy pomysł na wykorzystanie jej wiedzy. I tak, pewnego dnia więzienny transportowiec przewożący Viki zniknął bez śladu nad oceanem, a ona sama trafiła na poziom minus siedem.

Ruszyłem w kierunku jej biura znajdującego się na końcu korytarza. O tej porze większość pomieszczeń świeciła pustkami, ale w niektórych salach wciąż pracowali ludzie w białych kombinezonach oraz wspierające ich roboty. Tak to wyglądało na pierwszy rzut oka, ale w rzeczywistości było na odwrót. Każda sala stanowiła

samodzielny byt wyposażony w kilkoro robotycznych ramion, przesuujących się po szynach zamontowanych na suficie i pod wyłączną kontrolą sztucznej inteligencji. To ten tandem diagnozował, operował, nadzorował leczenie i przeprowadzał eksperymenty, a obecność człowieka sprowadzała się do roli obserwatora i pielęgniarza – ludzkiego czynnika gwarantującego odpowiedni poziom empatii.

Chociaż to miejsce, stworzone z myślą o metamorfach, nie było prawdziwym szpitalem, to regularnie pełniło taką funkcję. Charakter naszej pracy sprzyjał obrażeniom, a rany cięte i postrzałowe nie należały do rzadkości. Z czymś takim lepiej było nie pokazywać się w zwykłych placówkach medycznych, gdzie obecność nadprogramowych otworów w ciele powodowała automatyczne rozpoczęcie śledztwa. Często człowiek nie zdążył jeszcze skorzystać z pomocy, a już pojawiał się przy nim zatroskany stróż prawa z dziesiątkami pytań.

Podobieństwo do szpitala nie kończyło się tylko na leczeniu. Tak samo jak w prawdziwych zakładach leczniczych, tak i tu mieliśmy kostnicę, chociaż trzymane w niej ciała nie były tak do końca martwe. Zamiast trupów w lodówkach całe pomieszczenie zajmowały szklane tuby z ludzkimi korpusami, lewitującymi w żółtawo-zielonym płynie i podłączonymi do aparatury podtrzymującej funkcje życiowe. W ten sposób firma zapewniała sobie w zasadzie niewyczerpalne zasoby użytecznego materiału genetycznego. Tylko raz widziałem tamto miejsce i nie zamierzałem odwiedzać go ponownie.

Zatrzymałem się przed czarną taflą nieprzezroczystego szkła strzegącą dostępu do biura i wcisnąłem przycisk dzwonka. Po chwili drzwi rozsunęły się z sykiem, wypuszczając ze środka powietrze pachnące tropikalnym lasem, i zasunęły się za mną, gdy tylko przekroczyłem próg.

Pomieszczenie było o połowę mniejsze od zwykłej sali operacyjnej i stanowiło skrzyżowanie biura, laboratorium i ogrodu botanicznego. Panował w nim półmrok, i to pomimo dziesiątek małych lamp skierowanych na rośliny zwisające z sufitu, pnące się po regałach, porastające ściany, stojące na półkach i podłodze. Ich liczba i różnorodność sprawiały wrażenie, jakby wszystko dookoła powoli pochłaniała kryjąca się za ścianami dżungla. Nad głową słyszałem szum wentylatorów regulujących poziom wilgotności i zlewający się z dźwiękami muzyki śączącej się z głośników alarmowych. Samowolna zmiana ich przeznaczenia była ewidentnym naruszeniem zasad bezpieczeństwa, ale Viki twierdziła, że potrzebuje muzyki do życia, i mało robiła sobie z pouczeń.

Centralną część gabinetu zajmował stół z wiszącą nad nim podłużną lampą, oświetlającą częściowo rozłożonego humanoida pierwszej generacji, przy którym Viki nieustannie grzebała. Alice – bo tak miała na imię – technologicznie bardziej przypominała androida niż współczesnego metamorfa i była pierwszą przedstawicielką swojego gatunku, która ujrzała świat przed dwudziestu laty.

Po prawej stronie przy ścianie pokrytej mozaiką rozświetlonych ekranów stało biurko zagracone elektroniką. Tuż obok znajdowała się kanapa, na której Viki spędzała większość nocy, a w kącie pomiędzy biurkiem i kanapą na stojaku spoczywała wysłużona gitara elektryczna.

Viki siedziała, a w zasadzie pólleżała, w fotelu wyglądającym, jakby go wymontowano z wahadłowca kosmicznego. Gdy tylko się zbliżyłem, odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła delikatnie.

Choć przekroczyła już trzydziestkę, wciąż sprawiała wrażenie nastolatki. Na jej twarzy w kolorze mlecznej czekolady nie było żadnej zmarszczki, a sięgające ramion i przypominające sprężynki czarne włosy cieszyły się nieskrępowaną wolnością. Młodzięnczego wyglądu dodawały jej żółte cienie na powiekach, róż ust, kolorowe krążki kolczyków wielkości spodka od filiżanki do kawy i równie pstrokaty paznokcie, stanowiące małe dzieła streetartowej sztuki. Całość uzupełniały spodnie z syntetycznej skóry z przeszyciami wzmocnień na kolanach, kolorowe adidasy sięgające powyżej kostek, biały T-shirt ze spranym napisem „Technology is freedom” i laboratoryjny fartuch, który najwyraźniej zapomniała ściągnąć po obchodzie. Patrząc na nią w tym stroju, nie mogłem sobie wyobrazić, że jeszcze kilka lat wcześniej mogłaby uchodzić za ikonę korporacyjnej mody.

Uroda Viki wymykała się prostej definicji. Nie mogłem o niej powiedzieć, że jest piękna, zdecydowanie nie była brzydka, a stwierdzenie „ładna” czy „atrakcyjna” nie oddawało jej sprawiedliwości. Miała niewielką bliznę między płatkiem nosa a policzkiem, nierówny wykrój ust i sylwetkę pływaczki z sezonowo pojawiającymi się zaokrągleniami na biodrach. Z takimi mankamentami poradziłyby sobie współczesna chirurgia plastyczna i genetyczna, mimo to jej ciało nie nosiło żadnych śladów ingerencji. Jak sama twierdziła, uroda to z definicji coś przemijającego, a ją interesowało jedynie to, co wieczne. To właśnie ta naturalność w połączeniu z nieprzeciętnym intelektem i niemal namacalną determinacją w realizowaniu swoich celów sprawiała, że ciężko było się jej oprzeć. Była prawdziwa i niedoskonała, a przez to oryginalna.

– Hej, Arth!

– Cześć, dziewczyno.



Podszedłem do biurka, podniosłem z niego T-shirt, robiąc miejsce na walizkę z rekorderem, i oparłem się pośladkami o blat.

– Reyza i Kori. Zjednoczeni w miłości – odczytałem napis na koszulce i popatrzyłem na rysunek przedstawiający dwie półkule mózgowe złączone w kształt serca. W ostatnich miesiącach logo można było zobaczyć wszędzie. Zdawało się, że cały świat zwariował na punkcie pary młodych artystów tworzących na styku muzyki i projekcji emocjonalnych. Nie do końca rozumiałem ich fenomen, ale podobno widziano w nich współczesne ucieleśnienie Romea i Julii. Manifestację czystej miłości, która rzekomo nie występuje już w naszych czasach.

– Zostałaś fanką?

– Nie, to prezent.

– Mam nadzieję, że nie przegapiłem twoich urodzin – powiedziałem, odkładając T-shirt.

– Akurat tym razem nie, ale wszystko przed tobą. Jak ci się pracowało z Mattem? – zapytała z uśmiechem sugerującym, że wiedziała, jakiej odpowiedzi się spodziewać.

– Strasznie wkurwiający typ. Nie możesz czegoś z tym zrobić? Wgrać mu jaźnilabradora albo coś takiego?

– Chciałabym. – Uśmieszek Viki poszerzył się, ukazując śnieżnobiałe zęby. – Ale tu winna jest jego jaźń bazowa, a w niej nie mogę mieszać.

– No trudno – westchnąłem. – Ale żeby nie było, że nie ostrzegałem. Jak mnie kiedyś naprawdę wkurwi, to go zastrzelę.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił. Jest zbyt cenny, nie zostało ich wiele. To tak jakbyś znalazł żywego dinozaura i postanowił go uspić, bo podjada ci żarcie z lodówki.

– Zero zrozumienia. – Pokręciłem głową, wznosząc wzrok ku sufitowi.

– Znasz mnie. – Viki wzruszyła ramionami. – Logika ponad uczuciami.

– Ta. Co to? – Wskazałem głową ekran, na którym widać było tabele z danymi, ilustracje czaszki, szkieletu i ogólny schemat ciała.

– DX. – Viki odwróciła się w stronę ekranu. – Porządkuję informacje, które udało mi się zebrać do tej pory.

Ach tak, DX. Ukoronowanie pracy Zarmana. Legenda, Święty Graal i powód, dla którego Liga Kontynentalna uchwaliła rezolucję o ochronie integralności gatunku ludzkiego. Nikomu przy tym nie przeszkadzało, że tak naprawdę nikt nigdy nie widział żadnego DX-a. Wystarczył strach i ekscentryczne wypowiedzi profesora sugerujące, że po dwudziestu latach badań osiągnął swój cel. Stał się bogiem, ojcem nowego gatunku człowieka. W pełni samodzielnego, myślącego, czującego i nie do odróżnienia od zwykłych ludzi, a jednocześnie niemal nieśmiertelnego, potrafiącego dokonać stabilnej i permanentnej metamorfozy. Oczywiście wielu powątpiewało w te deklaracje i zażądało dowodów, ale profesor odmówił i pozostał nieugięty pomimo nacisków, a nawet gróźb. Opór Zarmana, liczne autorytety przewidujące nadchodzącą zagładę ludzkości, mającą być dziełem gatunku nadludzi, i media podsycające niepokój stopniowo wywołały światową psychozę zakończoną interwencją Ligi.

– Ty i ta twoja obsesja. – Pokręciłem głową i przetarłem palcami kąciki oczu. – Znalazłaś już jakiegoś?

– Powiedzmy, że jestem blisko. – Viki uśmiechnęła się tajemniczo.

– Serio? – Byłem szczerze zaskoczony. Viki nie koloryzowała rzeczywistości, a wręcz bliżej jej było do ostrożnego pesymizmu, więc jeżeli mówiła, że coś znalazła, to tak było. Z drugiej strony w pierwszych latach po wprowadzeniu rezolucji wielu potężnych ludzi i wiele rządów zaangażowało ogromne środki w poszukiwanie DX-ów i niczego nie znaleźli. Oczywiście istniało mnóstwo teorii spiskowych dowodzących, że rząd nas okłamuje i gromadzi DX-y w tajnych laboratoriach, i nie byłoby w tym nic nowego, ale osobiście skłaniałem się do zawierzenia oficjalnej linii.

– Tak, jestem prawie pewna. Muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy i wtedy będę wiedzieć na sto procent. Dam ci znać.

– No ja myślę. Wydaje mi się czy ich cały czas przybywa? – Zmieniłem temat, wskazując na wszechobecne rośliny.

Viki odwróciła fotel plecami do mnie i spojrzała na prywatną dżunglę.

– Tak jakoś wychodzi. Chyba jestem uzależniona.

– Chyba? – powtórzyłem, kręcąc głową. – Raczej nie powinnaś mieć już wątpliwości. Nad czym teraz pracujesz?

– Sprawdzam, jak muzyka oddziałuje na ich duchowy i fizyczny rozwój. Spójrz na te darlingtonie. – Podążyłem wzrokiem we wskazanym kierunku, nie mając pojęcia, o której z roślin mówi. – Urosły tak, bo gram im co wieczór ich ulubione utwory.

– Grasz kwiatom? Żeby rosły? – Uniosłem brwi.

– Tak, na puzonie.

Viki odwróciła się w moją stronę, wstała z fotela i podeszła do biurka. Spod niego wyciągnęła czarny futerał i otworzyła go. W środku znajdował się staroświecki mosiężny instrument, na jakim dwa stulecia temu grywano w orkiestrach. Zresztą, zważywszy na wygląd, ten tu mógł równie dobrze być jakimś prototypem z XIX wieku.

– Grasz im na puzonie. I wtedy lepiej rosną – powtórzyłem, upewniając się, że dobrze zrozumiałem.

– No sam widzisz. – Viki zdecydowanie nie słyszała powątpiewania w moim głosie.

– Okej... – Pokiwałem głową i spojrzałem jej w oczy. – A nie pomyślałaś, że te rośliny mogą mieć dość torturowania i rosną po to, żeby cię zamordować?

– Nie znasz się, Arth, darlingtonie uwielbiają średni rejestr i barwę puzonu tenorowego.

– Hmm. Viki, jesteś całkowicie pewna, że niektóre z twoich roślinek nie mają właściwości psychoaktywnych? Zresztą nie odpowiadaj, wolę nie wiedzieć.

– Ignorancja i powątpiewanie, typowe. Na szczęście my, geniusze, mieliśmy czas, by się do tego przyzwyczaić.

Viki zamknęła wieko futerału, podeszła do fotela, podniosła z niego klawiaturę, uderzyła w kilka klawiszy i wylogowała się z systemu, po czym spytała:

– Masz jakieś plany na wieczór?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Miałem być w robocie.

– To może skoczmy na drinka?

– Chcesz wyjść na miasto? – Zaskoczyła mnie bardziej niż recitalami puzonowymi dla roślin doniczkowych. Odkąd znałem Viki, nie słyszałem, żeby wychodziła na miasto.

Spotkać ją można było tylko w biurze i sporadycznie w jej mieszkaniu.

– Tak. Tylko ty wybierasz miejsce, bo ja nie znam żadnego. – Viki zdjęła fartuch, rzuciła go na fotel i przeciągnęła się. – Idziemy?

– Panie przodem. – Odechnąłem się od blatu stołu i wskazałem na drzwi.

* * *

Wybrałem Margo, jeden z najpopularniejszych klubów w mieście. Znajdował się w rozrywkowej części Steris, gdzie wieżowce były znacznie niższe od korporacyjnych gigantów, i zajmował trzy górne piętra wraz ze zwieńczonym szklaną kopułą dachem. Nie znałem go zbyt dobrze. W zasadzie byłem w nim tylko raz, kilka tygodni wcześniej, podczas realizacji zadania. Z tego co się wtedy dowiedziałem, spotykała się tu śmietanka towarzyska miasta, a zwykły śmiertelnik bez rezerwacji z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem mógł pomarzyć o wejściu do środka. Ja miałem to szczęście, że szefem ochrony był mój znajomy z wojska, więc wystarczyła jedna rozmowa, żeby awansować w hierarchii społecznej. Przynajmniej jeżeli chodziło o listę gości.

Z ładowiska dla taksówek ruszyliśmy prosto do drzwi, ignorując oczekujących w kolejce ludzi. Mój kolega, widząc nas, odpiął łańcuch zagrządzający wejście i wpuścił nas do środka. Kątem oka złowiłem kilka nienawistnych spojrzeń i usłyszałem protesty. Uśmiechnąłem się pod nosem. Większość tych ludzi wyda tej nocy więcej pieniędzy, niż ja zarobię przez rok, i miło było im pokazać, że nie wszystko można kupić.

Po przekroczeniu drzwi znaleźliśmy się w atrium, na środku którego stała szeroka na kilka metrów i wysoka na trzy piętra szklana tuba akwarium. Wewnątrz pływały płaszczki, świecące meduzy, ośmiornice i inne stworzenia, których nie potrafiłem nazwać. Zakładałem, że wszystkie one są sztucznymi ozdobnikami, ale z drugiej strony nie byłbym zaskoczony, gdyby okazały się prawdziwymi, wartymi fortunę, zwierzętami. Ściany pomieszczenia pokrywały ekrany wyświetlające abstrakcyjną mozaikę obrazów, a całość oświetlały fioletowe i niebieskie światła. Wbrew temu, czego można było się spodziewać po kolejce na zewnątrz, w środku nie było tłumów, a na parkiecie znajdującym się na wprost nas tańczyło zaledwie kilkanaście osób. Najwyraźniej zmuszanie ludzi do czekania było sposobem na podkreślenie elitarności klubu.

Głośna muzyka skutecznie uniemożliwiała rozmowę, więc wskazałem Viki na schody wijące się wokół akwarium. Przeszliśmy przez parkiet i ruszyliśmy w górę po podświetlonych stopniach. Po drodze mijali nas schodzący goście i kelnerki w cekinowych strojach z fluorescencyjnymi pióropuszcami nawiązującymi do rewii francuskiej. Na każdym z mijanych pięter znajdował się bar i łoże dla gości, ale postanowiliśmy skorzystać z tego, że noc jest ciepła, i wyszliśmy na dach.

Na zewnątrz było dużo spokojniej niż w środku. Muzyka stanowiła przyjemne tło uzupełniane pluskiem podświetlanych fontann rozmieszczonych w regularnych odstępach. Goście siedzieli przy barze, w prywatnych łóżach ustawionych wokół szklanej kopuły lub przy stolikach znajdujących się wzdłuż okalającej krawędź dachu barierze i tylko kilka osób tańczyło na wysuniętej poza krawędź platformie.

Wybraliśmy miejsce przy jednym ze stolików z widokiem na miasto, iskrzące się miliardami światła, i tafle oceanu oświetloną księżycem w pełni.

– Widok chyba trochę lepszy niż ten na minus siódmym – rzuciłem w kierunku wpatrującej się w horyzont Viki.

– Nie wiem, o czym mówisz, mi się tam podoba – odpowiedziała, przenosząc na mnie wzrok.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś dziwna?

– Zdarzyło się raz czy dwa. – Viki wzruszyła ramionami.

– No właśnie. – Uśmiechnąłem się, kiwając głową. – Czego się napijesz?

– Wybierz mi jakiś kolorowy drink.

Stuknąłem w blat stołu, wywołując menu i przeskrolowałem listę drinków. Słabo znałem się na tego typu alkoholach, więc wybrałem ten najatrakcyjniejszy wizualnie, mając nadzieję, że jakość dorówna cenie, a dla siebie wziąłem jedną z moich ulubionych torfowych whisky. Zamknąłem menu i ponownie spojrzałem na Viki. Rozglądała się, jakby kogoś wypatrywała.

– Wszystko okej? – zapytałem, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Tak, tylko jakoś mi tak dziwnie wśród tylu ludzi. Wiesz, że przez ostatnie lata starałam się ich unikać.

– Wiem, ale dobrze, że wyszłaś. Życie jest zbyt krótkie, żeby przesiedzieć je w norze.

– Przesadzasz. Czasami wychodzę.

– Tak, to gdzie ostatnio byłaś?

– No dobrze – odezwała się po chwili milczenia. – Może rzeczywiście rzadko wychodzę.

– Dokładnie, więc... Co tu robimy?

– Świętujemy. – Na twarzy Viki pojawił się uśmiech, a oczy rozbłysły.

– Chodzi o DX-y? – Ostatnie słowo wypowiedziałem cichszym głosem.

– Nie. – Viki pokręciła głową. – Przenoszą mnie do drugiego kręgu.

– Ooo! – skomentowałem inteligentnie. Drugi krąg oznaczał poważny awans w hierarchii i udział w najważniejszych operacjach organizacji. Z plotek, jakie słyszałem, wynikało, że przy tym, co tam się działo, nasze zadania były zabawą w piaskownicy. Viki od początku spełniała wszystkie wymagania, żeby tam trafić, ale najpierw musiała zapracować na zaufanie firmy, a to wymagało czasu. Pomimo mojego zupełnego braku zainteresowania wspinaczką po korporacyjnej drabinie musiałem przyznać, że taki awans był wart świętowania. – Gratuluję, dziewczyno!

Obok nas zjawił się – przypominający latający spodek – dron restauracyjny z zamówieniem. Podałem Viki wysoką szklanke, wypełnioną warstwami kolorowych alkoholi, lodem i przyozdobioną żdźbłami długich traw, pomiędzy których wystawały dwie słomki do picia, a następnie wziąłem swoją szklanke. Pozbawiony ciężaru dron odchylił się i odleciał z powrotem w kierunku stacji dokującej przy barze.

Zbliżyłem szklanke do ust i wciągnąłem w nozdrza woń trunku. Zapach dymu rezonował z jakimś pierwotnym genem moich praprzodków i sprawiał, że po ciele rozlała się fala odprężenia. Zawsze, gdy go czułem, miałem przed oczami widok ogniska w lesie.

– Za twój awans! – Uniosłem szklanke w stronę Viki.

– Dzięki! – Uśmiechnęła się i stuknęła swoją szklanką w moją. Napiliśmy się. Alkohol przyjemnie zapiekł i rozlał się po języku.

– Kiedy zaczynasz? – zapytałem, rozpierając się na krzesle.

– Mam dokończyć obecne projekty i wtedy zjawi się ktoś, żeby mnie zastąpić, więc pewnie za jakieś dwa, może trzy tygodnie. – Viki ujęła słomkę w dłoń i zamieszała w szklance.

– Wiesz już, czym będziesz się zajmowała? – Ponownie zaciągnąłem się wonią alkoholu.

– Mniej więcej.

– Pochwalisz się?

Viki odstawiła szklankę i pochyliła się w moją stronę.

– Tylko to musi zostać między nami. Wydaje mi się, że...

Więcej nie usłyszałem. Nad naszymi głowami, z wyciem silników, przeleciał duży pojazd, a tuż za nim dwa mniejsze, połyskujące czerwono-niebieskimi światłami. Przemieszczały się tak blisko budynku, że ludzie na dachu odruchowo przykucnęli, a z kilku gardeł wydobyły się okrzyki strachu.

– Co obstawiasz, eskorta czy pościg? – zapytałem, śledząc wzrokiem oddalającą się szybko luksusową limuzynę, za którą podążały dwa radiowozy.

– Pościg. Ktoś najwyraźniej postanowił przywłaszczyć sobie Vellette.

– A podobno nie da się ich prowadzić manualnie.

– Nigdy nie wierz reklamom. SI nie pozwoliłaby na taki niski przelot. Ucieka w stronę Mikry – zauważyła Viki.

– I słusznie, zrobiłbym to samo.

Mikra, najbiedniejsza dzielnica Steris, była poza nadzorem policji i miejskich systemów SI. W „klejnocie wolności”, jak określali ją mieszkańcy, w zasadzie wszystko pozostawało pod samodzielną kontrolą ludzi, wliczając w to wszelkie pojazdy. Autonomiczne wersje nie były zakazane – bo niby kto miałby tego zakazać – ale mieszkańcy traktowali z dużą dozą nieufności wszelkie formy autonomicznej technologii i na wszelki wypadek ograniczali ją, gdzie się dało. Nie znaczyło to, że w Mikrze brakowało najnowszych modeli. Lokalne warsztaty wyspecjalizowały się w dostosowywaniu pojazdów do miejscowych preferencji i nie było takiego, w którym nie mógłby zasiąść kierowca z krwi i kości.

Zupełnie inaczej wyglądało to w pozostałych dzielnicach. Władze miejskie robiły, co mogły, by zniechęcić mieszkańców do samodzielnego prowadzenia pojazdów, argumentując to statystykami wypadków komunikacyjnych i stawiając coraz to większe wymagania przed każdym, kto chciał usiąść za kółkiem. „SI za kierownicą to postęp, oszczędność i bezpieczeństwo”, głosiły billboardy przy autostradach. Do wielu ludzi to przemawiało.

– Ciekawe, czy tego nie spieprzy – rzuciła Viki.

– Zaraz się okaże. – Przez kilkadziesiąt sekund odprowadzałem pojazdy wzrokiem, automatycznie powiększając obraz. Velletta, pomimo swoich rozmiarów, wcale nie pozostawała bez szans w wyścigu z radiowozami. Na tę limuzynę pozwolić sobie mogli tylko najbogatsi, a oni nie oszczędzali na mocy silnika. Na soczewce umieściłem linię

odległości pomiędzy pierwszym pojazdem a pościgiem i widziałem, jak dystans stopniowo się powiększa.

– Spieprzył – skomentowaliśmy jednocześnie.

Limuzyna, zamiast trzymać się strefy budynków mieszkalnych po prawej, skręciła ostro w lewo, w kierunku starych terenów fabrycznych. Opustoszałe hale stanowiły idealne miejsce na kryjówkę, ale równocześnie trudno było wyobrazić sobie lepszy obszar do zestrzelenia latającego pojazdu. Jakby na potwierdzenie moich myśli spod radiowozów oderwały się rakiety, pozostawiając za sobą smugi dymu, a sekundę później nastąpił rozbłysk i na ziemię poleciały płonące fragmenty limuzyny.

– Kolejny dzień w raj. – Viki pokręciła głową i przeniosła wzrok na gości klubu wracających do zabawy. Skrzywiła się. – Założę się, że nikogo z nich nie obeszło to, co zobaczyli.

– Dziwi cię to? Przecież to miasto ich tego nauczyło. Żeby tu przeżyć i nie zwariować, trzeba zobojętnieć. Po co mają się przejmować jakimś usmażonym gnojkiem, skoro nikt inny tego nie robi. Producent zatuszuje kradzież, właściciel dostanie nową limuzynę z solidnym dodatkiem za milczenie, a policjantom też ktoś lub coś pomoże zapomnieć, do czego strzelali.

– Też tak myślę. – Usłyszałem znajomy głos za plecami. Odwróciłem się.

– Hort? – zapytałem, ze zdziwienia otwierając szerzej oczy.

Dwa kroki od naszego stolika stał ciemny blondyn, podgolony na bokach głowy. Miał orli nos, wyraźnie zarysowaną szczękę i bliznę ciągnącą się od kącika lewego oka do kości policzkowej. Ubrany był w prosty czarny garnitur i białą koszulę. Zamiast naturalnej prawej ręki z rękawa wystawała bioniczna proteza zaprojektowana do walki – jedna z tych, którymi można było przebić drzwi samochodu i obezwładnić wszystkich w środku ładunkiem elektrycznym. W lewej dłoni trzymał szklankę z bezbarwną cieczą.

Mężczyzna w odpowiedzi uśmiechnął się i rozłożył szeroko ręce.

– Nikt inny!

– Hort, siadaj! – zaprosiłem go do stolika. – Normalnie noc cudów! Viki, to jest mój przyjaciel z dawnych lat. Służyliśmy razem.

– Służyliśmy, mieszkaliśmy. Działo się – skomentował Hort, wyciągając bioniczną dłoń do Viki. – Hort.

– Viki.

– Dobrze wyglądasz. Prawie cię nie poznałem – odezwałem się do Horta, gdy usiadł na wolnym krześle i postawił szklankę na stoliku.

Nie przesadzałem. Ostatnio widziałem go dwa lata wcześniej; dopiero co skończył terapię pomagającą mu uporać się ze stresem pourazowym i uzależnieniami, którymi próbował zagłuszyć demony przeszłości. Nie wyglądał już wtedy tak tragicznie jak na jej początku, ale daleko mu było do obecnej kondycji.

– Dzięki, staram się.

– A to? – Kiwnąłem palcem w stronę jego szklanki.

– Woda – odpowiedział z uśmiechem. – Od terapii jestem suchy.

– Będzie ci przeszkadzało, że my pijemy? – zapytałem.

– Nie, nie ma problemu.

– Widzę, że w końcu się zламаłeś. – Ruchem głowy wskazałem protetyczną dłoń.

– Tak. – Hort uniósł rękę, jak gdyby chciał się jej przyjrzeć. – Wcześniej myślałem, że nigdy tego nie zrobię, ale jak się zostało freelancerem, można liczyć tylko na własne siły, a to jednak trochę poszerza wachlarz możliwości. Poza tym klienci nieufnie podchodzą do „czystych”, co dodatkowo mnie zmotywowało. Za to ty, jak widzę, jesteś wierny tradycji.

– Sama natura – odpowiedziałem, unosząc dłoń.

Armia nie mogła zmuszać żołnierzy do stosowania augmentacji, ale liczne programy finansujące zwiększenie potencjału bojowego siły żywej sprawiły, że protezy i wszczepy stały się równie popularne jak tatuaże. Był od tego jeden wyjątek: jednostki specjalne.

Współczesne bitwy i wojny toczyły się na dwóch poziomach: fizycznym i cyfrowym. Podczas gdy żołnierze robili, co w ich mocy, żeby pozabijać się nawzajem w konwencjonalny, zgodny z wielowiekową tradycją sposób, SI usiłowała sprowadzić technologię przeciwnika do poziomu średniowiecza. Na własne oczy widziałem sytuację, gdy oddział wychodzący zwycięsko z bezpośredniego starcia chwilę później zostawał pozbawiony zdolności bojowej przez niewidzialnego wroga. Z tego powodu w jednostkach specjalnych nie stosowano protez augmentacyjnych. Mieliśmy być czyści, a w razie trwałych okaleczeń otrzymywaliśmy organiczne zamienniki.

Nie znaczyło to oczywiście, że do walki ruszaliśmy tylko z tym, w co wyposażała nas natura. Zamiast augmentacji mieliśmy egzozoskielety i kombinezony bojowe. Je również można było zhakować, ale projektowano je tak, by awaryjne wyciągnięcie z nich człowieka nie sprawiało większego problemu nawet w warunkach bojowych.

– Kiedy wróciłeś? – zagadnąłem.

– Jakies pół roku temu – odpowiedział Hort po chwili namysłu.

– Pół roku i nie dałeś znać, że jesteś?

– Próbowalem, ale trudno cię namierzyć. Link do komunikatora przestał działać, nikt nie wiedział, gdzie cię szukać. W barze nie widzieli cię od miesiący. W mieszkaniu też cię nie zastałem. Mieszkasz tam jeszcze?

– Nie. – Pokręciłem głową. – Trzymam tam tylko swoje graty. Dobra, jesteś wytłumaczony.

– Dzięki, łaskawco.

– Co się stało, że wróciłeś, nie podobało ci się na Wschodnim Wybrzeżu?

– Było okej – odpowiedział Hort – ale nie mogłem się tam odnaleźć. Najpierw nikt nie chciał mnie zatrudnić, później dostawałem same gówniane zlecenia. Wiesz, jak to jest bez kontaktów.

– Domyślam się.

– W końcu Doug Rodkliff do mnie zadzwonił, znasz Douga?

– Nie. – Pokręciłem głową.

– To mój stary kumpel. Zadzwonił i powiedział, że ma tu dla mnie robotę. Jak usłyszałem, ile mi zapłacą, to pomyślałem: pieprzyć to, i wróciłem.

– I co robisz, bo wyglądasz, jakbyś chronił burmistrza?

– Chciałbym. Pilnuję tamtego pajaca. – Wskazał głową w stronę prywatnej łoży, w której siedział na oko dwudziestoletni chłopak z niebieskimi włosami postawionymi na

sztorc. Miał na sobie rozpiętą do pępka błękitną kurtkę z różowymi wstawkami. Nagi tors pokrywały tatuaże, a szyję i nadgarstki obciążały złote bransolety. Jego nogi opinały białe spodnie w lamparcie cętki, a całość stylizacji uzupełniały złote buty. Towarzyszyło mu dwóch innych chłopaków w podobnym wieku. Z jednym się całował, a drugi pocierał mu dłonią krocze.

– Wygląda na fiuta – skomentowałem.

– Bo nim jest – przyznał Hort, wzruszając lekko ramionami. – Ale dobrze mi płacą za chronienie jego dupy, nie muszę z nim siedzieć przez cały czas, a kasa mi się przyda. Będę ojcem.

– Serio!? – krzyknąłem na tyle głośno, że spojrzeli na nas ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach. – Zajebicie, stary, gratuluje!

– Gratulacje! – powtórzyła Viki.

– Dzięki. – Hort próbował zachować emocje na wodzy, ale znałem go zbyt dobrze, żeby nie zauważyć, jak bardzo jest podekscytowany.

– A ta biedna kobieta to...

– Mergi – dokończył za mnie Hort. – Tak, ta sama. Ideału się nie zmienia. A jak u ciebie, nadal jesteś z... – Urwał nagle i spojrzał zakłopotany na Viki.

– Tak? – zapytała dziewczyna, gdy cisza się przeciągała. – Stało się coś?

– Nie. – Hort rzucił mi przelotne spojrzenie. – Arth wspominał mi kiedyś o jakiejś Viki, z którą pracował, i zastanawiam się, czy ty to...

– Tak, to ta sama Viki – odpowiedziałem.

– I wy teraz...?

– Nie. – Viki roześmiała się i pokręciła głową. – Arth nadal jest z Lisy, jeżeli to o nią chciałeś zapytać. Z Arthem jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Aha. – Hort nie brzmiał jak przekonany i patrząc na Viki, wcale mu się nie dziwiłem. – Znacie się z Lisy?

– Poznałyśmy się jakiś czas temu – odparła Viki.

Hort pokiwał głową.

– Wiesz, że Arth jest z nią dzięki mnie?

– Ta, dzięki tobie – zaprotestowałem. – Jeszcze powiedz, że specjalnie dla mnie prawie się zachlałeś i zaćpałeś na śmierć.

– Od czego są kumple! – powiedział Hort z uśmiechem i klepnął mnie mocno w ramię.

– Arth nigdy mi o tym nie opowiadał. – Viki podłapała temat.

– Byłem jej pacjentem – zaczął Hort. – Miałem trochę problemów po wojsku i ten tutaj zaciągnął mnie na spotkania grupy wsparcia. W sumie gównie to dawało i po kilku miesiącach chciałem zrezygnować, ale Arth mi nie pozwalał. Łaził tam ze mną, jakby był moją matką. No i siedzimy tam sobie jednego dnia, słuchamy znowu tych samych wynurzeń dziesięciu zniszczonych przez życie gości, aż tu wchodzi Lisy. Mówię ci, Viki, wtedy jedyny raz widziałem cud ozdrowienia na własne oczy. W sekundę krzyczący po nocach i wypłakujący się w poduszkę potencjalni samobójcy odzyskali chęć do życia i na powrót stali się samcami alfa. Nie musiała się nawet wysilać, żeby wcisnąć nam wszystko co chciała, a my mogliśmy myśleć tylko o wciśnięciu jej jednego. I nie były to nasze udreżone umysły. Prawda, Arth?

Nie odpowiedziałem, tylko przewróciłem oczami i pokręciłem głową.

– Szczerze – kontynuował Hort – to do tej pory nie wiem, co wtedy nam powiedziała, ale jak skończyła i zapytała, kto jest chętny przetestować z nią nową terapię, to wszyscy się zgłosili. Wybrała mnie i dwóch innych, a ten tu – Hort wskazał szklanką na mnie – łąził ze mną i tak długo męczył dziewczynę, aż zgodziła się z nim umówić...

– ...i to było najlepsze, co mogła zrobić – dokończyłem za Horta tonem morału z bajki.

– Tu zdania są podzielone – odparł. – Viki, a ty skąd znasz Artha? Też służyłaś?

– Nie. – Viki pokręciła głową z uśmiechem. – Powiedzmy, że jestem inżynierką i architektką wspomnień.

– O, lepszą od Lisy?

– Nie, ona jest najlepsza.

– Viki była asystentką Zarmana – wtrąciłem, wskazując na nią dłonią z whisky. – Tą, którą zgarnął zespół C.

– Co ty pierdolisz? – Hort aż się odsunął z wrażenia. – Serio, to ty wtedy wpadłaś?

Viki potwierdziła skinieniem głowy.

– Ale chwila, przecież ona zginęła w katastrofie wahadłowca więziennego. – Hort spojrział na mnie, po czym z powrotem przeniósł wzrok na Viki, jakby próbował się upewnić, że go nie nabieramy.

– Zginęła. – Viki pokiwała głową. – I niech tak zostanie.

– Rozumiem. – Hort się uśmiechnął. – Ale jakim cudem pracujecie razem?

– Tak wyszło – odpowiedziałem. – W zasadzie to Viki przyjęła mnie do roboty.

– Ale ona wie, że ty... – Hort popatrzył na mnie pytająco.

– Wie, że byłem w oddziałach likwidacyjnych i polowałem na nią. Wtedy też wiedziała. Miała dostęp do moich akt i osobiście zrobiła mi skan.

– I nie miałaś z tym problemu? – Hort ponownie zwrócił się do Viki. – Jakby do mnie przyszedł typ, który wcześniej na mnie polował, przybiłbym go nożem do ściany.

Viki pociągnęła przez słomkę drinka i spojrzała mi w oczy.

– Powiedzmy, że ważniejsze dla mnie jest to, kim jest, niż kim był.

– W sumie nienajgorsza filozofia – przyznał Hort. – To gdzie pracujecie?

Wymieniliśmy z Viki spojrzenia i odpowiedziałem:

– Vertas.

– Kurwa... – Hort zrobił duże oczy i popatrzył najpierw na Viki, a później na mnie. – Serio? Pracujecie u farmerów?

Pokiwałem głową.

– No to nieźle się ustawileś. – Hort nachylił się nad blatem w moją stronę i oparł podbródek na sztucznej dłoni. – Jak tam jest, bo różne rzeczy się na mieście słyszy?

– Normalnie. – Wzruszyłem ramionami. – Czasami robi się jakieś kurewstwa, ale nie jest źle.

– Większe kurewstwa niż dla rządu?

– Aż tak to nie – przyznałem. – Korporacjom nie zdarza się organizować ludobójstw zauważalnych w skali globu.

– Prawda – zgodził się Hort, po czym zawiesił się na chwilę. – Muszę spadać. Pajacowi zachciało się zmienić klub. I tak co noc. Nie może, kurwa, usiedzieć w jednym miejscu

dłużej niż godzinę. Jak się dzieciak urodzi, to zmieniam robotę. – Wstał i wyciągnął rękę w moją stronę. – Dobrze cię było zobaczyć, Arth.

– Ciebie też. – Ucisnąłem podaną dłoń i przesłałem mu link do mojego komunikatora. – Odzywaj się. Skoczmy na jakieś piwo, zobaczysz się z Lisy.

– Jasne – zgodził się Hort. – Do zobaczenia.

Podał rękę Viki, po czym ruszył w kierunku łoża swojego klienta.

– Też muszę zniknąć – powiedziała Viki i podniosła się z krzesła.

– Już? Pierwszy raz od niepamiętnych czasów wyszłaś na miasto i po jednym drinku chcesz wracać?

– Muszę, mamy jakiś problem w labie. Coś jest nie tak ze skanem diagnostycznym jednego z metamorfów. Ty zostajesz?

– Nie, nie będę tu sam siedział.

Podniosłem szklankę ze stolika, dopiłem whisky i poszliśmy na lądowisko.



BRAK DOSTĘPU

Dobrze mi znany komunikat wyświetlił się na zamku genetycznym przy drzwiach do mojego mieszkania. Poprawiłem ułożenie kciuka i spróbowałem jeszcze raz potwierdzić tożsamość.

BRAK DOSTĘPU

Ależ mnie ten zamek irytował. Zdawałem się jedyną osobą na całym pieprzonym świecie, której nie mogły rozpoznać własne drzwi. Zupełnie nie miałem ochoty na rozmowę z działem obsługi klienta o drugiej w nocy, więc pozostawała najszybsza metoda – włamanie.

Wyciągnąłem z plecaka nakładkę serwisową podarowaną mi przez Viki kilka miesięcy wcześniej, gdy elektroniczny cerber postanowił olać mnie po raz pierwszy. Podłączyłem się do konsoli, uruchomiłem crack, trzy minuty pobębniłem palcami o ścianę i voilà, drzwi otworzyły się z zapraszającym kliknięciem.

Wszedłem do mieszkania najciszej, jak potrafiłem, żeby nie obudzić Lisy, ale gdy zobaczyłem niebieską poświatę bijącą ze studia, dałem sobie spokój z ostrożnością. Zrzuciłem plecak, zawiesiłem kurtkę na wieszaku i stanąłem w progu, oparty ramieniem o ścianę. Lubiałem patrzeć na nią, gdy pracowała, całkowicie odcięta od otaczającego ją świata. Siedziała przed terminalem na swoim ulubionym krześle z jedną nogą podwiniętą pod siebie i rekorderem na głowie. Kasztanowe, lekko kręcone włosy wypływały spod urządzenia i opadały na ramiona. Przewód łączący rekorder z terminalem biegł po jej plecach i jarzył się bładoniebieskim światłem. Przy każdym ruchu dłoni przestawiających holograficzne sześciany potoki danych przelewały się po otaczających ją ekranach.



Na chwilę odwróciła się bokiem i zobaczyłem, że ma na sobie tylko koszulkę na ramiączkach i majtki. Ręcznik leżący na podłodze obok fotela zdradzał, że znowu zgubiła się w drodze z łazienki do łóżka. Czasami zastanawiałem się, czy to już uzależnienie. Lisy nie potrafiła przejść obojętnie obok rekordera jaźni. Nie wystarczało jej, że praktycznie nie rozstawała się z nim w pracy. Każda wolna chwila była dobra, żeby spędzić ją na kopiowaniu i edytowaniu swojej osobowości. Tłumaczyła mi, że robi to jedynie w celach treningowych, ale nie byłem całkowicie przekonany, czy tylko to ją motywuje. Edycja przypominała pod tym względem tatuaże i augmentacje. Zaczynało się od ciekawości, potem przychodziły pojedyncze małe zmiany, a po nich następne, coraz większe, aż w końcu pogoń za perfekcją przeradzała się w obsesję. Lisy zachowywała przy tym na tyle rozsądku, że nie integrowała korekt z zapisem źródłowym, ale zawsze istniało ryzyko, że kiedyś pokusa przekroczenia tej granicy okaże się silniejsza. Miałem nadzieję, że dzięki doświadczeniom z pracy dobrze się nad tym zastanowi. Niemal każdego dnia do jej kliniki trafiały ofiary eksperymentowania z jaźnią. Większości z nich nie dało się pomóc.

Podszedłem do lodówki wkomponowanej w aneks kuchenny ciągnący się wzdłuż całej lewej ściany pomieszczenia, na ekranie dotykowym wybrałem piwo i po chwili trzymałem w dłoni oszronioną butelkę. Usiadłem na kanapie ustawionej za plecami Lisy i czekałem, aż skończy pracować.

Pasek postępu wyświetlany na ekranie głównego monitora wskazał sto procent i rozmył się zastąpiony twarzą awatara SI. Kobieta o czarnych prostych włosach kontrastujących z białością skóry i czerwienią ust uśmiechnęła się do Lisy.

– Osobowość skopiowana. Możesz zdjąć rekorder. Mam nadzieję, że nie wymęczyłam cię za bardzo. – W ludzkim głosie awatara pobrzmiwała nieklamana troska.

Lisy zdjęła urządzenie z głowy, odłożyła je na biurko i przeczesała palcami włosy.

– Nie, Mira, byłaś cudowna jak zawsze.

– Dziękuję za komplement, Lisy. Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

– Nie, na dziś wystarczy. – Lisy przeciągnęła się na krześle. – I tak już jest późno, a rano mam kilku pacjentów.

– Mogę zmienić twój grafik, żebyś mogła się wyspać – zaproponowała Mira.

– Wiesz przecież, że wolę się wcześniej położyć i wcześniej wstać. Do zobaczenia jutro. Dobranoc.

– Dobranoc, Lisy.

Ekran y gasły, a pokój wypełniła ciepła pomarańczowa poświata przypominająca blask kominka. Lisy wypięła z portu za uchem przezroczysty przewód i przez chwilę wyglądało na to, że ma zamiar wstać, ale zamiast tego sięgnęła po chip leżący na biurku. Wiedziałem, co to jest, i uśmiechnąłem się pod nosem. W ciągu dnia dostałem kilkanaście wiadomości, że Rikaris stworzył nową wizualizację, którą koniecznie muszę zobaczyć.

– Naprawdę jest taka dobra? – zapytałem, gdy Lisy zbliżyła chip do swojego portu komunikacyjnego.

– Ooo!

Odwróciła się gwałtownie na fotelu.

– A skąd się tu wziąłeś? Miałeś pracować do rana.

– Skończyliśmy wcześniej. – Wzruszyłem ramionami i wskazałem butelką na trzymany przez Lisy chip. – Co tam pan Rikaris spłodził tym razem w swoim chorym umyśle?

– A spadaj. Nie jest chory! Zresztą dobrze wiem, że też lubisz jego kreacje.

Miała rację. Może nie należałem do fanatyków tej formy ekspresji, ale potrafiłem ją docenić. Nie tak dawno temu kolejna generacja skanerów fMRI umożliwiła tworzenie wizualizacji myśli i ludzkość nie musiała długo czekać, żeby potencjał tej technologii dostrzegli mniej lub bardziej utalentowani artyści albo tacy, którzy za artystów się uważali. Pociągała ich możliwość kreowania treści podlegającej jak najmniejszym ograniczeniom formy. Obrazy nie były już tylko reprezentacją wyobraźni, a samą wyobraźnią. Nawet taki ignorant jak ja musiał przyznać, że efekty potrafiły zachwycać.

– On i kilku innych nie są tacy najgorsi – przyznałem pojednawczo – ale większość powinna mieć zakaz tworzenia i zaśmiecania sieci wytworami swoich gównianych umysłów. To nie jest sztuka, tylko pseudoartystyczne szambo tworzone przez dupków przekonanych o swoim talencie i wyjątkowości.

– Może i tak – odparowała – ale to dzięki tym wszystkim ludziom zmapowano i zasymulowano działanie mózgu. Wiesz, ile normalnie trwałoby zebranie takiej ilości danych? Całą wieczność. Bez nich pewnie do tej pory nie udałoby się skopiować jaźni. Ja nie miałabym tej pracy, a ty nigdy byś mnie nie poznał, więc powinieneś być im wdzięczny za to szambo.

– No dobra, przekonałaś mnie. Jeżeli bez nich nie poznałbym ciebie, to niech sobie tworzą.

– Romantyk. – Lisy pokręciła głową.

– Może troszkę. – Wzruszyłem ramionami i upiłem łyk piwa. – Jak ci minął dzień, świat ocalony?

– Świat nie, ale kilka osób na pewno. – Lisy odwróciła się na chwilę w stronę biurka i odłożyła chip.

– Od czego trzeba zacząć.

– Sama nie wiem – westchnęła. – Widziałam dziś dane za ostatni kwartał, liczba zarejestrowanych przypadków spada, ale mam wątpliwości, czy można w to wierzyć.

– Dlaczego?

– Ci najbardziej potrzebujący nigdy nie zgłaszają się sami. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Mamy wszystko, żeby im pomóc, ale najpierw musimy ich znaleźć, a tego nie robimy.

– Mówiłaś, że ten program rządowy do wyszukiwania chorych działa całkiem dobrze.

– Działał i kosztował, więc obcięto środki o połowę.

– Kiedy? – Byłem naprawdę zdziwiony. Kilka miesięcy wcześniej każdy polityk w Steris mówił o starcie programu, podkreślając swoją mniej lub bardziej istotną rolę w jego stworzeniu. – Nic nie słyszałem.

– W tym tygodniu. Nikt o tym nie słyszał, rząd nie chce się z tym afiszować. Dostaliśmy informację, że decyzja jest wynikiem spadku liczby przypadków, ale nikt nie chce przyznać, że nie stoi za tym zmniejszenie liczby chorych, tylko mniejsza skuteczność docierania do nich. Po tym wszystkim oni nadal nie rozumieją, z czym walczymy.

– Hej, to są politycy. Nie powinnaś się temu dziwić ani zadręczać. Dobrze wiesz, że nie możesz pomóc wszystkim.

– Wiem, ale co z tego? I tak mnie to dołuje. – Opuściła drugą nogę na podłogę, oparła łokcie na kolanach i pochyliła się w moją stronę. – Arth, zrozum, żyjemy w świecie technologicznego rozkwitu, a wykańcza nas pieprzona depresja. Jesteśmy ze sobą bardziej połączeni niż kiedykolwiek w przeszłości. Mamy NeuroLife i inne alternatywne rzeczywistości, mamy kombinezony czuciowe, możemy kontaktować się z każdym, zawsze i praktycznie w dowolny sposób. Człowiek może pieprzyć swoją żonę albo męża na kanapie w salonie, będąc jednocześnie na misji na Księżycu. I co? Nic! Nic to nie daje! Wręcz przeciwnie! Jesteśmy coraz samotniejsi. Nigdy nie było tak źle. Mamy na to dane, do cholery, ale te dupki nie potrafią zrozumieć, że żaden komputer, hologram czy kombinezon nie zastąpi żywego człowieka: ciepła, zapachu czy nawet zwykłego poklepania po ramieniu. Żadna społeczna gra nie stworzy poczucia misji, nie da prawdziwego celu w życiu, a oddychać, żreć i pieprzyć to za mało, żeby...

– Lisy, spokojnie – wszedłem jej w słowo. – Rozumiem i zgadzam się z tobą, ale na wszystko potrzebny jest czas. A ty musisz się jakoś od tego zdystansować, inaczej się wykończysz.

– Ale my nie mamy tego czasu, w tym problem! – Wyprostowała plecy i zaczęła gestykulować, jakby prowadziła wykład. – Rewolucja technologiczna nie daje nam szans na ewolucyjne dostosowanie. Większość społeczeństwa utraciła albo coraz bardziej traci umiejętność nawiązywania naturalnego, analogowego kontaktu i budowania więzi. Ja, ty i mały procent innych ludzi możemy uważać siebie za szczęściarzy, bo mamy pracę, mamy po co się budzić i wychodzić z domu. Nie przeraża nas przebywanie na ulicy wśród tłumów. Ale co zrobić z resztą? Jakie dać im zajęcie? Jak zmotywować do wstania z łóżka?

– Kochanie, robisz, co możesz. Nie znam nikogo innego, kto pomógłby tylu ludziom co ty. Spróbuj się tym cieszyć, zamiast zadręczać rzeczami, które są poza twoją kontrolą.

– Nie mogę się cieszyć, bo to wszystko wciąż za mało. – Lisy odchyliła głowę do tyłu i powoli wypuściła powietrze. – Przepraszam, że wylewam na ciebie moje żale. Po prostu za dużo się dziś działo. – Opadła plecami na oparcie krzesła i podwinęła nogę pod siebie.

– Nie przepraszaj, czasem trzeba. Poza tym chcę wiedzieć, co się u ciebie dzieje, nawet jak wszystko jest źle.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem uśmiech. – Nie wszystko było takie złe. Nom miał dziś wizytę.

– Ten twój nowy ulubiony pacjent? – Przekrzywiłem głowę i uniosłem lewą brew.

– Tak. – Szeroki uśmiech zagościł na twarzy Lisy. Normalnie byłbym zazdrosny o taką reakcję, ale Nom był dziewięćdziesięcioletnim gejem, który zdecydowanie nie próbował wyglądać młodziej. – I wiesz co, to była jego ostatnia wizyta. Siedem korekt wystarczyło. Mój nowy rekord.

– Serio?

– Yhm. – Pokiwała głową. – Ale jeśli mam być szczerą, to nie było szczególnie trudno. Nom przeżył wiele pięknych chwil. Wystarczyło je trochę odświeżyć i złagodzić wspomnienie o śmierci jego partnera. To wszystko.

Zanim poznałem Lisy, nigdy nie myślałem, że kluczem do szczęścia mogą być wspomnienia. To ona uświadomiła mi, że tak naprawdę żyjemy w nich, a pozorna terażniejszość jest nieuchwytna, bo wszystko, czego doświadczamy, co widzimy i czujemy, to rezultat analizy bodźców, które już w chwili samej interpretacji należą do przeszłości.

Wspomnienia mają to do siebie, że tylko częściowo odzwierciedlają prawdziwe i przeżyte zdarzenia. Część z nich jest jednak niczym więcej jak wytworem naszego umysłu, zlepkiem obrazów odnawianym i zmienianym pod wpływem nowych doświadczeń. To właśnie ten mechanizm wykorzystywali architekci wspomnień. Wprowadzali minimalne zmiany w połączeniach neuronowych i tygodniami czekali na efekty, od czasu do czasu dokonując korekt, tak by smutne, nijakie lub traumatyczne wspomnienia zostały zastąpione nowymi bez zaburzenia osobowości. Człowiek miał być lepszą wersją siebie, a nie kimś zupełnie nowym. Zazwyczaj potrzebne było kilkanaście albo nawet kilkadziesiąt sesji, żeby zauważyć różnicę w samopoczuciu i zachowaniu pacjenta. Dokonanie czegoś takiego w ciągu siedmiu sesji było mistrzostwem świata.

– Jesteś najlepsza.

– Dzięki. – Lisy rozpromieniła się. – A jak u ciebie? Skoro wróciłeś tak szybko, to chyba wszystko poszło dobrze.

– Tak. Dwie godziny i po pracy. Później skoczyłem z Viki na drinka.

– Ach, skoczyłeś z Viki na drinka... – Oczy Lisy zwężyły się jak u drapieznika przyglądającego się ofierze, a na twarzy pojawił się uśmiešek. – Coś jeszcze chcesz mi powiedzieć?

– Nie, nic nie chcę ci powiedzieć. – Pokręciłem głową, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu. – Już to przerabialiśmy. To moja przyjaciółka i pracujemy razem. Normalne, że się spotykamy.

– I wychodzicie na drinka.

– Wyszliśmy pierwszy raz od lat. Nie masz o co być zazdrosna.

– Arth, ty chyba nie wiesz, co to zazdrość. Pokaż mi drugą, która pozwoliłaby ci na przyjaźń z byłą.

– Viki nigdy nie była moją dziewczyną.

– Tym gorzej. Pozwalam ci na przyjaźń z kobietą, z którą po prostu sypiałeś.

Wypuściłem powietrze, spojrzałem w sufit i pokręciłem głową. Kiedyś w jakimś przepływie niepoczytalności wspomniałem o moim epizodzie z Viki i od tamtej pory co jakiś czas Lisy lubiła to wykorzystywać przeciwko mnie. Nigdy nie wiedziałem, czy jest naprawdę zazdrosna, ale w jakiś dziwny sposób podobało mi się to, bo dodawało jej uroku.

– Już nic więcej nie mówię – powiedziałem, upijając łyk piwa.

– No przestań, wiesz, że tylko się z tobą droczę. Gdzie byliście?

– W Margo.

– Uuu, to widzę, że taki drink na bogato. Fajnie było?

– Całkiem przyjemnie. Spotkałem Horta.

– W klubie? – Lisy uniosła brwi. – On nie wyjechał przypadkiem na Wschodnie Wybrzeże?

– Wyjechał, ale wrócił. Radzi sobie i nieźle wygląda.

– Super! – Przechyliła głowę i przez chwilę nad czymś się zastanawiała. – Myślisz, że skoro tu jest, to dałby się namówić na sesję porównawczą?

– Raczej nie będziesz miała z tym problemu – odpowiedziałem z przekonaniem.

– Odezwę się do niego. – Odwróciła się w stronę monitorów, stuknęła w podstawkę holograficzną, po czym ponownie spojrzała na mnie. – Skoro to taka noc cudów, to może dokonamy jeszcze jednego? Zostało mi czterdzieści minut dostępu. Chcesz spróbować?

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnąłem się, wiedząc z doświadczenia, że na tym się nie skończy.

Lisy splotła rękę na piersi.

– Obiecałeś mi, że kiedyś to zrobisz.

– Obiecałem. I kiedyś to nastąpi, ale to nie będzie dziś.

– Hej, zrób to dla mnie. – Lisy nie dawała za wygraną. – Chcę cię zobaczyć. Proszę.

– Przykro mi, skarbie, nie dzisiaj. Poza tym musisz uważać z tymi transferami. Rachunki za łącze nas zrujniają.

– Nie martw się, znalazłam na to sposób. – W jej oczach pojawił się tajemniczy błysk, a w głosie zabrzmiała z trudem skrywana duma.

– Legalny?

Moje pytanie było w pełni uzasadnione. Lisy lubiła wykorzystywać swoją technologiczną przewagę w sposób, który w przeszłości przysporzył jej kilku problemów.

– Może tak, może nie. – Pochyliła się w moją stronę. – Powiem ci, jeśli zgodzisz się na skan, co ty na to?

Udałem, że się namyślam, po czym wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że mogę żyć bez tej wiedzy.

– Nie przekonam cię?

– Raczej nie. – Piłem łyk piwa i rozparłem się na kanapie.

– A może jednak...

Znałem tę nutkę pobrzmiwającą w jej głosie i to szelmowskie spojrzenie. Uśmiechnąłem się mimowolnie, gdy wstała z krzesła i powoli ruszyła w moim kierunku, kołysząc krągłościami idealnego ciała. Fale kasztanowych włosów splotły się na ramiona, cienki materiał koszulki opinał piersi, uwidaczniając wszystkie detale, a trójkąt majtek wcinał się pomiędzy uda. Wziąłem głębszy oddech i powoli wypuściłem powietrze, chłonąc obraz malujący się przed oczami.

Stała naprzeciwko mnie, przygryzła wargę, po czym uśmiechnęła się zalotnie. Jej dłonie oparły się o moje ramiona, a ciało zbliżyło się do twarzy. Czas zatonął w jej zapachu. Na policzkach poczułem ciężar piersi i twardość sutków. Lisy usiadła na mnie, oplatając moją talię udami i jednym, zdecydowanym ruchem przywarła mocniej. Zanurzyła palce w moje włosy i pociągnęła, odchylając głowę w tył. Przymknąłem oczy. Na twarzy poczułem ciepło oddechu, a miękkie usta dotknęły moich warg.

Po kilku chwilach byłem gotowy ulec jej we wszystkim, z wyjątkiem tego, do czego próbowała mnie przekonać. Nie bałem się kradzieży osobowości, ale nie dopuszczałem do siebie myśli, że ona mogłaby ją zobaczyć. Indeksy moich wspomnień raczej nie przypadłyby jej do gustu. Nie kryłem tego przed nią, ale ona odrzucała moje argumenty, powołując się na swoje doświadczenia w pracy z weteranami. Oczywiście prawdą było, że

wśród jej pacjentów pojawiały się najcięższe przypadki, ale wymazywanie wspomnień zbrodni u obcego człowieka nijak się miało do zobaczenia swojego partnera w roli egzekutora.

– Zrobisz to? – wyszeptła mi do ucha.

Przeszył mnie przyjemny dreszcz, a skóra pokryła się gęsią skórką.

– Nie... – odpowiedziałem mniej zdecydowanie, niżbym chciał.

– Jesteś pewien?

Poczułem jej dłoń na kroczu. Guzik i rozporek spodni ustąpiły przed smukłymi palcami bez najmniejszego oporu. Dłoń wsunęła się głębiej i uchwyciła mnie, przejmując nade mną prawie całkowitą kontrolę. Lisy uniosła biodra i opadła, zespalając nas w jedność.

– No więc? – zapytała, poruszając rytmicznie biodrami. – Nadal chcesz ze mną walczyć?

– Urodziłem się, by walczyć... – odpowiedziałem i poczułem, jak Lisy przywiera do mnie mocniej, pochłaniając żarem swojego ciała.

IV

– Brak ruchu. – Usłyszałem w słuchawce głos Rana, naszego snajpera.

– U mnie też cisza i spokój – zameldowała Zoe, druga snajperka. – Nawet szczury się stąd wyniosły.

Odruchowo spojrziałem w kierunku zrujnowanego biurowca, gdzie zajęła stanowisko, ale nie miałem szansy jej wypatrzyć. Był środek nocy. Nasz dziesięcioosobowy oddział tłoczył się w zaułku wciśniętym pomiędzy ściany magazynów dawno porzuconego kompleksu przemysłowego. Jednego z dziesiątek, jeżeli nie setek mu podobnych, rozsianych po całej Mikrze. Przez ostatnie miesiące spędziłem tu prawie każdą noc i poznałem je tak dobrze, że mógłbym zostać przewodnikiem. Nie było tu żadnego światła, a jedynie słaby blask księżycy i odległa poświata miasta sprawiała, że nie toniliśmy w zupełnych ciemnościach. Kilka metrów od nas ziała czarna dziura kanału, którym dotarliśmy na miejsce. Sieć kanalizacyjna w tej części miasta nie była używana od lat, ale na wszelki wypadek nie zdejmowałem maski. Inni najwyraźniej myśleli podobnie, bo ich twarze pozostały zakryte.

Przesunąłem wzrokiem po kumplach z oddziału. Na wyświetlaczu wizjera pokazywały mi się kolejno ich ksywki i informacje o stopniu, ale i bez tego wiedziałbym, na kogo patrzę. Spędziłem z nimi większość mojej kariery wojskowej i bezbłędnie rozpoznawałem sylwetki. Moje spojrzenie zatrzymało się na Feku, naszym dowódcy. Kucał, plecami oparty o ścianę, i palcami manipulował na wirtualnym, tylko przez siebie widzianym panelu. Podeszedłem do niego i zająłem miejsce obok.

– Masz coś? – zapytałem.

– Nie. Czysto. Sam zobacz.

Na moim wizjerze pojawił się obraz przesyłany z mikroskopijnych dronów patrolujących całą okolicę. Obok snajperów to właśnie te maleństwa były naszymi oczami i zapewniały nam główne rozpoznanie. Były niezastąpione i nie raz uchroniły nas przed wpakowaniem się w potężne gówno. Gdy sprawy brały zły obrót, nic nie mogło zastąpić snajpera z przyzwrotną optyką.

Przejrzałem obrazy z dronów, przełączając się między różnymi trybami, i mogłem tylko potwierdzić to, co stwierdzili snajperzy i Fek. Cała okolica wyglądała na opuszczoną.

– I co teraz? – zapytałem. – Chcesz wpuścić drony do środka?

– Nie. – Odpowiedział Fek po chwili zastanowienia – To zajęłoby wieczność. Załatwimy to sami i zbieramy się stąd.

– Tak jest! – Przyjąłem decyzję dowódcy.

– Ruszamy, chłopaki – zarządził Fek. – Przygotować się.

Wszyscy ustawili się przy ścianie u wylotu zaułka i odruchowo sprawdzili broń. Zająłem miejsce na przedzie i wyjrzałem za róg.

Wzdłuż magazynów biegły podwójne tory, które trzysta metrów dalej znikaly pod ziemią. Po drugiej stronie torowiska stały kolejne magazyny i kilkunastopiętrowe opuszczone biurowce. W porównaniu z wieżowcami w innych częściach Steris te przypominały domki dla lalek.

– Arth, do tyłu.

Poczułem klepnięcie w ramię, a gdy się obróciłem, Fek pokazał mi kciukiem, że mam się ustawić na końcu kolejki.

– To moje miejsce – zaprotestowałem zdziwiony, bo kolejność wejścia została ustalona na odprawie.

– Niespodzianka. To twój ostatni rajd i byłoby chujowo, gdybyś teraz zginął.

– Nie miałyby kto stawiać?

– Dokładnie – przytaknął Fek. – Wypierdalaj na koniec.

„Wypierdalaj” dowódcy miało moc rozkazu, więc posłuchałem. Przeszedłem wzdłuż szeregu postaci w egzoszkieleciech, po drodze zbierając kilka klepnięć w plecy i dwa w dupę.

– Gotowi? – Rozbrzmiał w słuchawce głos Feka, któremu odpowiedziało dziewięć potwierdzeń. – No to jazda!

Ruszyliśmy szybkim krokiem wzdłuż ściany magazynu. Po stu metrach wyszliśmy na okrągły plac przed wejściem do biurowca. W przeszłości ozdabiała go futurystyczna fontanna. Jej fragmenty leżały teraz rozrzucone pomiędzy stertami śmieci i gruzu. Trzymając się skraju placu, podeszliśmy pod drzwi wejściowe, w których zamiast szklanych tafli znajdowały się płyty z dykty pokryte graffiti. Ku mojemu rozczarowaniu dało się je odchylić na boki, tworząc pokaźną szczelinę. To nie musiało jeszcze o niczym świadczyć, ale zazwyczaj nie było dobrym znakiem. Budynki takie jak ten były idealnym miejscem na gniazdo. Względnie łatwe do zabezpieczenia i z możliwością przebicia się do kanałów, które służyły za drogę ewakuacji. To z tego powodu przeszukiwania prowadziliśmy z poziomu gruntu, a nie z dachu. Chcieliśmy mieć pewność, że nikt się nam nie wymknie.

Vaks złapał za krawędź dykty i odsunął ją, tworząc szerokie na kilkadziesiąt centymetrów przejście. Jeden za drugim wsunęliśmy się do środka i rozproszyliśmy po obszernym pomieszczeniu.

Znaleźliśmy się w holu z częściowo spalonym biurkiem recepcyjnym, nad którym wisiała zdekompletowana nazwa firmy. Obok biurka stał rząd powyginanych i połamanych bramek bezpieczeństwa. Za nimi, w głębi pomieszczenia widać było schody prowadzące na wyższe piętra. Posadzkę zaścierało potłuczone szkło, fragmenty mebli i śmiecie wszelkiego rodzaju. Ściany straszły otworami po wyrwanym wyposażeniu i elektronice, a wśród nich nie brakowało mniejszych, przypominających dziury po kulach.

Sprawnie przeszukaliśmy cały poziom, nie natrafiając na nikogo i szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że tak już zostanie. Nie chciałem dziś nikogo zabijać.

Ruszyliśmy schodami na górę, najostrożniej jak potrafiliśmy, ale i tak z każdym krokiem spod butów dochodził chrzęst potłuczonego szkła. Po ciągnącej się w nieskończoność wspinaczce dotarliśmy na piętro i przeszliśmy przez pustą ramę automatycznych drzwi. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu, które mogło być kawiarnią i miejscem spotkań. Dookoła widzieliśmy połamane krzesła i powywracane stoliki. W rogu leżała wyrwana z zabudowy i wypatroszona lodówka, a obok niej sterta szuflad z oderwanymi drzwiczkami – ktoś musiał solidnie się wysilić, żeby doprowadzić to miejsce do takiego stanu.

Zaraz po wejściu coś mnie zaniepokoiło, ale dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, na co chce zwrócić uwagę moja podświadomość. W odleglejszym końcu pomieszczenia stał stolik i cztery krzesła. Wskazałem go Fekowi, a ten skinieniem głowy potwierdził, że rozumie.

– Ostrożnie. – Usłyszałem głos Feka na wspólnym kanale. – Chyba nie jesteśmy tu sami.

Rozdzieliliśmy się na dwa zespoły. Pierwszy miał pójść w lewo i sprawdzić pomieszczenia za kawiarnią, a mój skierował się w prawo. Minęliśmy stolik i weszliśmy do przestrzeni zastawionej przez biurka. Ta część budynku prezentowała się dużo lepiej niż to, co widzieliśmy dotychczas. Meble nie były zniszczone, a jedynie pokryte warstwą kurzu, zaś na miękkim dywanie nie było szkła. Nawet na ścianach wciąż wisiały jakieś plakaty i schematy urządzeń. Posuwaliśmy się przejściem pomiędzy biurkami a szeregiem małych pomieszczeń konferencyjnych i prywatnych pokoi, dokładnie sprawdzając każdy zakamarek. Nikt się nie odzywał.

Wyszła wprost na nas.

Dziewczyna o blond włosach związanych w dwie kitki, w seledynowej spódniczce nad kolano i białym topie wyłoniła się zza rogu i na nasz widok zamarła. Jej duże oczy, podkreślone przez mocny makijaż, wypełniły się przerażeniem. Chciała krzyknąć, ale Glin doskoczył do niej, zatkał dłonią usta i obalił na ziemię, przygniatając swoim ciałem. Próbowwała walczyć, ale nie miała szans. Fek ukląkł obok szamoczącej się pary, wyprostował chude ramię dziewczyny, odsłaniając zgięcie łokcia, i wprowadził w żyłę igłę strzykawkę z reseterem. Po kilku sekundach skóra dziewczyny zafalowała, a twarz zaczęła się zmieniać.

– Mamy metamorfa – przekazał przez radio Glin pierwszemu zespołowi.

– Przyjęłam – potwierdziła Trez. – U nas czysto. Idziemy na górę.

Fek puścił rękę metamorfki, przesunął się w stronę jej głowy i wcisnął ją pomiędzy swoje uda, unieruchamiając.

– Arth, poświęć mi tu. – Usłyszałem głos Feka.

Podszedłem do dziewczyny, wycelowałem w jej głowę karabin i włączyłem latarkę. Fek odchylił jej powiekę i przez chwilę przyglądał się oczom w poszukiwaniu numeru seryjnego, który ukazywał się w chwili przemiany i pozostawał widoczny przez kilkadziesiąt minut.

– Wersja ósma. Za nisko – powiedział Fek, wstając.

Więcej nie musiał dodawać. Glin wyciągnął pistolet z tłumikiem, przyłożył go do głowy metamorfki i strzelił.

Kurwa. Kolejna prawie ludzka istota winna tylko tego, że żyła, została zamordowana w imię wyższego dobra. Gdyby była człowiekiem, musiałaby stanąć przed sądem, ale to prawie spowodowało, że wyrok wykonano na miejscu. Właśnie przez takie gówno poprosiłem o przeniesienie. Nie miałem problemu z zabijaniem, ale gdy wstępowałem do armii, nie pisałem się na bycie członkiem komanda egzekucyjnego, a tym stał się mój oddział. Wiedziałem, że część metamorfów była terrorystami, ale większość po prostu się ukrywała, chcąc przetrwać, i nie miała najmniejszych szans w konfrontacji z nami, więc byliśmy zwykłymi katami, mordercami działającymi w majestacie prawa. Pocieszyłem się tym, że to już ostatni raz.

Skończyliśmy sprawdzanie piętra i schodami weszliśmy na drugie. Skoro spotkaliśmy jednego metamorfa, było prawie pewne, że jest ich tu więcej, a budynek liczył sobie czterdzieści kondygnacji. Zapowiadała się długa noc.

– Wygląda na to, że gówno dzisiaj wyjdzie z naszego picia. – Usłyszałem w słuchawce głos Glina, który musiał czytać w moich myślach. – Ale i tak się nie wywiniesz, Arth.

Nie odpowiedziałem, nie zdążyłem.

– Kontakt! – zatrzeszczał w radiu krzyk Trez, a budynek wypełniły odgłosy kanonady z broni maszynowej. Nie naszej broni.

– Cel z przodu!

– Cel z lewej!

– Dostałem!

Krzyki kumpli i odgłosy strzelaniny zalewały nam słuchawki, gdy przemieszczaliśmy się korytarzem w kierunku walki. Wyglądało na to, że tym razem oberwiemy za swoje.

Dotarliśmy do drzwi sali konferencyjnej, za którymi trwała wymiana ognia. Pchnęliśmy je do środka i od razu zasypały nas drzazgi wyrwane pociskami, zmuszając do wycofania się. Przez otwarte drzwi widziałem, że znajdujemy się na samym dole audytorium, a ponad nami, pomiędzy szeregami siedzeń, chowali się przeciwnicy. Większość z nich ostrzeliwała się na oślep, unosząc broń ponad oparcia krzeseł, ale dało się wyczuć, że wśród nich znajduje się kilku potrafiących walczyć. Poza tym było ich więcej, dużo więcej niż nas. Nigdy w życiu nie widziałem tylu w jednym miejscu. Jeżeli wszyscy byli metamorfami, to było to największe gniazdo, na jakie trafiliśmy.

Z oddziału Trez tylko ona i Mer wciąż odpowiadali ogniem, skryci za potężnym metalowym biurkiem ustawionym na środku sceny. Trzech pozostałych szturmowców leżało bez ruchu na podłodze.

– Glin, dawaj granatnik! – Fek wydał rozkaz i sam wrzucił do środka dwa granaty dymne. Reszta oddziału poszła za jego przykładem. Gdy sala wypełniła się dymem, Glin posłał w kierunku siedzeń kilka granatów. Seria eksplozji wstrząsnęła budynkiem i ostrzał zdecydowanie osłabł.

– Arth, my zajmiemy się tymi skurwielami, a ty nas osłaniaj. Później zajmij się rannymi.

– Tak jest!

Ludzie z mojego oddziału włączyli celowniki termowizyjne, wkroczyli do sali i zaczęli przebiegać się w górę audytorium, strzelając do przeciwników przez oparcia krzesel. Dołączyli do nich Trez i Mer.

Zgodnie z rozkazem zostałem z tyłu, dając osłonę chłopakom, a gdy stało się jasne, że opór słabnie, skoncentrowałem się na poszkodowanych z oddziału Trez. Wywołałem wskaźniki ich parametrów życiowych. Poli i Wert nie żyli. Yin nadal oddychała, ale była ciężko ranna i jej parametry szybko się pogarszały.

– Arth, dasz radę sam? – W słuchawce usłyszałem głos Trez, mającej podgląd funkcji życiowych swoich ludzi.

– Tak. Dojebcie im.

Pobiegłem w kierunku Yin. Przeciwnik już prawie nie odpowiadał ogniem, ale nie miałem zamiaru kusić zabłąkanych kul. Zarzuciłem sobie Yin na ramię i zacząłem wycofywać się w kierunku drzwi. Wysoko nad głową przeleciało mi kilka kul, po czym strzelanina ustała.

– Uciekają wyjściami na górze! – Usłyszałem głos Glina.

– Idziemy za nimi! – rozkazał Fek.

Sześcioro szturmowców w egzozkieletach wyszło zza osłon i pobiegło schodami w górę sali. Byli kilka kroków od drzwi, gdy eksplozja wypełniła salę ogniem. Krzyknąłem...

* * *

Otworzyłem oczy. Byłem cały spocony, a serce tłukło się w piersi. Wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, i sprawdziłem, czy znowu nie obudziłem Lisy. Na szczęście spała. Wywołałem zegar na interfejs. 4:15. W zasadzie mogłem nie sprawdzać. Koszmar co noc wyrывał mnie ze snu o tej samej porze. Jak najdelikatniej podsunąłem się w górę do pozycji siedzącej i oparłem plecami o zagłówek łóżka.

Przed sobą miałem okna przełączone w tryb nocny, generujące obraz łagodnie falującego morza oświetlonego księżycem w pełni. Na niebie odcinającym się od wody równą linią horyzontu przesuwały się ciemne strzępy chmur popychane ciepłym wiatrem.

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, czy wiatr był ciepły czy nie, tak po prostu założyłem. Gapiłem się na ten widok od miesięcy i miałem wrażenie, że znam go na pamięć. Uspokajał mnie i w jakiś sposób przynosił ulgę, może dzięki temu, że był tak różny od tego, co widziałem jeszcze przed chwilą. We śnie pędziła w moim kierunku kula ognia, tu miałem przed sobą chłodny bezkres morza.

Kula ognia i mój własny krzyk to ostatnie, co zapamiętałem z tamtego dnia. Kilka ładunków termobarycznych zsynchronizowanych z ładunkami EMP usmażyło nam całą elektronikę i wypaliło wszystko tak doszczętnie, że po kilku chłopakach z mojego

oddziału nie pozostały nawet ślady genetyczne. Mnie uratował podmuch fali uderzeniowej. Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny, nim dotarł do mnie oddział wsparcia. Znaleźli mnie na ulicy, przygniecionego pokiereszowanym ciałem Yin, wśród gruzu i odłamków szyby, przez którą wyleciałem.

W nagrodę za przeżycie dostałem medal i zespół stresu pourazowego, chociaż o tym drugim wtedy jeszcze nie wiedziałem. Dwa dni później byłem już w cywilu.

Zabawne, wcześniej nie wyobrażałem sobie życia bez wojska, ale po eksplozji coś we mnie powiedziało „nie” i tyle. Średnia wieku dochodziła do stu pięćdziesięciu lat, a ja miałem dać się zabić za coś, z czym nawet się nie zgadzałem? Pieprzyć to! Odszedłem i nigdy tego nie żałowałem.

Leżąca obok Lisy poruszyła się. Pochyliłem się nad nią, zanurzyłem twarz w kręconych włosach, pocałowałem w czubek głowy i wziąłem głęboki wdech. Uwielbiałem zapach jej ciała.

– Nie śpisz? – zapytała zasnym głosem.

– Nie. – Poglądziłem ją po nagich plecach i pocałowałem między łopatkami. – Przepraszam, że cię obudziłem.

– Znowu ten koszmar? – Lisy przekreśliła się w moją stronę, położyła dłoń na mojej piersi i zaczęła wodzić palcami po torsie. – Wiesz, że nie musisz się tak męczyć. Mogłabym to naprawić. Dwie, może trzy sesje i miałbyś to z głowy.

– Wiem, skarbie, ale wolałbym samemu sobie z tym poradzić.

Już dawno dojrzałem do tego, żeby stwierdzić, że kwalifikuję się na terapię. Wiedziałem, że Lisy mogłaby mi pomóc, ale lubiłem siebie takim, jakim byłem, i nieprzespane noce to było zbyt mało, żebym wpuścił ją do swojej głowy.

– Co za uparciuch. – Uniosła głowę i pocałowała mnie w brzuch. – Mój uparciuch.

– Twój – odpowiedziałem, całując ją w czubek głowy i gładząc po plecach. – Idź spać, skarbie. Musisz być wypoczęta, żeby od rana zbawiać świat.

– Tego świata nie da się zbawić. – Lisy położyła się na brzuchu z twarzą skierowaną w moją stronę. – A ty co będziesz robił?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Pewnie myślał.

– O czym? O koszmarach?

– Nie – skłamałem, uśmiechając się pod nosem. – Mam wiele innych spraw, o których mogę myśleć.

– Na przykład jakich?

– Miałas iść spać. – Poglądziłem wierzchem dłoni jej policzek. Był gładki jak aksamit.

– Nie wiem, czy zasnę. Powiedz mi.

– Na przykład takich. – Przeciągnąłem palcem po plecach Lisy i ściągnąłem prześcieradło, odsłaniając jej pośladki. Uśmiechnęła się.

– Aha. Ale będziesz tylko myśleć czy może chciałbyś coś z tym zrobić?

V

Obudził mnie intensywny zapach parzonej kawy. Zaciągnąłem się nim głęboko i delektowałem przez długą chwilę. To był chyba jedyny aromat, jaki zapamiętałem z dzieciństwa, a na pewno jedyny, który dobrze mi się kojarzył. Każdego ranka unosił się w kuchni okupowanej przez ojca. Siedział przy stole w czarnym mundurze policjanta, w jednej dłoni trzymając biały kubek z logiem komisariatu, a palcem drugiej przeciągał po ekranie stołu, przeglądając nocne raporty. Ten widok był stałym elementem mojego życia do czasu, aż pewnego dnia wszedłem do kuchni i zobaczyłem puste krzesło. Kilka godzin później do mieszkania przyszli koledzy ojca i powiedzieli mi, że zginął na służbie. Tak skończyło się moje dziewięcioletnie dzieciństwo, pozostawiwszy po sobie jedynie wspomnienia zakodowane w aromacie kawy.

Przetarłem zaspane oczy i usiadłem na łóżku. Miejsce zajmowane przez Lisy zdążyło już ostygnąć. O tym, że w ogóle spędziła ze mną noc, świadczyła poduszka leżąca na podłodze, którą Lisy zawsze zrzucała przez sen. W miejscu poduszki na łóżku dostrzegłem bieliznę z materiału tak przezroczystego, że stawał pod znakiem zapytania zasadność jej noszenia. Uśmiechnąłem się na ten widok. Nie przypominałem sobie, żeby Lisy miała ją wczoraj na sobie, więc musiała być zapowiedzią nadchodzącego wieczoru.

Jej nieobecność mnie nie zaskoczyła, bo w sumie rzadko zdarzało się nam spędzać razem poranki. Praca była sensem życia i obsesją Lisy. Czasem miałem wrażenie, że od chwili otwarcia powiek aż do zaśnięcia myślała tylko o niej, nawet jeśli akurat robiła coś zupełnie z nią niezwiązanego. Każdego dnia zrywała się o świcie i odbywała swój poranny rytuał: kilka kroków do kuchni, kawa z mlekiem, łazienka, kilka łyków kawy, śniadanie, kawa, makijaż, kawa, ubranie, kawa, łazienka, zamykanie drzwi. Pozostawał po niej zapach kawy i kubek w przypadkowym miejscu. Czasami znajdowałem go na blacie w kuchni, ale częściej w łazience albo nawet na podłodze przy wyjściu z mieszkania.

Z tej strony znałem ją tylko ja. Całe swoje roztrzepanie i chaos zostawiała w domu. Do kliniki docierała jako zupełnie inna osoba: spokojna, opanowana i metodyczna profesjonalistka. Zawsze zjawiała się pierwsza, godzinę przed przybyciem reszty zespołu. Nie musiała tego robić, ale mówiła mi, że lubi w samotności przygotować się na wizyty pacjentów, bez pośpiechu skonfigurować system, sprawdzić sprzęt, przejrzeć logi diagnostyczne i przećwiczyć na sucho procedury. To był jej rytuał i biada temu, kto próbowałby go zakłócić.

Wstałem z łóżka, przeciągnąłem się przy akompaniamencie chrupiących kości i nagi poszedłem do aneksu kuchennego. Był to najmniej używany element wyposażenia w całym mieszkaniu, pełnił głównie funkcję dekoracyjną. Grafitowe fronty szafek

kontrastowały z bielą ścian, a przez całą długość blatu z białego marmuru ciągnęła się donica, w której rosły zioła. Na szczęście dla nich i pozostałych roślin w mieszkaniu o ich potrzeby dbała Mira, bo w przeciwnym razie już dawno zmieniłyby się w smutną kolekcję uschniętych łodyg.

Biały kubek z wytartym logo komisariatu czekał przy ekspresie. Znad tafli czarnego płynu unosiła się wstęga pary.

– Dzięki za kawę, Mira – rzuciłem w przestrzeń, podniosłem kubek, zaciągnąłem się aromatem i upiłem łyk.

– Nie ma sprawy, Arth. Mam nadzieję, że będzie ci smakowała. – Głos Miry rozbrzmiał z głośników nad moją głową, a jej twarz pojawiła się na wyświetlaczu pokrywającym całą ścianę nad blatem kuchni.



– Jest idealna, robisz najlepszą kawę w Steris.

– Przesadzasz, ale dziękuję za komplement.

Lubiłem mówić do Miry na głos, chociaż nie musiałem tego robić. Dzięki implantowi telepatycznemu wszczepionemu do mózgu mogłem się z nią komunikować bez słów. Zresztą ta opcja nie należała do najbardziej spektakularnych z pakietu dostępnych możliwości. Na legalnym rynku nie oferowano bardziej zaawansowanej SI. Bezsprene jakość uzasadniała cenę, i to niemałą. Za te pieniądze można było wykupić podróż dla dwojga wokół Księżyca. Użyłem tego argumentu przeciwko zakupowi, ale Lisy uparła się i sama zapłaciła za aktualizację, więc ostatecznie nie miałem nic do powiedzenia. Kpiłem tylko, gdy sprzedawca twierdził, że nawet się nie zorientujemy, kiedy SI – płeć i imię nadaliśmy później – stanie się dla nas członkiem rodziny. Nie kłamał. Sam nie wiedziałem, w którym momencie zacząłem traktować Mirę jak najbliższą, bardzo pomocną przyjaciółkę.

– Wiem, co mówię, uwierz mi – odpowiedziałem, uśmiechając się pod nosem. Mira może i była sztuczną inteligencją, ale komplementy lubiła jak najprawdziwsza kobieta. – Odsłoń okna, proszę.

Przyciemnione tafle szkła pokrywające ścianę studia, ciągnącą się od aneksu kuchennego aż do części sypialnej, stały się przezroczyste i wpuściły do środka światło. Poda mną rozpościerała się panorama miasta. Nasze mieszkanie – a właściwie mieszkanie Lisy – znajdowało się na najwyższym, trzysta dwudziestym pięttrze luksusowego apartamentowca. W całym Steris było zaledwie kilka wyższych budynków mieszkalnych. Oprócz nich jedynie potężne wieże korporacyjnych biurowców wynurzały się spomiędzy tysięcy mniejszych wieżowców i pięły się ku niebu, niekiedy – tak jak dziś – przebijając chmury.

Steris było jednym z wielu miast, zbudowanych w odpowiedzi na narastający kryzys demograficzny, pogłębiany przez globalne ocieplenie i podnoszący się poziom oceanów, które sukcesywnie zatapiały nadmorskie aglomeracje. Zaprojektowano je i wybudowano od zera. Miało być pozbawione wad miast przeszłości – stanowić przyjazną dla środowiska oazę dobrobytu, pokoju i tolerancji, na jaką człowiek w swym mniemaniu zawsze zasługiwał. A przynajmniej taka była wizja architektów.

W praktyce ludzkość po raz kolejny pokazała, że potrafi wszystko spieprzyć. Ledwie prace budowlane się zaczęły, w Steris wyodrębniły się lepsze i gorsze dzielnice, przeznaczone dla lepszych i gorszych mieszkańców. Potem wszystko stopniowo wróciło na stare tory i ostatecznie zamiast cywilizacyjnego klejnotu stworzyliśmy sobie nowe, ale takie samo jak zawsze, siedlisko chciwości, przemocy i beznadziei.

Pociągnąłem łyk kawy i spojrzałem na szare niebo, gdzie próżno było szukać ptaków, za to nie brakowało powietrznych taksówek przemieszczających się pomiędzy stacjami dokującymi wieżowców. Latały po ściśle określonych trasach i pod całkowitą kontrolą sztucznej inteligencji dbającej o punktualność i dostosowującej natężenie ruchu do korporacyjnych grafików. Oprócz nich nad miastem można było dostrzec jeszcze limuzyny i pojazdy służb pobłyskujące kolorowymi światłami.

Poniżej rozciągała się metropolia, wyznaczając swoje granice gdzieś za odległym horyzontem i jedynie od zachodu jej ekspansję ograniczała ledwo widoczna, siwa smuga

oceanu. Naszpikowaną wieżowcami powierzchnię miasta przecinały potężne kanały wodne zapewniające chłodzenie i wentylację. Po stalowoszarych wodach sunęły pełnomorskie statki transportowe i niezliczone mniejsze jednostki. Swego czasu władze miejskie postarały się o stworzenie nad brzegami plaż. W lepszych dzielnicach, gdzie woda była na tyle czysta, że można było w niej pływać, bieleły połacie piasku. W pozostałych rejonach nikt raczej nie wchodził do kanałów z własnej woli, więc i plaże zniknęły przykryte tonami śmieci.

Nad kanałami, w regularnych odstępach, przerzucono mosty łączące pajęczyny wielopoziomowych autostrad wijących się pomiędzy wieżowcami. Zbudowane z nadprzewodników drogi wytwarzały poduszkę magnetyczną, dzięki której lewitujące pojazdy poruszały się niemal bezgłośnie bez względu na natężenie ruchu. Daleko za horyzontem wszystkie nitki autostrad zbiegały się w jedną, potężną arterię biegnącą ku Wschodniemu Wybrzeżu. Była to ostatnia naziemna trasa przecinająca cały kontynent i od miesiący planowaliśmy z Lisy pokonać ją samochodem, tak jak to robiono w dawnych czasach.

Odstawiłem pusty kubek na blat. Biało-czarne ramię robota kuchennego wyłoniło się ze spodu jednej z szafek i trójpalczasta dłoń zabrała naczynie do mycia. Przeciągnąłem się i poszedłem do mojego biura. Gdy się wprowadziłem, Lisy bardzo zależało, żebym czuł się jak u siebie, i pomimo moich protestów oddała mi jedyne samodzielne pomieszczenie – poza łazienką – w całym mieszkaniu.

Pokój był biurem tylko z nazwy, bo tak naprawdę dawno temu zastąpiłem większość mebli żelastwem do ćwiczeń fizycznych. W firmie mieliśmy siłownię z najnowocześniejszym sprzętem i najdroższych trenerów, ale lubiłem też poćwiczyć w domu w samotności. To była moja forma medytacji.

Wciągnąłem na siebie spodenki treningowe i przez godzinę przerzucałem ciężary. Gdy skończyłem, udałem się do łazienki. Wrzuciłem przepoczone spodenki do prania, wszedłem do kabiny prysznicowej, na ekranie dotykowym wybrałem najszybszy program i przymknąłem oczy. Mgielka wodna z płynem do kąpieli wystrzeliła z mikroskopijnych dysz i w sekundę zwilżyła ciało. Wyszorowałem skórę, podążając za instrukcjami ekranu nakierowującego mnie na wciąż nieumyte miejsca i pilnując zegara odliczającego czas do spłukania piany. Na koniec dysze dmuchnęły osuszającym powietrzem i w niecałe półtorej minuty byłem czysty. Ekologia i oszczędność przede wszystkim, aż do znużenia.

Podczas mycia zębów czujniki medyczne zamontowane w łazience wykonały rutynowy skan diagnostyczny. Na ekranie pełniącym funkcję lustra i pokrywającym jedną ze ścian wyświetlił się obraz mojej sylwetki z wyróżnionymi organami wewnętrznymi i komunikatami o ich kondycji. Ogólny stan zdrowia został oceniony na dziewięćdziesiąt osiem procent. Nie było źle. Biorąc pod uwagę moją przeszłość i to, że w niemal stu procentach byłem naturalnym tworem, miałem powód do zadowolenia. Mój wiek biologiczny w przybliżeniu odpowiadał wiekowi rzeczywistemu. Wyjątek stanowił żołądek, lewy płąt płucny i lewa dłoń. Wyhodowano je z komórek macierzystych i przeszczepiono pięć lat wcześniej, po tym jak nasz transportowiec nawiązał nazbyt intymną relację z rakietał ziemia-powietrze.

Skończyłem myć zęby i wyciągnąłem z pralki czyste i idealnie wygładzone ubrania – szorty, czarne spodnie wykonane z tego samego materiału co kombinezony bojowe i mój ulubiony, szarzielony i mocno znoszony T-shirt z obozu rekrutów. Ubrałem się i wyszedłem z łazienki.

– Mira, zrobisz mi jeszcze jedną kawę? – poprosiłem, rozsiadając się na kanapie, gotowy cieszyć się wolnym dniem.

– Arth, skończyłeś pić kawę godzinę temu. – Tym razem twarz Miry pojawiła się na monitorze terminala Lisy.

– Wiem – powiedziałem, kładąc głowę na oparciu kanapy. – Ale potrzebuję jeszcze jednej.

– Wczoraj prosiłeś mnie, żebym pomogła ci ograniczyć spożycie kofeiny. – SI nie ustępowało.

– Na pewno nie.

– Arth, wiesz, że ja nigdy nie zapominam i nigdy się nie mylę. – Mira uśmiechnęła się uroczo.

– Czasem mogłabyś poudawać. Będziesz mnie pilnowała od jutra, okej?

– Odkładanie zmian na kolejny dzień to jedna z głównych przyczyn porażek w realizacji celów osobistych – nauczyła mnie. – Dysponuję licznymi statystykami na poparcie tej tezy. Mogę ci je zaprezentować, jeżeli chcesz.

– Nie ma takiej potrzeby, wierzę ci na słowo. Za mądra jesteś. – Pokręciłem głową z uśmiechem.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. – Puściła mi oczko. – Zrobię ci bezkofeinową, nie poczujesz różnicy.

– Obiecujesz? – Szczerze w to wątpiłem, żeby jakaś ugrzeczniona podróbka mogła godnie zastąpić prawdziwą kawę.

– Masz moje słowo.

– No dobra, niech będzie – poddałem się. – Tylko nie chwal się Lisy, jak łatwo ci ulegam.

– Będę milczała jak grób. – Ekran terminala zgasł, a z kuchni doleciało ciche buczenie ekspresu.

Przywołałem wiadomości na ekran soczewek i zacząłem sprawdzać, jak wyglądają aktualne tendencje świata w dążeniu do samozniszczenia. Wystarczył szybki przegląd nagłówków newsów, żeby się przekonać, że od wczoraj nic się nie zmieniło. Powódzie, tornada, susze, terroryzm i wojny o zasoby. Standard.

Ekspres zapiszczał, a po chwili podleciał do mnie dron kuchenny trzymający w swoich pająkowatych odnóżach mój biały kubek. Gdy tylko złapałem za ucho, dron puścił naczynie, po czym odleciał do stacji dokującej.

– Miałaś rację, Mira, jest całkiem niezła – przyznałem po pierwszym łyku.

– Zawsze mam.

Z powrotem skupiłem się na wiadomościach. Jedynym wydarzeniem, przy którym zatrzymałem się na dłużej, była relacja z nalotu policji na kryjówkę Vomo – naturalistycznej organizacji terrorystycznej.

Ugrupowanie to pojawiło się na scenie politycznej kilka miesięcy wcześniej dosłownie znikąd, co jednak nie było niczym wyjątkowym. Na świecie istniało wiele podobnych organizacji zakładanych najczęściej przez dzieciaki niemogące pogodzić się z nierównościami społecznymi wynikającymi ze statusu materialnego. Nie dziwiłem się ich frustracji. W naszych czasach nie trzeba było nad niczym pracować, niczego się uczyć, do niczego dążyć, żeby stać się wymarzoną wersją siebie – wystarczyło mieć kasę. Z największego debila i kaleki technologia potrafiła zrobić półboga. Tych, którzy wciąż przykładali wagę do tradycyjnego rozwoju, uważano za ortodoksów i dziwaków. Nie brakowało polityków i szefów korporacji posuwających się nawet do twierdzenia, że ludzie bez augmentacji upośledzają społeczeństwo i hamują jego rozwój. Co jakiś czas powracał postulat wprowadzenia obligatoryjnego minimalnego poziomu usprawnień. Według pomysłodawców i lobbystów osoby niechzące się dostosować lub niemogące sobie na to pozwolić należałoby do tego zmuszać albo zamykać w specjalnych obozach. Takie wypowiedzi w oczywisty sposób pogłębiały podziały i intensyfikowały konflikt społeczny, który od czasu do czasu manifestował się atakami terrorystycznymi, przeprowadzanymi w imię społecznej odpowiedzialności i sprawiedliwości.

Pozostawało dla mnie zagadką, jak w czymś umyśle mogło powstać przeświadczenie, że zamach wywoła przebudzenie, odrzucenie augmentacji i powrót skruszonej ludzkości na łono natury. Ilekroć próbowałem odtworzyć podobny proces logiczny, ocierałem się o szaleństwo, ale kto wie – może to była właściwa odpowiedź.

Ze wszystkich organizacji terrorystycznych, z którymi się zetknąłem, tylko Vomo darzyłem sympatią. Nie ze względu na ich poglądy, ale dlatego, że wykończyli Ludvika van Fertha, przewodniczącego Ligi Kontynentalnej i technologicznego ewangelistę. Któregoś dnia stał na mównicy, pieprząc coś o dalszym postępie ludzkości, aż tu nagle jego własna protetyczna ręka wbiła mu się w czaszkę i wyrwała spory fragment mózgu. Przerazająca śmierć, ale nie było mi go szkoda. Nie mogłem mu darować, że gdy jego polityczna kariera zaczęła przygasać, postanowił ją ocalić kosztem żołnierzy. Wykorzystał ówczesne antywojenne nastroje i ogłosił się liderem ruchu pacyfistycznego. Jego członkowie atakowali zwykłych żołnierzy i ich rodziny, wyzywali od zbrodniarzy, a w kilku przypadkach dopuścili się morderstwa. Van Ferth nigdy nie potępił tych ataków. Stwierdził wręcz, że gdyby żołnierzami były androidy, to nie byłoby zbrodni wojennych i społecznego gniewu, który musiał znaleźć ujście. Miał szczęście, że to nie ja stałem za zamachem, bo wtedy proteza usunęłaby mu mózg przez dupę.

Cokolwiek Vomo zamierzało ugrać tym zamachem, osiągnęło skutek odwrotny do zamierzonego. W ciągu kilku dni po ataku rozpoczął się sezon łowiecki na aktywistów. W następnych miesiącach rozbito wszystkie komórki i zlikwidowano większość członków organizacji. Przy okazji zrobiono też porządek z wieloma innymi religijnymi i społecznymi ugrupowaniami, krytykującymi działania firm technologicznych oraz władz miejskich, albo po prostu prezentującymi opinie ogólnie niepasujące do powszechnie uznawanej wizji rzeczywistości. Wszystko to przy aprobacie opinii publicznej.

Zamknąłem okno wiadomości i zacząłem nadrabiać zaległości w doświadczaniu interaktywnych projekcji z mojej listy wstydu, która sukcesywnie rosła w ostatnich

miesiącach. Dotarłem do trzeciego filmu, gdy na soczewce zobaczyłem podobiznę Viki z krótką wiadomością:

„Przyjedź do biura. Pilne”.

Zniknęła po trzech sekundach zastąpiona kolejną – również od Viki – zawierającą wizualizację małej dziewczynki niecierpliwie przebierającej nogami.

Spojrzałem na zaczynający się film, westchnąłem i wstałem. Wzięty ze stolika pistolet w kaburze wsunąłem za pasek spodni na plecach i ruszyłem w stronę drzwi.

– Mira, wychodzę. Będę za kilka godzin. Pilnuj mieszkania – powiedziałem, zarzucając na siebie kurtkę.

– Naprawdę myślisz, że musisz mi o tym przypominać? – zapytała z udawanym wyrzutem.

– Po prostu lubię się z tobą droczyć.

Wyszedłem na korytarz.

– Nie narozrabiaj za bardzo – dodałem, zamykając drzwi.

VI

– Wiesz co, Arth? Pieprz się! Za każdym razem, gdy się umawiamy, żeby o tym pogadać, tobie coś wypada. Mam tego dość! Idź, rób co chcesz, i nie śpiesz się z powrotem.

Lisy rozłączyła się, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć. Wziąłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze, żeby się uspokoić. Lisy potrafiła wyprowadzić mnie z równowagi w mgnieniu oka. Nie przypominałem sobie, aby ktokolwiek inny działał na mnie w ten sposób. Być może to jedna z tych umiejętności zarezerwowanych dla tej jedynej, a może po prostu Lisy знаła mnie lepiej niż ja sam i wiedziała, którą strunę w mojej duszy szarpnąć, żeby mi dopiec. Nawet się jej nie dziwiłem. Kolejny raz odwoływałem romantyczną kolację z powodu pracy. Nie mogłem powiedzieć Lisy, czym tak naprawdę się zajmuję i dlaczego nie jestem w stanie odmówić szefowi, więc z jej punktu widzenia najzwyczajniej w świecie unikałem poważnej rozmowy i tematu dziecka. Miała w tym trochę racji, bo raz czy dwa rzeczywiście zasłoniłem się obowiązkami służbowymi, by zakończyć dyskusję o naszym rodzicielstwie. Wcześniej przechodziło to łatwiej, ale od dwóch miesięcy wewnętrzna potrzeba Lisy do planowania wszystkiego w szczegółach brała górę, temat powracał coraz częściej, a chęć posiadania potomka najwyraźniej nie słabła. Sam nie wykluczałem takiej opcji, ale nie uważałem, żeby już nadszedł właściwy czas. Tak czy inaczej, czekały nas ciche dni, choć przynajmniej tym razem czułem się w porządku, bo naprawdę nie miałem wyboru.

Obciągnąłem mankiety białej koszuli tak, żeby wystawały półtora centymetra spod rękawów czarnej marynarki, i odwróciłem się od okna, za którym rozciągała się wieczorna panorama Steris. Znajdowałem się w poczekalni zarezerwowanej dla szefostwa i specjalnych gości odwiedzających siedzibę Vertas Corp. Pomimo niewielkich rozmiarów pomieszczenia nie można było mieć żadnych wątpliwości, dla kogo zostało przygotowane. Na środku poczekalni znajdował się stolik kawowy z białym kamiennym blatem poprzecinanym żyłami złota. Ustawiono go na rozciągniętej skórze jakiegoś dużego zwierzęcia o brązowej sierści. Nie byłem ekspertem w tej dziedzinie, ale nie wyglądała mi na syntetyczną kopię. Wokół stolika stała skórzana kanapa z leżącymi na niej poduszkami obszytymi tym samym materiałem i trzy fotele z drewnianymi podłokietnikami. W rogu naprzeciwko mnie rosła w donicy palma, liśćmi sięgająca sufitu. Oprócz niej w poczekalni znajdowało się więcej roślin poustawianych na podłodze, ladzie baru i półkach. Pomędzy nimi umieszczono przypominające słoje lampy. Ich ciepłe światło wypełniało pomieszczenie pomarańczową poświatą i dodawało mu przytulności. Nad barem, na szklanych półkach, prezentowała się kolekcja alkoholi wyprodukowanych dziesiątki, a nawet setki

lat przed moimi narodzinami. Kusilo mnie, żeby posmakować historii, ale niestety czekała mnie robota, więc zamiast alkoholu musiałem ograniczyć się do wody gazowanej. Podszedłem do lodówki ustawionej za barem, uderzyłem palcem w ekran i z długiej listy dostępnych opcji wybrałem wodę z najbardziej egzotyczną nazwą. Urządzenie zabuczało i po kilku sekundach w podajniku pokazała się butelka z niebieskiego szkła. Odkręciłem nakrętkę i upiłem łyk przyjemnie schłodzonej cieczy.

Usiadłem na fotelu i sięgnąłem po leżący na stoliku tablet informacyjny. Z czarno-białego zdjęcia spojrziała na mnie dojrzała brunetka o włosach poprzetykanych siwymi pasemkami. Miała na sobie białą koszulę odsłaniającą dekolt ozdobiony diamentową kolia, a na jej piersi połyskiwała broszka z logiem firmy, przypięta do ciemnego żakietu. Z twarzy kobiety emanowała siła i determinacja, dokładnie taka była Veronica Vertas – właścicielka i dyrektorka zarządzająca Vertas Corp.

Artykuł pod zdjęciem przybliżał pięćdziesięcioletnią historię firmy, ale już po pobieżnym przeskanowaniu tekstu wiedziałem, że ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Kolejne powtórzenie oficjalnej wersji mającej na celu utrwalić ugrzeczniony wizerunek korporacji. W jednym jednak artykuł nie mijał się z prawdą, historia firmy była historią Veroniki.

Czytałem gdzieś, że jeszcze w połowie XXI wieku Vertas była jedną z wielu farmerskich rodzin żyjących na Zachodnim Wybrzeżu. W dobie technologicznego rozkwitu ekonomia opierała się na elektryczności, robotyce, danych, sztucznej inteligencji, przemyśle rozrywkowym i tym podobnych, ale bajtami nie dało się najeść. Wiedział o tym Eduardo Vertas – przyszły ojciec Veroniki. Podczas gdy inni inwestowali majątki w firmy technologiczne, on systematycznie powiększał swój areał, sprawiając, że w ciągu dekady Vertas stali się jednymi z głównych żywicieli Zachodniego Wybrzeża. Nie bez znaczenia była tu pomoc gubernatora, z którym Eduardo przyjaźnił się od czasów wspólnej służby wojskowej, ale o tym fakcie oficjalne przekazy wołały milczeć.

Osiągnięty sukces zapewne zaspokoiłby ambicje Eduarda, ale niestety we wszystko wchodziła natura. Postępujące zmiany klimatyczne i podnoszący się poziom wód stopniowo pochłaniały tereny uprawne. Vertas kompensowali straty, kupując pola w głębi łądu, ale z konieczności eksploatowane nadmiernie ziemie szybko jałowiały, ceny żyznych gruntów rosły z dnia na dzień, a chętnych do sprzedaży ubywało.

Eduardo stanął przed wyborem: patrzeć na agonię dzieła życia albo walczyć o nie wszelkimi środkami. Wybrał to drugie. Miał jedenastu synów, licznych przyjaciół i pracowników gotowych zrobić dla niego wszystko. Innymi słowy, Eduardo miał armię i determinację, by się nią posłużyć.

Farmerzy na Zachodnim Wybrzeżu otrzymali ofertę od Vertas. Uczciwą, a nawet hojną, ale i nie do odrzucenia. Nie każdy to rozumiał. Do najbardziej opornych fatygowali się przedstawiciele rodziny i wyjaśniali zaistniałe nieporozumienie. Czasem wystarczała perswazja, a gdy ona zawodziła, w zmianie stanowiska pomagała niewielka amputacja dokonana przy pomocy narzędzi rolniczych.

W odpowiedzi na zagrożenie ze strony Vertas farmerzy zrzeszyli się w syndykat i stawili zorganizowany opór. Początkowo sceną walk były sale sądowe, ale szybko stało

się jasne, że posiadany majątek, równie skutecznie co ziemię, pozwala pozyskiwać przychylność władz i sądów.

W myśl odwiecznej prawdy, że tam, gdzie nie wystarcza siła argumentów, niezbędny staje się argument siły, wybuchła pierwsza wojna farmerska. Nie było dnia bez strzelanin, porwań i zamachów. Płonęły farmy, ciężarówki przewożące plony przepadały bez wieści, a na polach znajdowano bezgłowe trupy pracowników. Dostawało się też pośrednikom, sklepom, a w pojedynczych przypadkach nawet nabywcom. Sytuacja wymknęła się spod kontroli do tego stopnia, że musiało interweniować wojsko, ale nawet obecność żołnierzy na ulicach nie przyniosła znaczącej poprawy.

Konflikt ciągnął się latami ze zmiennym szczęściem dla Vertas, niezaprzeczalnie jednak stał się podwaliną ich przyszłej potęgi. Wydarzeniem, które wytyczyło im kurs do wielkości, była największa tragedia, jakiej doświadczyli w swojej historii.

W wyniku serii zamachów Eduardo, liczący już wtedy siedemdziesiąt lat, stracił dziesięciu synów. Żadny zemsty i wspierany przez Agapita, ostatniego męskiego przedstawiciela rodu, był gotowy na wojnę totalną i nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Zachodniego Wybrzeża, gdyby nie dwudziestoletnia Veronica. Jedyna córka zdołała przekonać ojca do porzucenia nie tylko zemsty, ale również ziemi na rzecz rodzącego się z piasków Steris.

Wynegocjowany pokój był dla wielu symbolem klęski i zdrady wobec poległych, ale dzięki niemu Vertas mogli sprzedać majątek i zapewnić sobie zasoby na start w nowym życiu.

Po przeprowadzce do Steris trawiony poczuciem winy za śmierć synów Eduardo odsunął się od prowadzenia interesów i większość czasu spędzał w ogrodzie na dachu firmowego wieżowca. Jego prawą ręką została córka. Nieprzejawiająca zainteresowania farmerskim biznesem, Veronica szybko wykazała talent inwestycyjny, lokując pieniądze w przemyśle rozrywkowym, firmach biotechnologicznych i branży erotycznej. Szczególnie lukratywny okazał się mariaż dwóch ostatnich, którego efektem były najbardziej zaawansowane kombinezony immersyjne, pozwalające przenieść się w centrum erotycznych wydarzeń.

Vertas Corps rosło w siłę, pomnażało majątek i awansowało w biznesowej hierarchii. Logo firmy pojawiało się przy okazji akcji charytatywnych, wydarzeń kulturalnych i zawodów sportowych. Niestety po kilku latach prosperity przeszłość przypomniwała o sobie.

Nikt nie wie, co dokładnie wydarzyło się przed czterdziestu sześciu laty, ale wszystko wskazuje na to, że niemogący pogodzić się ze śmiercią braci i życiem w cieniu siostry Agapito rozpoczął prywatną zemstę. Opłacił członków lokalnego gangu i wraz z nimi zaatakował siedzibę rolniczego syndykatu kontrolującego Zachodnie Wybrzeże. Celem ataku miała być rada nadzorcza. Zamiast niej oddział Agapita zastał drony uzbrojone w ciężkie karabiny maszynowe. Podobno gdy umilkły odgłosy strzałów, szczątki zamachowców trzeba było ścierać mopami.

Na wieść o śmierci ostatniego syna Eduardo dostał wylewu i zmarł, a na czele Vertas Corps, już oficjalnie, stała dwudziestoczteroletnia Veronica. Rozsądna, odnosząca sukcesy, z wielkimi ambicjami i nigdy nieangażująca się w farmerski konflikt, opłakała stratę bliskich i porzuciła vendettę na rzecz rozwoju firmy. Tak przynajmniej wszystkim się wydawało.

Pittakos twierdził, że wybaczenie jest lepsze niż zemsta. No cóż, Veronica najwidoczniej nie czytała jego dzieł. Umiała za to cierpliwie czekać i w końcu nadszedł dzień, w którym okazało się, że topór wojenny zamiast być zakopany głęboko pod ziemią, pokryty jest co najwyżej kurzem. Czekala niemal piętnaście lat na dogodny moment, a gdy ten się nadarzył, uderzyła wszystkim, co miała. Pomimo upływu lat na ulicach Steris wciąż można było usłyszeć opowieści o skali i brutalności tamtej długo sezonowanej zemsty. Ciała odnajdowano w publicznych miejscach okaleczone tak, że doświadczeni policjanci wymiotowali na ich widok. Każdy, kto wyrządził krzywdę Vertas bądź na niej skorzystał, miał ponieść karę. Przed zemstą nie było ucieczki, chyba że w śmierć, co też niektórzy wybrali.

W siedzibie Vertas Corps znajduje się izba pamięci dokumentująca historię rodziny, obowiązkowy punkt przy wprowadzaniu nowych pracowników. Wśród pamiątek i zdjęć, w centralnej części sali, wisi fotografia Veroniki, zrobiona podczas przyjęcia wyprawionego z okazji jej czterdziestych urodzin. Tylko nieliczni wiedzą, że na przyjęciu celebrowała coś więcej niż przeżycie kolejnego roku. Legenda głosi, że tamtego dnia dopełniła vendetty. W ramach prezentu urodzinowego podarowano jej Marca O'Nella, szefa syndykatu, odpowiadającego za śmierć jej braci, a ona osobiście rozrąbała mu głowę.

Nie wiem, czy tak było naprawdę, ale dla mnie piękna brunetka o bladej cerze, czarnych włosach, przenikliwym niebieskim spojrzeniu, ubrana w czerwoną wieczorową suknię na zawsze pozostanie współczesną reinkarnacją Nemezis.

Z zamyślenia wyrwało mnie przybycie Rek niosącej czarny nesesor. Dwudziestoosmioletnia blondynka o asymetrycznie ściętych włosach, prostym nosie pokrytym drobnymi piegami, błękitnych oczach i atletycznej, ale nie nadmiernej rozbudowanej sylwetce mogła się podobać i nawet w kostiumie agentki ochrony przyciągała uwagę kształtami. Spośród wszystkich opiekunów tylko Rek mogłem określić mianem przyjaciółki.

W poprzednim życiu – jak to sama określała – była policjantką w wydziale zabójstw, ale po konflikcie z szefostwem rzuciła służbę i dołączyła do Vertas. Można by pomyśleć, że to zmiana o sto osiemdziesiąt stopni, ale według Rek tak naprawdę nic się nie zmieniło. Policja już dawno zapomniała o swojej podstawowej misji: chronić i służyć. Motto nadal widniało na odznakach, ale nie przejawiało się w czynach funkcjonariuszy.

– Wszystko okej? – zapytała Rek. – Nie wyglądasz zbyt ciekawie i nie mówię tylko o garniturze. Co się stało?

– Kobieta. – Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Baby to chuje. – Rek odstawiła walizkę na stolik, rozpięła żakiet, usiadła na kanapie i położyła nogi na blacie. – Coś poważnego? Opowiadaj.

– W sumie to nie, ale nie powtarzaj tego Lisy.

– Znowu chce się rozmnażać?

Przytaknąłem skinięciem głowy.

– Nie rozumiem jej. Może chce dziecko, jasne, ale z tobą? – Na twarzy Rek pojawił się złośliwy uśmiezek.

– No to jest nas dwoje.

– To dlaczego w końcu nie zrobisz jej tego cholernego bąbelka? Ona będzie zadowolona, a ty będziesz miał święty spokój.

Spojrzałem na nią jak na wariatkę.

– Święty spokój przy dziecku? – Opuściłem głowę i splotłem ręce na piersi. – Zresztą i tak nie o to chodzi.

– A o co?

– Nieważne. – Pokręciłem głową.

– Nie ma, że nieważne. Komu powiesz, jak nie mnie?

Cholera, miała rację, poza Viki tylko z nią mogłem pogadać o takich sprawach.

– Chyba po prostu się boję, że dzieciaka spotka taki sam los jak mnie – zacząłem po chwili milczenia. – Nie wykonujemy najbezpieczniejszego zawodu świata. Jak coś mi się stanie, to co wtedy? Nie chcę, żeby się bujał między rodzinami zastępczymi, aż w końcu wyląduje w sierocińcu tak jak ja.

– Okej, mogę to zrozumieć, ale abstrahując od tego, że nie tak łatwo odstrzelić ci łeb, to dzieciak będzie miał jeszcze matkę.

– I co z tego? – Wzruszyłem ramionami. – Ja też miałem matkę.

– Na pewno? – Rek przekrzywiła głowę i uniosła brew. – Z tego co pamiętam, zostawiła was, jak miałeś rok. Trudno powiedzieć, że ją miałaś.

– Punkt dla ciebie – przyznałem.

– Słuchaj, nie znam Lisy za dobrze, ale wydaje mi się, że to nie ten typ, który porzuca swoje dzieci. Ciebie? Jasne, dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiła. Ale nie dzieciaka.

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową na przytyk. Lubiałem to w Rek, że jednocześnie potrafiła być miła i uszczypliwa.

– No nie, to zdecydowanie nie ten typ – zgodziłem się. – Ale nadal jakoś nie mogę się przełamać.

– I tylko o to chodzi? O to, kto zajmie się dzieciakiem, gdyby was zabrakło?

– Nie wiem, chyba tak.

– Okej, to w takim razie obiecuję, że jak coś, to zajmę się waszym dzieckiem.

– Ty? – zapytałem sceptycznie.

– A dlaczego nie? – Rek wzruszyła ramionami. – Od czego są ciotki?

Patrzyłem na nią sceptycznie.

– No co? Masz lepszą kandydatkę?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo drzwi do poczekalni rozsunęły się i do środka wszedł Matt ubrany w czarny smoking. Za nim podążali pułkownik Garret Redhard – szef opiekunów, a prywatnie ojciec Rek – i mój zmiennik Ben, obaj w takich samych garniturach jak ten, który miałem na sobie.

Patrząc na Redharda, nie można było mieć wątpliwości co do jego militarnej przeszłości. Pięćdziesięciopięcioletni, wysoki siwiejący blondyn o niebieskich oczach, szerokiej piersi, wciętej tali i kwadratowej szczęce wyglądał jak oficer z kampanii werbunkowej i nawet nie potrzebował do tego munduru. Wrażenie maszyny do zabijania potęgowały dwie bioniczne ręce wykonane z czarnego tytanu – prezent pożegnalny od żołnierzy.

Redhard odszedł z armii kilka lat przede mną i choć w wojsku nigdy nie miałem okazji służyć pod jego rozkazami, to wiele o nim słyszałem. Wśród żołnierzy cieszył się nieprzeciętnie dobrą opinią, co nie zdarza się przypadkiem ani nie bierze się znikąd. Karierę zniszczyły mu jednak oskarżenia o nadmierną brutalność wobec wroga. Wyciekły jakieś nagrania z misji, ktoś coś powiedział, znalazły się paragrafy i ostatecznie przed Redhardem postawiono wybór: przejście w stan spoczynku albo proces. Wybrał to pierwsze i zabрал ze sobą kilku innych oficerów, między innymi Bena, który ze swoją długą czarną brodą i karbonową wstawką zastępującą większość lewej części twarzy przypominał bardziej członka gangu niż kapitana piechoty.

– Gotowi? – zapytał Redhard, mierząc nas wzrokiem.

– Tak jest! – odpowiedzieliśmy z Rek, stając na baczność.

Redhard podszedł do terminala ustawionego przy drzwiach prowadzących na platformę startową i przywołał transport. Bordowa limuzyna ze złotym dachem i ozdobnymi listwami zjawiała się niemal od razu i zawisła kilka centymetrów nad płytą lądowiska.

Choć przejście do pojazdu trwało zaledwie kilkanaście sekund, huk wiatru i szarpające nami podmuchy sprawiły, że poczułem sporą ulgę, gdy zamknęły się za nami drzwi i nastąpiła cisza. Nasza piątka rozsiadła się wygodnie w przestrzeni zaprojektowanej dla ośmiu osób. Limitowana wersja modelu Feniks III, którą lecieliśmy, nie była zwykłą korporacyjną limuzyną. Wypolerowane wnętrza pokryte masą perłową i obrotowe fotele obszyte białą pikowaną skórą były przeznaczone dla najbardziej zamożnych i wpływowych ludzi tego świata, podobnie jak dobrze zaopatrzony barek, który od razu po starcie został zlustrowany przez Bena.

– Nie wygląda to źle – skomentował kapitan, przyglądając się butelkom. – Powinniśmy postarać się o więcej takich zadań. O, jest też coś dla pułkownika.

Otworzył drewniane inkrustowane pudełko humidora i wyjął z niego kilka cygar w cedrowych owijkach, które podał byłemu dowódcy. Redhard zbliżył jedno cygaro do nosa, zaciągnął się jego aromatem, po czym z uznaniem pokiwał głową i schował prezent do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Klasa środka transportu, obecność Redharda i liczba opiekunów jednoznacznie świadczyły o wadze naszego zadania, ale ja jak zwykle dostałem tylko niezbędne informacje. Z tego, co wiedziałem, Matt miał wcielić się w Berta Jenkmana, ambasadora Wschodniego Wybrzeża, i wziąć udział w przyjęciu charytatywnym z całą śmietanką towarzyską Steris. Informacja o jego obecności na imprezie była oficjalna i powszechnie dostępna. Nie afiszowano się natomiast z tym, że przed szampanem i plotkami Jenkmana czekała prywatna i korupcyjogenna rozmowa z Tianem Zeminem,

prezesem Unlimited Constructions – największego przedsiębiorstwa na Zachodnim Wybrzeżu wyspecjalizowanego w budowie nadprzewodnikowych autostrad. Domyślałem się, że pragnieniem biznesmena było powtórzenie tego sukcesu na wschodzie.

Co do prawdziwego Jenkmana, mijał rok, odkąd zaczął się na śmierć w obskurnym hotelu podczas zaspokajania jednej ze swoich perwersyjnych potrzeb. Na szczęście dziwka, która obudziła się przy jego sztywniejącym ciecie, w porę zorientowała się o wartości takiej informacji i zamiast chwilowej sławy w mediach wybrała telefon do Vertas. Organizacja doceniła jej rozagę w typowy dla siebie sposób i informatorka zniknęła bez śladu. Zazwyczaj w Jenkmana wcielał się Jack, podopieczny Rek, ale jego ostatni skan diagnostyczny ujawnił jakieś nieprawidłowości i ze względów bezpieczeństwa zdecydowano się na zastępstwo.

– Włączcie komunikację – polecił Redhard, spoglądając na złoty zegarek należący nigdyś do jego prapradziadka, admirała marynarki wojennej.

Nikt się nie poruszył, ale mój moduł komunikacyjny od razu wykrył aktywację służbowych portów informacyjnych członków zespołu.

– Viki, jesteś tu? – zapytał telepatycznie Redhard.

– Tak, witam wszystkich. – W głowie usłyszałem głos naszej technologicznej czarodziejki, a na wyświetlaczu zobaczyłem jej twarz. – Zsynchronizuję was i możemy działać.

Przy krawędzi prawej soczewki zobaczyłem pięć zielonych kropek reprezentujących członków zespołu. Dodatkowo razem z Rek dostaliśmy stream danych z analizatora Matta.

– Wszystko gra – zameldowała Viki. – Piętnaście minut do celu. Arth, przygotuj Matta.

– Jasne.

Wziąłem od Rek walizkę i położyłem ją na stoliku obok barku. Zamek genetyczny potwierdził moją tożsamość i wieko się uniosło. W środku był rekorder i trzy strzykawki: dwie z krwią Jenkmana i jedna z wzorcowym resetem. Wyciągnąłem tę z krwią.

– Dzisiaj sobie nie pogryziesz – rzuciłem do Matta podwijającego rękaw koszuli.

– Ciebie mogę ugryźć, jeśli masz ochotę. – Uśmiechnął się, ukazując kły, które wydłużyły się na moich oczach, gdy wbijałem mu igłę w żyłę.

Przemiana zaczęła się niemal od razu, ale tym razem była mniej spektakularna niż w przypadku Dhorena. Krew wzorcowa została podana wprost do żyły, co uruchamiało standardową procedurę przemiany, a nie przyśpieszony awaryjny tryb, jak to miało miejsce w przypadku ugryzienia. Dodatkowo, Jenkman i Matt mieli bardzo zbliżone warunki fizyczne, a nawet byli do siebie podobni, więc zmiany zachodziły w subtelniejszy sposób.

Odłożyłem pustą strzykawkę do walizki i uruchomiłem timer. Musiałem odczekać pięć minut przed wgraniem Mattowi jaźni ambasadora.

– Viki, jak to wygląda? – zapytałem, samemu przeglądając parametry Matta.

– Zajębiście – oceniła fachowo Viki.

* * *

Asturia Tower był wieżowcem, ale nie takim, do jakich przyzwyczały mieszkańcy standardy Steris. Budynek liczący sobie dwieście lat i mierzący pięćdziesiąt jeden metrów mógłby z łatwością zmieścić się w holu niejednej korporacji, nie utrudniając przy tym nadmiernie ruchu. Pewnie dlatego Hermen Vaks, jego właściciel i spadkobierca rodziny Vaksów, postanowił umiejscowić pierwszą siedzibę rodzinnej firmy tam, gdzie jej relatywnie małe rozmiary stanowiły zaletę. Asturia Tower została rozebrana, a następnie kamień po kamieniu zrekonstruowana na dachu najwyższego wieżowca w mieście, Asturia Excelsior – obecnej siedziby Vaks Enterprise. Tym oto sposobem najniższy wieżowiec był jednocześnie najwyższym, a historia rodu zyskała właściwą ekspozycję.

Na dachu Excelsiora oprócz małego wieżowca zmieściły się ogród z kilkunastoma drzewami, oranżeria i trzypiętrowa fontanna ozdobiona naturalnych rozmiarów rzeźbami mitycznych stworów we współczesnej stylistyce. Wszystko to umieszczono pod olbrzymią przezroczystą kopułą, dzięki której zarządzano klimatem panującym na dachu. Do legendy zdążyło już przejść przyjęcie zorganizowane kilka miesięcy wcześniej, gdy podczas jednego z najgorętszych dni, jakich doświadczyło Steris, zorganizowano tu zimowy bal z lodowiskiem i opadami śniegu. Tym razem najwyraźniej nie planowano podobnych atrakcji, bo półkule kopuły były szeroko rozsunięte.

Limuzyna osiadła łagodnie na lądowisku znajdującym się na końcu szerokiego podestu wiodącego ku ogrodowi. Drzwi pojazdu otworzyły się, wpuszczając do środka zapach kwiatów i gwar przyjęcia.

W ogrodzie i przy podświetlonej fontannie kręciły się dziesiątki gości popijających szampana. Nie znałem się na modzie, ale jeżeli przyjąć założenie, że wartość kreacji jest odwrotnie proporcjonalna do powierzchni zakrytego ciała, to kręciło się tu kilka prawdziwych fortun.

– Banda pieprzonych snobów – warknęła Rek, wysiadając z limuzyny. – Gdyby naprawdę chcieli pomóc światu, to skoczyliby z tego wieżowca.

Uśmiechnąłem się pod nosem na ten komentarz. Po latach służby w policji i obowiązkowym wchodzeniu elitom w dupę teraz szczerze ich nienawidziła i dawała temu wyraz przy każdej okazji.

– Trudno się zgodzić – skomentował Redhard, zapinając marynarkę. – Ale chwilowo postaraj się żadnemu z nich nie pomagać w czynieniu dobra, okej?

– Zrobię to dla pana. – W pracy Rek zawsze zwracała się do ojca w ten sposób.

– Doceniam. – Pułkownik otaksował nas wzrokiem i skinął głową. – Lepiej nie będzie, idziemy.

Redhard i Matt ruszyli przodem, a my za nimi. Nie zdołaliśmy pokonać nawet połowy dystansu dzielącego nas od drzwi Asturia Tower, gdy Jenkman został

rozpoznany i otoczony przez gości jak gówno przez muchy. Po chwili dołączył do nich gospodarz we własnej osobie.

Hermen Vaks był tak oddany rodzinnej tradycji, że nawet w kwestii wyglądu naśladował przodków. Kroczył teraz nieśpiesznie w czarnym smokingu komponującym się z równie czarnymi wamsami, połyskiwał ogoloną na lyso głową i dźwigał kilkadziesiąt kilogramów nadwagi. Tusza Vaksa kontrastowała ze smukłą sylwetką towarzyszącego mu geparda.

– Ładna kicia – rzucił Ben i na wszelki wypadek zbliżył się do kota, by go szybko zneutralizować, gdyby ten zapragnął skosztować Matta.

– O tym właśnie mówię – syknęła Rek. – Tak im odjechało od nadmiaru kasy, że klonują gepardy.

– Nie klonują – wtrąciła się Viki, która widziała wszystko dzięki naszym soczewkom. – Nasz kotek to w stu procentach wytwór natury. O ile wiem, jeden z piętnastu takich na świecie.

– Kurwa, trafiliśmy do zoo – skomentowałem, wchodząc pomiędzy Jenkmana a blondyna zbyt natarczywie zabiegającego o jego uwagę.

– Mówisz o gepardzie czy o reszcie? – zapytała Rek i niby przypadkiem trąciła rękę jednej z kobiet, tak że ta wylała na siebie zawartość trzymanego kieliszka.

Złoty trunek spłynął dekoltem niemal całkowicie odsłaniającym piersi i kończącym się poniżej pępka. Damulka zjeżyła się, ale gdy dostrzegła zimny wzrok Rek, przezornie wycofała się i przywołała kogoś z obsługi, by pomógł jej się wyczyścić.

Po kilku minutach przedłużającego się powitania gospodarz otoczył Jenkmana ramieniem jak najlepszego przyjaciela i wyprowadził z tłumu, kierując się w stronę wieżowca. Przemieszczaliśmy się w takim samym szyku jak wcześniej, z tą różnicą, że teraz prowadził nas gepard, a Redhard trzymał się pół kroku za Vaksem i Jenkmanem.

Przeszliśmy przez obrotowe drzwi zdobione mosiężnymi elementami i znaleźliśmy się w atrium połyskującym brązem marmurów i z kryształowymi żyrandolami o rozmiarach ciężarówki zawieszonymi kilka pięter nad nami. Po obu stronach pomieszczenia rosły drzewa, tworząc szpaler prowadzący do schodów z czarnego kamienia. Szerokie stopnie wiodły do półpiętra, gdzie rozchodziły się na boki, prowadząc na piętro. Tam para schodów ponownie zbiegała się do środka i przecinała na kolejnym półpiętrze, wiodąc na kolejny poziom.

– Skorzystajmy ze schodów – zasugerował Vaks. – Mój gabinet znajduje się na drugim piętrze, nie ma sensu czekać na windę.

– Na drugim? – zdziwił się Jenkman.

– Tak – odpowiedział Vaks, stawiając nogę na pierwszym stopniu. – W dzieciństwie mój pradziadek był świadkiem pożaru wieżowca. Szukając ucieczki przed ogniem, kilku desperatów wyskoczyło przez okna. To wspomnienie prześladowało mojego pradziadka przez całe życie, dlatego urządził swoje biuro tak blisko ziemi.

– Rozumiem – powiedział Jenkman, podążając za gospodarzem.

Szedłem ostatni, przed sobą mając Rek. Przełączyłem komunikację na prywatny kanał z Viki i przetransmitowałem jej obraz z soczewek.

- Zdecydowałaś już, czy dasz jej się zaprosić na randkę? – zapytałem telepatycznie.
- Jeszcze nie – odpowiedziała Viki. – Nie wiem, czy to ma sens.
- Dlaczego? Mówiłaś, że ci się podoba, i z tego co pamiętam, to spotykałaś się już kiedyś z dziewczyną.
- Spotykałam się i było fajnie, ale nic z tego nie wyszło.
- Tak samo jak z twoich relacji z mężczyznami – odparłem. – To żaden argument.
- Fakt. Faceci, z którymi się spotykałam, nie pozostawili najlepszego wrażenia.
- Wszyscy? – zapytałem, docierając do drugiego piętra.
- No, może jeden nie był taki najgorszy.
- Który?

Nim uzyskałem odpowiedź, zatrzymaliśmy się przed drzwiami gabinetu. Hermen Vaks lewą ręką przytrzymał geparda za obrozę, a prawą otworzył ciężkie drewniane drzwi.

- Zapraszam, panie ambasadorze. Jak wspominałem, to gabinet mojego pradziadka. Nawet jeden element nie został tu zmieniony od jego śmierci. Istny wehikuł czasu – podkreślił dumnie Vaks. – Proszę czuć się jak u siebie, a ja pójdę poinformować pana Zemina, że już pan przybył.

Gospodarz ruszył korytarzem wyłożonym miękkim bordowym dywanem ze złotymi akcentami i zniknął za rogiem.

- Kamera – przypomniała nam Viki.

Ben, wchodząc do gabinetu, klepnął framugę drzwi nad swoją głową i przykleił tam mikroskopijną kamerę szerokokątną, dającą podgląd na cały korytarz.

- Mam obraz – potwierdziła Viki, gdy byliśmy już w środku.

Gabinet Vaksa rzeczywiście wyglądał jak żywcem przeniesiony z przeszłości. Podłogę, ściany, a nawet sufit pokrywało ciemne drewno. Po lewej stronie, na grubym perskim dywanie stało masywne mahoniowe biurko, a przy nim fotel obszty czarną skórą, mogący z łatwością pomieścić dwóch takich jak ja. Wzdłuż ścian gabinetu ustawiono regały z książkami. Pomieszczenie oświetlały sięgające sufitu dwuskrzydłowe okna i równie wysokie szklane drzwi prowadzące na balkon z widokiem na ocean. Naprzeciwko biurka znajdował się kominek, nad którym wisiał obraz przedstawiający protoplastę rodu Vaksów. Całość wystroju uzupełniał stolik ze szklanymi karafkami, dwa skórzane fotele ustawione przy kominku i kilka lamp o ogromnych kloszach.

- Sprawdzenie – rozkazał Redhard.

Zamknąłem drzwi. Rek położyła na biurku walizkę i wyciągnęła ze środka cztery ręczne skanery, które wręczyła każdemu z nas. W ciągu minuty sprawdziliśmy pomieszczenie.

- Czysto. Żadnego podsłuchu ani innej formy transmisji – oznajmiła Viki. – Aż nie mogę w to uwierzyć. Sprawdźmy jeszcze dźwięk.

Na podłodze, suficie i ścianach rozmieściliśmy wyjęte z walizki panele mierzące izolacyjność akustyczną i po kilkunastu sekundach mieliśmy odczyty.

– Wygląda dobrze – oceniła Viki. – Kamera przy drzwiach nie zarejestrowała żadnych dźwięków.

– Okej, ale i tak włącz zagłuszenie – polecił Redhard.

– Zagłuszenie aktywowane – potwierdziła po kilku sekundach Viki.

– No i bajka – stwierdziła Rek, podchodząc do okna.

Słońce już niemal zniknęło za wzgórzami, zaznaczając swoje istnienie pomarańczową pręgą na horyzoncie. Tłum gości w ogrodzie rósł za sprawą nieustannie przylatujących limuzyn.

– Jak tak dalej pójdzie, to będziemy tu mieli całe Steris – powiedział Ben, wyglądający przez drugie okno.

– Pięć osób na korytarzu. Idą do was. Arth, raczej nie będziesz zadowolony.

Viki nie musiała tłumaczyć, co miała na myśli. Wystarczyło, że drzwi się otworzyły, i wszystko stało się jasne. Wśród pięciu ochroniarzy towarzyszących Zeminowi wypatrzyłem Carol Sabicki. W bezsensownym odruchu spróbowałem odwrócić twarz, ale nie zdążyłem. Spojrzała na mnie, ściągnęła brwi i było jasne, że mnie rozpoznała.

– Mogłaś mnie ostrzec – wysyczałem i uśmiechnąłem się do Carol. Odwzajemniła uśmiech.

– Niby kiedy? Zresztą co byś zrobił z tą wiedzą?

Miała rację, w obecnej sytuacji niewiele można było zrobić. Do gabinetu prowadziły tylko jedne drzwi, a nie miałem zamiaru chować się pod biurkiem.

Zemin podszedł do Jenkmana, nie poświęciwszy nam najmniejszej uwagi. Widać było, że jako bliski przyjaciel Vaksa czuł się w gabinecie jak u siebie. Po przywitaniu podszedł do stolika z karafkami i zaoferował drinka ambasadorowi. Gdy nasi podopieczni zasiedli na fotelach przy kominku i zaczęli telepatyczną rozmowę, oba zespoły ochroniarskie ustawiły się po przeciwnych stronach pokoju, zupełnie jak pionki na szachownicy. Nie musiałem też długo czekać na ruch otwarcia. Carol Sabicki, patrząc mi w oczy, wskazała głową drzwi balkonowe i ruszyła w ich kierunku. Spojrzałem na pułkownika, a kiedy otrzymałem przyzwalające skinienie, wyszedłem na balkon, zostawiając uchylone drzwi.

– Arth, co ty tu robisz? – zapytała Carol, gdy tylko stanąłem z nią twarzą w twarz.

– Pani porucznik... – Skłoniłem się z uśmiechem.

– Major – poprawiła mnie. – W stanie spoczynku. Teraz pracuję w sektorze prywatnym i jak się zdaje, ty również. Vertas, nieźle.

– Tak wyszło – odpowiedziałem.

– Tak wyszło? Skromność? U ciebie? To coś nowego. – Odchyliła głowę z niedowierzaniem. – Skąd się tu wzięłeś? W briefie nie było cię na liście ochroniarzy Jenkmana.

– Miało mnie nie być, ale zaszła nieplanowana zmiana. – Wzruszyłem ramionami. – A ty co tu robisz, Carol?

– To samo. Też jestem nieplanowaną zmianą – odpowiedziała z uśmiechem i głową wskazała w kierunku drzwi. – Garret Redhard to twój szef?

– Tak.

– Muszę przyznać, że otaczasz się nieprzeciętnymi ludźmi. – Sabicki pokiwała głową z uznaniem. – Dobrze widzieć, że sobie radzisz. O niewielu z jednostki można powiedzieć to samo.

– To prawda. Nie każdy miał tyle szczęścia.

– Wiesz – Carol zrobiła krok w moją stronę i ściszyła głos – gdy dowiedziałam się, że odszedłeś ze służby, szukałam cię. Szkoda, że się nie pożegnałeś. Jeżeli nawet nie ze względu na wspólną służbę, to chociaż przez to, co nas...

– Przepraszam – przerwałam jej. – Jakoś wtedy o tym nie myślałam, a później...

– Wydarzyło się życie. Znam to. Ale będziemy musieli kiedyś nadrobić stracony czas. Tym razem tak łatwo się przede mną nie ukryjesz. – Sabicki uśmiechnęła się i wręczyła mi kartonik wyciągnięty z kieszeni marynarki. – To moja wizytówka.

– Papier? – zdziwiłem się szczerze.

– Jestem staromodna. Tylko jej nie zgub i nie olej mnie, bo...

RESETER WYKRYTY.

Alarm programu diagnostycznego Matta rozświetlił się czerwienią. Spojrzałem na metamorfa i zobaczyłem, jak zrywa się z fotela i zatacza w tył. Jego ciało zmieniało się w niekontrolowany sposób. Ben doskoczył do niego i uchronił przed upadkiem na podłogę.

– To metamorf! – krzyknął Zemin i skoczył za plecy swoich ochroniarzy. – Wiedziałem! Wiedziałem! Wynosimy się stąd!

Ochroniarze otoczyli Zemina i ruszyli w stronę wyjścia, ale drogę zagradzał im Redhard. Bez słowa wyciągnął broń i strzelił w głowę najbliższego mężczyzny. Carol sięgnęła po broń, ale nim jej dobyła, uderzyłem ją w potylicę swoim pistoletem.

Zemin wylądował za fotelem, przygnieciony przez ostrzeliwującego się ochroniarza. Pozostali wyciągnęli pistolety maszynowe i zasypali nas ogniem. Nie pozostaliśmy im dłużni. Rek skasowała drugiego ochroniarza, ale sama dostała w ramię i poleciała na ścianę. Nie wypuściła jednak broni i krzycząc z bólu, nadal strzelała.

W przeciwnym rogu pomieszczenia głowa Bena eksplodowała, zabryzgując krwią i mózgiem ścianę i okno. Ciało upadło, przygniatając Matta. Skoczyłem w tamtą stronę i dubletem zdjąłem trzeciego ochroniarza, gdy tylko wychylił się zza fotela. Zrzuciłem z Matta trupa Bena, złapałem metamorfa za kołnierz i pociągnąłem w stronę biurka. Dwa potężne uderzenia w plecy pchnęły mnie na blat i pozbawiły powietrza w płucach. Odwróciłem się, walcząc o oddech, i zobaczyłem celującą we mnie Carol. Uniosłem pistolet, ale się zaważałem. Zanim zdążyłem wystrzelić, krwisty kawałek jej czaszki oderwał się od głowy, wyrwany kulą z broni Redharda. Pułkownik odwrócił się płynnie i dubletem wykończył ostatniego ochroniarza zmieniającego magazynek. Wszystko trwało jakieś sześć sekund. W zapadłej ciszy słychać było mamrotane pod nosem przekleństwa rannej Rek, oddech Matta i szloch Zemina.

– Viki, diagnostyka – zażądał Redhard, podchodząc do fotela, za którym leżał Zemin, przygnieciony trupem ochroniarza.

– Matt w pełni zresetowany, brak uszkodzeń, gotowość metamorficzna za trzy minuty. Ben, brak oznak życiowych. Rek, rana postrzałowa lewej ręki. Arth, złamane żebra i niewielkie obrażenia wewnętrzne. Redhard, brak obrażeń. Zagłuszanie aktywne. Brak wrogiej aktywności. Brak alarmu – wyrecytowała Viki.

– Arth, przygotuj Matta do ekstrakcji – rozkazał Redhard i ściągnął z biznesmena ciało.

– Nie zabijaj mnie. Zapłacę... – zajęczał zakrwawiony Zemin, starając się usiąść z uniesionymi rękami.

– Typowe. – Pułkownik poderwał biznesmena z podłogi i cisnął go na fotel. – Rek, zajmiesz się nim?

– Tak, tylko zatamuję krwawienie. – Rek odpięła od paska przezroczystą tubkę z nanozelem medycznym i wycisnęła jej zawartość do rany. Gdy krwawienie ustało po kilku sekundach, wyciągnęła z walizki rekorder i rzuciła go Zeminowi.

– Zakładaj!

– Zapłacę... – załkał biznesmen.

– Zakładaj to, kurwa! – Rek uniosła pistolet i wycelowała w twarz mężczyzny. Zemin uniósł urządzenie trzęsącymi się dłońmi i umieścił na głowie. – Wepnij przewód do portu.

Tym razem nie musiała powtarzać. Posłusznie wcisnął wtyczkę do gniazda za uchem.

– Viki, masz go? – zapytała Rek.

– Tak. Łamię blokadę i kopiuję.

– Jak tam, Matt? – zapytał Redhard, zbliżając się do nas. Metamorf siedział na fotelu za biurkiem i ciężko oddychał.

– Bywało lepiej. Skurwiel nieźle nas podszedł z tym reseterem.

– Wziąłeś bloker przed misją?

– Wziąłem. To musi być jakieś nowe gównno. – Matt przetarł usta wierzchem dłoni i przyjrzał się smudze krwi na skórze.

– Co to? – zapytałem.

– Ugryzłem się, kurwa, w język – odpowiedział, podwijając rękaw. – Kończmy robotę i zbierajmy się stąd.

– Nie mam nic przeciwko – odpowiedziałem i wbiliśmy mu igłę w żyłę. Nie miałem pojęcia, czy taki poziom stresu wpływa jakoś na metamorfy, ale miałem szczerą nadzieję, że tak nie było. Metamorfoza w ambasadora przebiegła sprawnie i wyraźnie uspokoiła mojego podopiecznego.

– Arth! – zawołał Redhard stojący w rogu pomieszczenia i przywołał mnie do siebie.

Podszedłem do pułkownika. Ruchem głowy wskazał na trupa Carol.

– Wiem, co chciałeś zrobić, i szanuję to, ale nie rób tego więcej. Teraz to jest twój zespół. Następnym razem nie będę tak wyrozumiały. Zrozumiałeś?

– Tak – odpowiedziałem, czując się jak skończony idiota.

Pułkownik wręczył mi metalową tubę zakończoną z jednej strony stożkowatym ostrzem, a z drugiej przyciskiem. Spojrzał mi w oczy.

– Dasz radę czy sam mam to zrobić?

– Dam radę.

Podszedłem do Carol Sabicki, mojej byłej dowódczyni i kochanki. Patrzyła na mnie martwymi, na wpół otwartymi oczami. Klęknąłem obok, zamknąłem jej powieki i wbiłem metalową tubę w czaszkę. Gdy wcisnąłem przycisk, usłyszałem syk i poczułem woń parującego mózgu.

Tak samo postąpiliśmy z pozostałymi zabitymi, nie wyłączając Bena. Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby ktoś szczytał informacje z substancji szarej albo z wszczepów. Kiedy skończyliśmy, całe pomieszczenie cuchnęło palonym ciałem.

– Viki, jak idzie z kopiowaniem? – zapytał Redhard, podchodząc do Rek trzymającej biznesmena na muszce.

– Jeszcze chwilka... – odpowiedziała. – I... gotowe.

– Dzięki. – Pułkownik przyjrzał się zakrwawionemu ramieniu Rek. – Jak twoja ręka?

– Będę żyć – rzuciła swobodnie, uśmiechając się, ale nie dała rady zamaskować grymasu bólu.

– Usiądź, ja to dokończę. – Pierwszy raz usłyszałem łagodność w głosie Redharda.

– Dam radę – próbowała zaprotestować Rek.

– Usiądź – powtórzył stanowczo.

Skinęła głowę, podeszła do mnie i oparła się o blat biurka. Obejrzałem jej ramię i od razu się zorientowałem, że nie jest dobrze. Było praktycznie odstrzelone, a przy reszcie ciała trzymały je porwane mięśnie, strzępy skóry i magia nanożelu.

– Wygląda na to, że będziesz miała nową rękę – podsumowałem.

– Kurwa. – Rek skrzywiła się z bólu albo niezadowolenia.

– Pierwszy raz?

Skinęła głowę.

– Nie przejmuj się, to nie jest takie złe – zapewniłem. – Po kilku tygodniach nie będziesz czuła żadnej różnicy. Wiem, co mówię. – Uniosłem lewą dłoń. – Nie urodziłem się z nią.

Rek uśmiechnęła się blado.

– Viki, zablokuj go od szyi w dół – rozkazał pułkownik, zdejmując marynarkę i podwijając mankiety powyżej przedramion bionicznych rąk.

– Zapłacę... – zachlipał Zemin, najwyraźniej czując, jak traci kontrolę nad własnym ciałem.

– Zgadza się – odpowiedział Redhard, kucając przy fotelu. – Zapłacisz. Przez twoją głupotę zginęło dziś sześcioro dobrych ludzi starających się wykonać swoją pracę. Dołączysz do nich, ale to dopiero za chwilę.

Redhard złapał Zemina za dłonie i odgiął jego palce do tyłu, aż rozległ się trzask łamanych kości. Biznesmen zawył z bólu i kilka razy uderzył głową o oparcie fotela. Pułkownik patrzył, jak twarz mężczyzny nabiegakrwia. Po kilkudziesięciu sekundach Zemin przestał łkać i oczami pełnymi łez spojrział na Redharda.

– Zapłacę... każdą cenę... – wydyszał.

– Mnie interesuje tylko jedna waluta – odpowiedział Redhard. Z jego bionicznych palców wysunęły się kilkucentymetrowe ostrza i zagięły się w dół, jak szpony. – Twoje cierpienie.

Wbił ostrza w uda biznesmena tuż poniżej pachwin i pociągnął dłonie w dół, do kolan. Czubki szponów zachrobotały o kości, a pasy skóry i mięśni rozwarły się szeroko. Zemin zawył z bólu i stracił przytomność.

Rek zacisnęła zęby i spuściła wzrok. Przy całym zepsuciu panującym w policji pewnych granic nie przekraczano, a tortury stanowiły jedną z nich. Dla mnie taki widok nie był niczym nowym, ale to wcale nie znaczyło, że sprawiało mi przyjemność patrzeć na cierpienie drugiego człowieka.

– Viki, wybudź go – polecił Redhard.– Jeszcze z nim nie skończyłem.

Zemin ocknął się z jękiem i zaczął krzyczeć na widok rozplątanych ud.

– Pułkowniku... – odezwałem się, widząc, że Redhard zbliża szpon do piersi Zemina. – Możemy potrzebować tego ciała.

Redhard zmierzył mnie wzrokiem, ale po chwili cofnął rękę.

– Masz rację, połataj go. – Redhard podszedł do stolika z alkoholem i napełnił sobie szklankę. – Viki, masz plan, jak nas stąd wyciągnąć?

– Tak, ale to będzie rzeźnia.

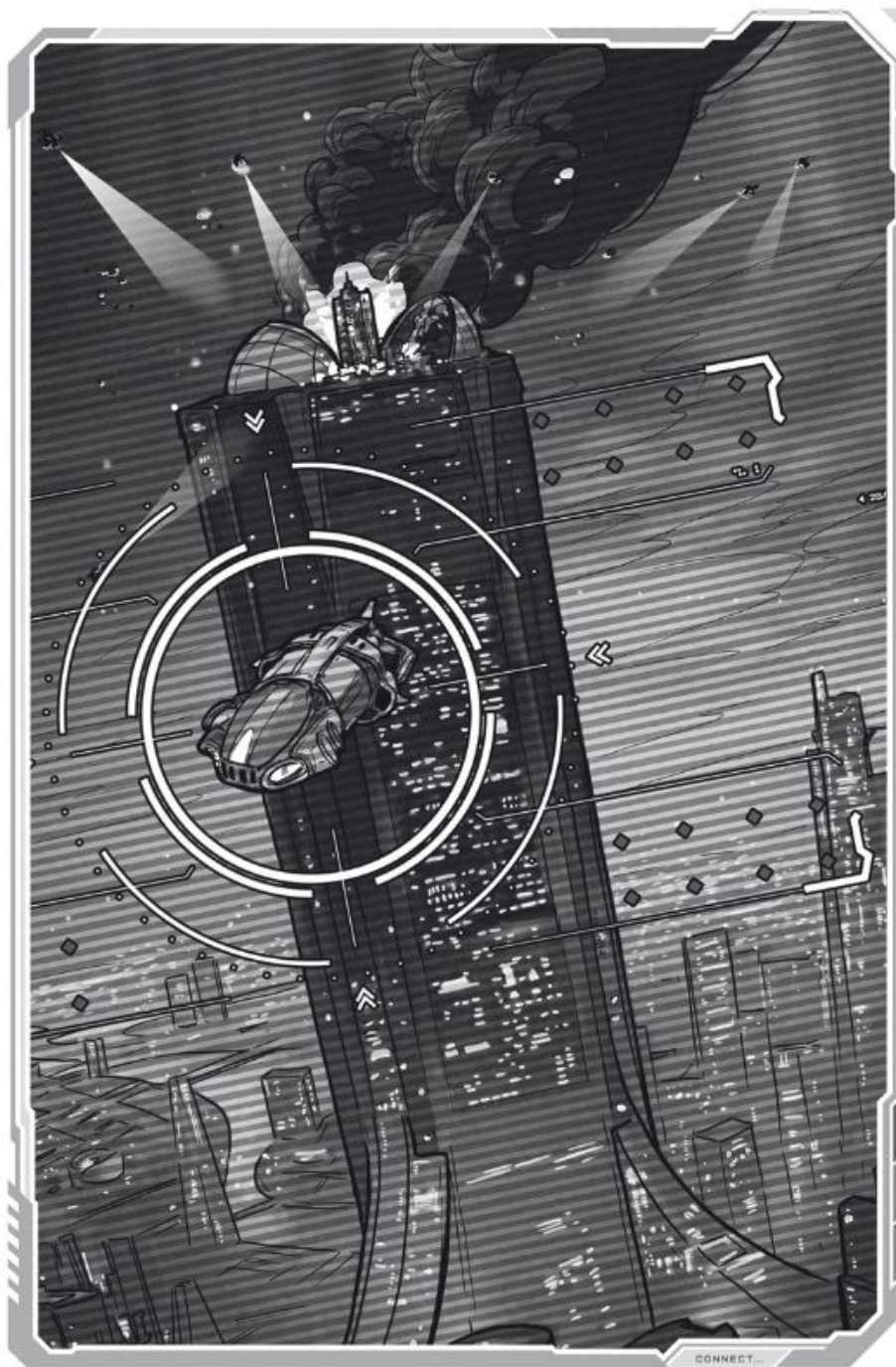
– Jestem w stanie z tym żyć – odpowiedział na głos pułkownik i jednym haustem opróżnił szklankę whisky.

VII

Siedziałem w taksówce z głową opartą o chłodną szybę i patrzyłem na przesuające się pode mną miasto. Była czwarta rano, ale roziskrzone milionami świateł Steris nie zwalniało tempa nawet na chwilę. Zastanawiałem się, czy istniała w tym mieście siła potrafiąca zachwiać tym biegiem. Nawet ci najpotężniejsi – miliarderzy i rządzący – zdawali się nie mieć żadnego znaczenia dla miasta i jego niepowstrzymanego tętna. Mogli się łudzić, że je kontrolują, ale tak naprawdę to ono rządziło nimi, było sceną dla ich życia i poczynań, a gdy odchodzili, nic się nie zmieniało. Ich serca przestawały bić, a miasto żyło dalej.

Monitor w taksówce pokazywał program informacyjny, nadawany w kółko od kilku godzin. Reporter zdawał relację z miejsca największego od lat ataku terrorystycznego:

– ...o dziewiątej wieczorem rój dronów zaatakował uczestników przyjęcia dobroczynnego zorganizowanego na dachu wieżowca Asturia Excelsior. W wyniku ataku śmierć poniosło dwadzieścia osób. Wśród ofiar znajduje się właściciel wieżowca i spadkobierca rodu Vaksów, znany filantrop Hermen Vaks. Poważnym uszkodzeniem uległ również zabytkowy budynek Asturia Tower. Podczas pożaru wywołanego atakiem doszczętnie spłonęło kilka niższych pięter dwustuletniego wieżowca. Jak udało nam się ustalić, prawdopodobnym celem ataku byli ambasador Wschodniego Wybrzeża Bert Jenkman i prezes konsorcjum Unlimited Constructions Tian Zemin. Obaj mężczyźni przeżyli i zostali ewakuowani przez ochronę. Nieoficjalne źródła w policji informują, że w związku z atakiem aresztowano Regara Perka, byłego przywódcę zdelegalizowanej proekologicznej organizacji Yamta. Perk przed kilkoma miesiącami wyszedł na wolność po spędzeniu piętnastu lat w więzieniu, gdzie odsiadywał wyrok za serię zamachów dokonanych podczas budowy Autostrady Zachodniej. Prace przy autostradzie prowadzone były przez Unlimited...



Słyszałem tę relację już trzeci raz, ale i tak nie powstrzymałem się od gorzkiego uśmiechu. Złudzenia i pozory. Wystarczyło podrzucić mediom kilka poszlak i przyglądać się, jak w ciągu paru godzin dziennikarze wypełniają luki w wiedzy domysłami, spajając strzępki informacji w pozornie logiczną całość. Działo za każdym razem. Ludzkie mózgi, wykształcone przez ewolucję do rozpoznawania wzorców, z łatwością dostrzegały je w miejscach, gdzie nigdy ich nie było.

Całe miasto wierzyło teraz w wersję o zamachu zorganizowanym przez proekologicznych terrorystów, a z każdej strony sceny politycznej nawoływano do zdecydowanych kroków mających położyć kres terroryzmowi i przerzucano się odpowiedzialnością za obecny stan rzeczy. Nikt by nie uwierzył, że wydarzenia, którymi żyło Steris, były wynikiem paranoi jednego człowieka. Gdyby Zemin nie zdekonspirował Matta, nie potrzebowalibyśmy ewakuacji, Ben i Carol wciąż by żyli, a media musiałyby znaleźć jakąś inną tragedię, o której mogłyby mówić.

Plan naszej ekstrakcji nie był zbyt finezyjny, ale czas, w jakim udało się go wdrożyć, budził podziw. Gdy nad wieżowcem pojawił się rój dronów, goście zadarli głowy w oczekiwaniu na zapowiedziany holograficzny pokaz generowany przez zsynchronizowane projektory. Doczekali się takiego, o którym jeszcze długo nie zapomną. Zamiast tworzyć obrazy, deszcz zhakowanych dronów spadł z nieba na uczestników imprezy, wywołując panikę.

Asturia Excelsior, jak wszystkie korporacyjne wieżowce, miał liczne zabezpieczenia i systemy aktywnej ochrony, wliczając w to układ neutralizowania obiektów latających, ale nie był on sobie w stanie poradzić z setkami dronów kamikadze. Najlepszą ochronę dla zgromadzonych gości stanowiłaby kopuła, ale jej zamknięcie trwało dużo dłużej niż samo zagrożenie.

W kilka minut po ataku nad wieżowcem zjawily się radiowozy policyjne, transportowce ochrony i ambulanse, a także – oczywiście – liczne pojazdy przedstawicieli mediów. W chaosie panującym na niebie doszło do pozornie przypadkowego zderzenia radiowozu z wozem transmisyjnym. Uszkodzone maszyny rozbiły się o budynek Asturia Tower, co spowodowało eksplozję i pożar.

Gdy płomienie pochłaniały dwustuletni gabinet Vaksów, nas już dawno w nim nie było. Obserwowaliśmy wszystko z pokładu oddalającego się transportowca, który podjął nas z balkonu. Podczas ewakuacji zabraliśmy ze sobą ciała Bena i dwóch ochroniarzy Zemina. Pierwsze w myśl zasady, że nikt nie zostaje z tyłu, a dwa pozostałe, żeby uniknąć niewygodnych pytań o to, dlaczego żaden z nich nie przeżył ataku.

Nieplanowaną ofiarą ewakuacji został Hermen Vaks. Na swoją zgubę w czasie ataku nie zapomniiał o nas i zjawił się w gabinecie w chwili, gdy do środka wleciały uszkodzone pojazdy.

Największym wygranym w tym całym zamieszaniu było Vertas. Nie dość, że organizacja przejęła faktyczną kontrolę nad Unlimited Constructions, to jeszcze w czasie ataku zlikwidowano kilku obecnych i potencjalnych wrogów firmy.

– ...nadal czekamy na oficjalne informacje o ofiarach ataku, ale już teraz wiemy, że na liście znajdują się...

– Wyłącz wiadomości – zażądałem i ekran przełączył się na reklamę tropikalnego kurortu kuszącego soczystą zielenią roślinności, białym piaskiem i lazurem oceanu.

Kolejny raz wywołałem połączenie z Lisy, ale jej komunikator nadal się nie zgłaszał. Musiała być na mnie naprawdę wściekła, skoro odłączyła się od sieci. Podobno nieszczęścia chodzą parami i wszystko wskazywało na to, że miałem za sobą jedną bitwę, ale czekała mnie następna. Tym razem jednak nie miałem zamiaru się bronić. Byłem zbyt zmęczony, żeby stawiać opór. Pragnąłem jedynie prysznica i snu.

* * *

Coś było nie w porządku.

Poczułem to, gdy tylko stanąłem pod drzwiami mieszkania. Skaner nie zareagował, gdy przyłożyłem do niego palec. Ponowiłem próbę weryfikacji trzykrotnie i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że wyświetlacz nie pokazuje informacji o błędzie. Ekran był czarny. Położyłem dłoń na drzwiach i lekko pchnąłem. Uchyliły się bezgłośnie, ukazując pograżony w mroku korytarz. Stanąłem w progu i spróbowałem połączyć się z Mirą, ale odpowiedziała mi cisza. Jej nieobecność była czymś tak obcym, że nagle poczułem się samotny jak podczas pierwszej nocy w sierocińcu.

Ostrożnie wszedłem do środka. W nozdrza uderzył mnie swąd spalonej elektroniki i zapach czegoś, co dotychczas znałem jedynie z pracy – krwi i śmierci. Poczułem nagły ucisk w żołądku. Wyciągnąłem broń.

W całym mieszkaniu panowały ciemności. Sięgnąłem do paska po latarkę, ale rozmyśliłem się i zamiast tego przełączyłem soczewki na tryb nocny. Nie widziałem w nich tak dobrze jak z latarką, ale pozostawiałem mniej widoczny. Stanąłem przy ścianie i zajrzałem do studia.

Krzesło Lisy leżało na podłodze obok biurka, roztrzaskany hełm rekordera zwisał na kablu, a na ekranach terminala widniały pajęczyny pęknięć rozchodzące się od wgłębień przypominających ślad po pięści. Spojrzałem w głąb pomieszczenia i zobaczyłem, że okna zasłaniały rolety antywłamaniowe, opuszczane automatycznie tylko w sytuacjach zagrożenia. Ponownie spróbowałem połączyć się z Mirą. Bez powodzenia.

Najciszej, jak potrafiłem, przekroczyłem próg i skierowałem się do sypialni, cały czas lustrując otoczenie. Na blacie kuchni dostrzegłem przezroczysty kubek. Naczynie było niemal pełne, a termiczna sygnatura sugerowała, że napełniono je przed trzema godzinami. Sypialnia wyglądała w zasadzie tak samo jak wtedy, gdy wychodziłem z mieszkania. Jediną różnicą były ubrania Lisy rozrzucone na łóżku i podłodze. Zawsze tak robiła, gdy przebierała się po powrocie z pracy. Łóżko wyglądało na puste, ale dla pewności ściągnąłem z niego kołdrę. Niestety nie pomyliłem się w ocenie.

Wróciłem na korytarz, sprawdziłem biuro i skierowałem się do łazienki. Drzwi były uchylone. Otworzyłem je szerzej i zobaczyłem Lisy. Siedziała w kabinie prysznicowej, ubrana w zakrwawioną koszulkę i majtki. Plecami opierała się o ścianę, a przykurczone i przekrzywione nogi napierały na szklaną przegrodę kabiny. Bezwładna głowa opierała się o lewe ramię, a dolną część twarzy pokrywała szkarłatna maska zakrzepłej krwi wypływającej z dziury w czole.

Shock wywołany widokiem ciała Lisy, sprawił, że zacząłem działać jak automat. Klęknąłem przy niej i oceniłem obrażenia. Duży ubytek w potylicy nie pozostawiał żadnej nadziei, mimo to wpiąłem się do portu komunikacyjnego Lisy i przeprowadziłem skan. Wszczep był uszkodzony, ale udało mi się pobrać zapis funkcji życiowych. Zgon nastąpił dwie godziny wcześniej, ale zanim to się stało, przez prawie czterdzieści minut miała podniesione tętno, a poziom hormonów wskazywał na ogromny stres. Spojrzałem w górę, gdzie nad głową Lisy ciągnął się krwawy ślad pozostawiony przez osuwające się ciało i zwieńczony rozpryskiem. Wstałem. W ścianie na wysokości mojej szyi ział otwór, z którego ktoś wydobył kulę.

Pod wpływem impulsu pobiegłem do biura i z jednej z szuflad wyciągnąłem zestaw strzykawek na krew, których używałem w pracy. Wróciłem do łazienki, wybrałem najgrubszą igłę i wkłułem się bezpośrednio w serce Lisy. Zastygła w bezruchu krew zdążyła zgęstnieć i z oporem napełniała strzykawkę. Pobrałem, ile się dało, i włożyłem strzykawkę do minichłodziarki, którą wsunąłem do kieszeni kurtki.

Wróciłem do studia, usiadłem na kanapie i po kilku minutach wybrałem numer alarmowy Vertas.

VIII

Siedziałem na kanapie wpatrzony w mrok, ogarnięty tym dziwnym otępieniem, które w przeszłości odczuwałem po stracie najbliższych towarzyszy broni. Była to forma wewnętrznego mechanizmu obronnego, niepozwalającego na popadnięcie w rozpacz. Za każdym razem, gdy w walce traciłem przyjaciela, potrafiłem wyciszyć emocje i wytłumaczyć sobie, że śmierć jest wkalkulowanym ryzykiem, zawodową przypadłością, czymś, z czym trzeba się pogodzić, bo wcześniej czy później dopadnie każdego z nas. I godziłem się z nią.

Śmierci Lisy nie mogłem sobie tak tłumaczyć. To nie powinno było się wydarzyć. Nie teraz i nie w taki sposób. Na szczęście dla mnie mechanizm wielokrotnie aktywowany w przeszłości nie zawiodł i w tym przypadku. Nie usunął poczucia straty i bezgranicznej pustki, ale dzięki niemu nie jęczałem z bólu, wijąc się po podłodze.

Bez przerwy zalewały mnie fale wspomnień związanych z Lisą, ale dawałem radę odpychać je od siebie, podobnie jak myśli, że nadal by żyła, gdybyśmy poszli na tę cholerną kolację albo gdyby w pracy wszystko poszło zgodnie z planem. Gdyby Zemin nie odpieprzył swojego numeru, wróciłbym do mieszkania kilka godzin wcześniej i...

Stop! Co robisz, durniu?! – skarciłem się w myślach. Rozważanie alternatywy w takich okolicznościach to prosta droga do szaleństwa. W niczym nie pomoże, niczego nie zmieni, a jedynie odbierze wolę walki i chęć do działania. Stało się. Jesteś tu, gdzie jesteś. Nie cofniesz czasu. Życie jest krupierem, a ty tylko siedzisz przy tym cholernym stole. Karty zostały rozdane i trzeba nimi grać. Wdech, wydech. To nie twoja wina. To wina tego, kto jej to zrobił. Znajdziesz go i zabijesz.

CZAS DO PRZYBYCIA: 30 SEKUND

Czerwony timer pojawił się na mojej soczewce, informując o tym, że zbliża się grupa interwencyjna. Zabezpieczenie kryzysowe było częścią pakietu oferowanego przez Vertas wszystkim pracownikom o niestandardowym zakresie obowiązków. Teoretycznie beneficjentem był pracownik, ale firma również na tym korzystała. Pewność, że ktoś cię wyciągnie z największego gówna, w jakie wpadłeś, pomagała zachować zimną krew i trzymać język za zębami. Dodatkowo zabezpieczenie kryzysowe pełniło funkcję systemu wczesnego ostrzegania. Firma wychodziła z założenia, że nigdy nie wiadomo, kiedy atak na pojedynczego członka jest wstępem do ataku na całą organizację, i wolała działać proaktywnie.

Na korytarzu rozległy się odgłosy kroków i przez otwarte drzwi do mieszkania wpadło kilka snopów światła z latarek.

– Arth, to my! Jesteś tu?

Głos należał do Redharda. Zdziwiła mnie jego obecność, bo managerowie tego poziomu nigdy nie wchodzili w skład grup interwencyjnych, a już na pewno nie o tej porze i po takiej akcji, z jakiej wróciliśmy kilka godzin wcześniej.

– Tak! – odrzyknąłem, nie ruszając się z miejsca.

Przedpokój zapełnił się ludźmi. Po aktywowaniu alarmu połączył się ze mną dyspozytor, który zebrał informacje na temat charakteru sytuacji. Dzięki temu mieszkańcy wieżowca uniknęli widoku uzbrojonej po zęby jednostki szturmowej. Zamiast niej wysłano oddział śledczy, psychologa, lekarza, prawnika i kogoś z HR. Tym razem takiego od prawdziwych ludzi.

– Tutaj! – dodałem i światła ruszyły w moją stronę.

– Jesteś cały? – zapytał Redhard, gdy stanął przede mną. Reszta ekipy rozstawiła się za nim w półokręgu.

– Tak, nic mi nie jest – odpowiedziałem, podnosząc na niego wzrok. W świetle latarki widziałem jedynie zarys jego twarzy, z którego nie mogłem odczytać żadnych emocji.

– Gdzie ją znajdziemy?

– W łazience, pod prysznicem. Pokażę wam.

Spróbowałem wstać, ale Redhard położył mi dłoń na ramieniu i posadził z powrotem na kanapie.

– Zostań, poradzą sobie bez ciebie. Dotykałeś czegoś?

– Nie. – Pokręciłem głową.

– Co ze światłem?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Nie działa. Mira... SI też milczy.

– Zajmijcie się tym – rozkazał Redhard i ludzie rozproszyli się po mieszkaniu.

Pułkownik usiadł obok mnie i skierował światło latarki pod nogi. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Był moim szefem i na tym kończyła się nasza relacja. Nigdy nie rozmawialiśmy na prywatne tematy. Nawet w czasie lunchu, gdy zdarzyło nam się siedzieć przy jednym stole, większość czasu milczeliśmy.

– Nie bardzo wiem, co mogę ci powiedzieć, synu – zaczął. – W takich chwilach nic nie przyniesie pocieszenia, ale jedno mogę ci obiecać: znajdziemy tych skurwieli i będą cierpieć.

– Wiem – odpowiedziałem, wpatrując się w mrok, i naprawdę wierzyłem, że tak będzie. Vertas wyciągnie ich choćby spod ziemi. Wyciągnie i wykończy.

– Jest z nami psycholog – podjął pułkownik, gdy milczenie się przedłużało. – Kara jest dobrą specjalistką, znamy się od lat. Może chcesz z nią porozmawiać?

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę. Przechodziłem już przez to. To nie pierwsza bliska mi osoba, która umarła.

– Próbujesz oszukać siebie czy mnie? Sam straciłem wielu przyjaciół i podwładnych, ale śmierć osoby, którą się kocha, to zupełnie co innego. Porozmawiaj z Karą.

Oślepiło mnie włączone nagle światło. Gdy powoli otworzyłem oczy i się rozejrzałem, zobaczyłem, że oprócz mnie i Redharda w salonie znajdowały się jeszcze trzy osoby. Starsza, nieco tęgawa blondynka musiała być wspomnianą przez pułkownika Karą. Młodsza od niej, czarnoskóra, wysoka i szczupła kobieta o włosach splecionych

w warkoczyki i elfich uszach miała na imię Nami – widywałem ją w dziale zasobów ludzkich. Z kolei elegancki mężczyzna w średnim wieku zdecydowanie wyglądał mi na prawnika. Cała trójka patrzyła w naszą stronę, ale widząc mój wzrok, odwrócili oczy, wracając do przyciszonej rozmowy.

Redhard wyłączył latarkę i spojrzał na mnie.

– Powinieneś je umyć.

Podążyłem za wzrokiem pułkownika i zobaczyłem, że moje dłonie pokrywa zakrzepła krew.

– Tak jest – odpowiedziałem i wstałem z kanapy, kierując się ku łazience.

– W kuchni – polecił mi Redhard, a ja posłusznie zawróciłem.

Podszedłem do zlewu i podstawiłem dłonie pod kran. Aktywowany automatycznie strumień polał się po skórze. Rdzawa woda rozchlapała się po metalowym zlewie i zaczęła znikać w odpływie. Stałem jakiś czas, patrząc, jak robi się coraz czystsza. Z zamyślenia wyrwał mnie technik grupy śledczej, który zjawił się obok i ustawił na podłodze skaner przestrzenny. Takich samych urządzeń używała policja do mapowania miejsc zbrodni. Skaner tworzył trójwymiarowy obraz o takiej rozdzielczości, że można było na nim wyszczególnić pojedynczy pyłek kurzu, dodatkowo wzbogacając go próbkami zapachowymi pobieranymi z powietrza. Wstępna analiza następowała na miejscu i wskazywała technikowi obiekty mogące dostarczyć materiału genetycznego.

Osuszyłem dłonie i podszedłem do okna. Spróbowałem ręcznie unieść jedną z rolet, ale ta nawet nie drgnęła. Z pochyloną głową wróciłem na kanapę.

– Będziemy musieli wezwać policję... – zaczął Redhard.

– Wiem – odpowiedziałem, przecierając zmęczone oczy.

– Znikniemy stąd, zanim się zjawią, ale zostawimy z tobą Nami i Treba. – Wskazał na mężczyznę. – Mówienie zostaw jemu. Gdyby próbowali podpiąć cię do wariografu, odmów i uzasadnij to niezdezaktywowanym oprogramowaniem wojskowym. Zresztą tym zajmie się Treb. Już nie raz pracował z opiekunami i wie, co ma robić.

Skinąłem głową na potwierdzenie. Poczułem ulgę, wiedząc, że nie będę musiał sam przechodzić przez policyjne maglowanie.

– Masz tu coś nielegalnego?

– Tylko broń i to. – Wyciągnąłem minichłodziarkę. Redhard wziął ją ode mnie i otworzył.

– Czyja to krew? – spytał, patrząc mi w oczy.

– Lisy. Pobrałem ją, zanim was wezwałem.

– Po co? – Pułkownik zamknął urządzenie i schował je do kieszeni.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Odruch.

– Daj broń.

Odpiąłem z paska kaburę i podałem ją Redhardowi.

– Twoje rzeczy będą czekały w moim biurze. Odbierzesz je za kilka dni, jak policja przestanie się tobą interesować.

Podszedł do nas Yim, technik śledczy o azjatyckich rysach twarzy i bionicznych rękach odcinających się połyskującą czernią od pomarańczowego T-shirtu. Z powodu

wierzeń rodziców będących członkami komuny religijno-naturalistycznej, odrzucającej genetyczne interwencje, Yim urodził się z achondroplazją. Przez całe dzieciństwo rodzice wmawiali mu, że w ten sposób Bóg go wyróżnił i należy pogodzić się z jego wolą. Nasz technik miał inne zapatrywanie na temat korygowania boskich planów i po ucieczce z domu zastąpił naturalne kończyny bionicznymi protezami.

– Arth. – Yim skinął mi na przywitanie. – Przykro mi z powodu tego, co się stało... Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki, Yim. Będę pamiętał – odpowiedziałem i zamilkłem, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogę dodać.

– Jak wam idzie? – zapytał Redhard, przerywając kłopotliwą ciszę.

– Tu dobrze, prawie skończyliśmy, ale mamy inny problem. Kolejne ciało.

Redhard spojrzał na mnie pytająco, ale po wyrazie mojej twarzy musiał zorientować się, że nic o tym nie wiem, więc spojrzał znowu na Yima.

– Mężczyzna, znaleźliśmy go w mieszkaniu piętro niżej, gdy poszliśmy zrobić wywiad – kontynuował technik. – Zabity strzałem w głowę, godzinę przed śmiercią denat... Lisy.

– Znałeś go? – Redhard zwrócił się do mnie.

– Widziałem go raz czy dwa. Zapraszał nas kiedyś na przyjęcie u siebie w mieszkaniu, ale z jakiegoś powodu nie mogliśmy pójść. Lisy mówiła, że to jakiś biznesmen albo bankier. Nie pamiętam już teraz.

– Dobra, sprawdzimy go. Może to przypadek, ale nie stawiałbym na to. Działacie tam? – Pułkownik zwrócił się do Yima.

– Tak, chłopaki rozstawiają skanery. Piętnaście minut i będziemy gotowi.

– Dobra, uwijajcie się.

Yim skinął głową i wrócił do swoich ludzi.

– Zostań tu, a ja sprawdzę, jak to wszystko wygląda. – Redhard wstał z kanapy. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dziękuję.

Kara już chciała do mnie podejść, ale Redhard powstrzymał ją potrząśnięciem głowy. Przytaknęła ze zrozumieniem, uśmiechnęła się do mnie ciepło i wycofała do Nami i Treba.

Nie wiem, jak długo siedziałem, dryfując po wspomnieniach. Powracał do mnie obraz ojca siedzącego w kuchni z kubkiem kawy i wybuch w gnieździe metamorfów. Ale większość czasu myślałem o Lisy. Wracałem do chwili, gdy się poznaliśmy, do naszych kłótni i godzenia się. Miałem przed oczami jej obraz siedzącej przed terminalem. Czulem zapach włosów, ciepło skóry, smak ust...

– Arth. – Redhard przywołał mnie do rzeczywistości. – Skończyliśmy. Policja została poinformowana i będzie tu za kilka minut. Zostaw wszystko Trebowi. – Wskazał na prawnika, który właśnie do nas podszedł. – Jak skończycie, Nami się tobą zajmie i pomoże ci z resztą formalności. Masz gdzie się podziać?

– Tak, mam swoje stare mieszkanie w Mikrze. – Wstałem z kanapy. – Adres jest zarejestrowany w profilu.

– Młkrze? – zdziwił się Treb.

Domyślałem się, o co mu chodzi. Dzielnica nie uchodziła za zbyt bezpieczną.

– Jak widać, wszędzie jest niebezpiecznie – warknąłem, patrząc Trebowi prosto w oczy.

– Nie miałem niczego złego na myśli. – Prawnik uniósł ręce w geście poddania się i zrobił krok do tyłu.

– Wiem. Przepraszam, jestem zmęczony. – Nie wiedziałem, dlaczego zareagowałem w ten sposób. Może z powodu irytującej barwy głosu albo nabytej przed laty awersji do przedstawicieli tej profesji. – Gdy będzie po wszystkim – zwróciłem się do Redharda – chciałbym dołączyć do grupy szukającej skurwysynów, którzy to zrobili.

– Nie. – Pułkownik pokręcił głową. – Jak skończysz, to spróbuj odpocząć. Poradzimy sobie.

– Mogę się przydać.

– Nie – powtórzył dosadnie. – Jesteś emocjonalnie zaangażowany i możesz stanowić zagrożenie dla grupy. Będziesz miał swoją zemstę, obiecuję ci to, ale teraz musisz czekać. Dam ci znać, gdy będziemy coś wiedzieć. – Wyciągnął dłoń na pożegnanie.

– Dziękuję. – Ucisnąłem mu rękę i odprowadziłem wzrokiem, gdy wychodził.

* * *

Treb rzeczywiście znał się na swojej robocie. Policyjny detektyw miał z nim ciężką przeprawę i w końcu musiał pogodzić się z tym, że dostanie ode mnie tylko tyle, ile mój prawnik uzna za stosowne. Po kilkudziesięciu bezowocnych minutach porucznik zostawił nas samych i dołączył do swoich ludzi zbierających dowody w mieszkaniu.

Policja może i dysponowała takim samym sprzętem jak grupa śledcza z firmy, ale wyraźnie odstawała umiejętnościami. Nie dziwiłem się – ostatecznie dostajesz to, za co płacisz. Vertas mogło sobie pozwolić na kilkukrotnie wyższe wynagrodzenia dla swoich techników, niż policja była w stanie zaoferować detektywom, i przekładało się to na poziom kompetencji. Odgłosy dobiegające z łazienki sprawiały, że zgrzytałem zębami, mając ochotę ukatrupić tych palantów w mundurach. Na szczęście dla nich po kilku minutach wrócił detektyw i zabrał nas na komisariat.

Nie wiem, jaki był tego cel. Może glina myślał, że na obcym terenie będziemy bardziej skorzy do współpracy. Cóż, mylił się. Kilka kolejnych godzin spędziłem w pokoju przesłuchań, obserwując utarczki Treba z policjantami i pijąc kawę z automatu, która wyglądała i smakowała jak bardzo rzadkie gówno.

Opuściliśmy komisariat późnym popołudniem. Treb przesłał mi swój numer i polecił dzwonić, gdyby ktoś z policji próbował się ze mną kontaktować, po czym wsiadł w taksówkę i odleciał do domu. Zostałem sam z Nami. Nie spałem od prawie trzydziestu sześciu godzin i zaczynałem to odczuwać. Nie uszło to uwadze mojej opiekunki.

– Chcesz lecieć do siebie? – zapytała, gdy wsiadliśmy do taksówki.

– Nie, muszę się napić – odpowiedziałem, gapiąc się w okno.

IX

Otworzyłem oczy i bezmyślnie gapiłem się przed siebie, z każdą sekundą odzyskując świadomość, aż dotarło do mnie, że leżę na łóżku w nieznanym mi miejscu. Spróbowałem sobie przypomnieć, gdzie jestem i jak się tu znalazłem, ale pojedyncze wspomnienia nie chciały się ułożyć w spójną całość. Zamiast tego zmuszony do działania umysł zemścił się, informując mnie o odczuwanym pragnieniu i pulsującym bólu głowy. Powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, usiadłem, oparłem się o zagłówek pokryty miękkim obiciem i rozejrzałem dookoła. Naprzeciwko siebie miałem owalne przyciemnione okno, sprawiające, że w pokoju panował półmrok. Na ścianie po prawej stronie zobaczyłem obrys drzwi i ciemny prostokąt jakiegoś obrazu. Na lewo od okna dostrzegłem okrągły stolik, przy którym stały dwa fotele o finezyjnych kształtach. Drugi, taki sam stolik znajdował się obok łóżka. Na widok stojącej na nim szklanki wody poczułem pragnienie i wdzięczność dla tego, kto ją tu postawił. Sięgnąłem po nią i ostrożnie uniosłem do ust, tak żeby nie uronić ani kropli. Opróżniłem szklankę duszkiem i chciałem odstawić z powrotem, ale musiałem być wciąż pijany, bo nie trafiłem w blat. Upuszczona szklanka odbiła się kilka razy od podłogi i pękła z brzękiem. Zakląłem pod nosem. Zsunąłem nogi na miękki dywanik i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że spałem w ubraniu, nie licząc butów leżących na podłodze.

Drzwi do pokoju otworzyły się, wpuszczając do środka światło z sąsiedniego pomieszczenia. W progu zobaczyłem Nami. Jej widok przypomniawszy mi o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. Przed oczami przeleciały mi obrazy strzelaniny, martwej Carol Sabicki, dronów, odstrzelonej ręki Rek i zakrwawionej Lisy. To ostatnie sprawiło, że pięści zacisnęły mi się na pościeli i miałem ochotę wyć.

– Usłyszałam, że się obudziłeś – powiedziała Nami, podchodząc do okna.

– Skąd się tu wzięłaś? – warknąłem. Obecność Nami zaskoczyła mnie i zirytowała. Nie miałem ochoty na towarzystwo, zwłaszcza niańki z kadr.

– Spałam w pokoju obok – odpowiedziała spokojnie, ignorując mój ton, i stuknęła palcem w kontroler umieszczony na ścianie. Przyciemnione szyby stały się przezroczyste i wpuściły do wnętrza blask dnia.

Przymrużyłem oczy, chroniąc je przed światłem. Nami odwróciła się w moją stronę i oparła pośladkami o parapet. Nadal była elegancko ubrana, ale garsonkę z poprzedniego dnia zastąpił beżowy jednoczęściowy kombinezon.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– A jak myślisz? – wyszczałem. – Gdzie jestem?

– W hotelu. Zabrałam cię tu, gdy zaczęłaś sprawiać problemy w barze, i położyłam do łóżka. Nie pamiętasz?

– Nic nie pamiętam... – Nagle zrobiło mi się głupio za mój wybuch. Nie powinienem się na niej wyżywać za to, że wykonywała swoją pracę. – Bardzo nabroiłem?

– Nie. Nie pozwoliłam, żeby sprawy zaszły za daleko. Poczekalam, aż obijesz kilku typów, i wyprowadziłam cię stamtąd.

– Poczekaaś? – zdziwiłem się.

– Tak. Pomyślałam, że nie zaszkodzi, jak wylądujesz na kimś złość, i wydaje mi się, że miałam rację. Przez całą drogę tutaj byłeś już grzeczny. – Nami uśmiechnęła się nieznacznie.

– Czekaj. Mówisz, że obiłem kilku gości, a później tak po prostu sobie wyszliśmy? – Coś mi tu nie pasowało. W przeszłości regularnie zdarzało mi się uczestniczyć w barowych bójkach i wiedziałem, że nie tak łatwo ulotnić się z awantury, którą się samemu wszczęło.

– Niezupełnie. – Uśmiech Nami się poszerzył. – Ochroniarze próbowali nas zatrzymać, ale wybiłam im ten pomysł z głowy. Dosłownie.

– Ty? Jak? – Nami sprawiała wrażenie wysportowanej, natomiast nie wyglądała na kogoś, kto byłby w stanie okładać się z ochroniarzami.

W odpowiedzi kobieta wysunęła prawą rękę przed siebie i zacisnęła dłoń w pięść. Skóra na kłykciach rozsunęła się, ukazując srebrzysty metal.

– Podobno pracujesz w kadrach ... – skomentowałem.

– Podobno ty też. – Nami pozwoliła skórze na dłoni zasklepić się i opuściła rękę.

– *Touché*. – Uśmiechnąłem się. – Jak to się stało, że nigdy razem nie pracowaliśmy?

– Powiedzmy, że jestem z innego działu. – Skrzyżowała ręce na piersi i delikatnie przechyliła głowę w prawo.

– *Quis custodiet ipsos custodes?*

– Odpowiedź masz przed sobą. – Puściła mi oko.

– Dobrze wiedzieć. – Wywołałem na soczewkę log połączeń. Poza kilkoma próbami kontaktu od Viki nie miałem nic innego. – Redhard nie dzwonił?

– Nie.

– To jaki jest plan? – zapytałem, wstając z łóżka.

– Wykąp się i przebierz. – Nami wskazała na garnitur przewieszony przez oparcie fotela. – Jak będziesz gotowy, polecimy do krematorium.

– Policja już skończyła? – Sprawdziłem czas, dochodziła jedenasta. – W niecałe trzydzieści godzin? – Byłem szczerze zdziwiony. Policja Steris słysnęła z tego, że potrafiła przechowywać ciała tygodniami w sobie tylko znanych celach.

– Tak. Treb to załatwić. Policja i tak raczej nie znalazłaby niczego nowego, a prokurator wisiał mu przysługę. – Nami ruszyła w stronę drzwi. – Wykąp się, a ja zorganizuję ci jakieś śniadanie.

* * *

Krematorium było masywnym budynkiem z białego betonu, ulokowanym na wzgórzu, przy granicy miasta. Jego bryła sprawiała wrażenie, jakby złożono ją z prostopadłościanów luźno poukładanych na sobie. Konstrukcję krył kanciasty dach uformowany na kształt fali wznoszącej się ku niebu i zwieńczonej skrzydlatą postacią

z wyciągniętymi w górę rękoma. Za budynkiem rozciągał się kilkudziesięciohektarowy ogród stworzony na pustyni, gdzie można było rozrzucić prochy zmarłych. Paradoksalnie śmierć ożywiała to miejsce.

Ofertę pogrzebową krematorium dostosowano do szerokiego wachlarza klientów i ostatnie pożegnanie mogło odbyć się zarówno ekspresowo, bez zbędnych upiększeń, jak i z pełnym ceremoniałem i oprawą wizualno-dźwiękową, przy której brakowało jedynie, by świetlista dusza zmarłego uleciała ku niebiosom.

Oprócz przemiany ciała w popiół administracja krematorium oferowała asystę przy finalizacji spraw doczesnych zmarłego. Również tu widać było zróżnicowanie oferowanych usług. Najmniej zamożna warstwa społeczeństwa domyślała formalności, stojąc przy automatach w zatłoczonym holu, podczas gdy majątniejsi klienci korzystali z asysty doradcy w zaciszu prywatnego gabinetu.

Siedziałem właśnie w jednym z takich pokoi, w wygodnym fotelu obitym skórą, mając na sobie garnitur dostarczony przez Nami, i obserwowałem starszego specjalistę Ermana, tkwiącego za mahoniowym biurkiem. Ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna od kilku minut wpatrywał się w ekran terminala, analizując jakieś dane. W tym czasie regularnie powtarzał sekwencję ruchów polegającą na pogłądzeniu czarnych wąsów i poprawieniu mankietów koszuli wystających spod ciemnej marynarki.

– Tak. – Erman podniósł na mnie wzrok i poprawił węzeł wzorzystego, zielono-czerwonego krawatu znikającego pod szmaragdową kamizelką. – Wszystko wygląda dobrze, panie Ven. Chciałem to jeszcze raz sprawdzić, bo policyjne kostnice mają irytującą tendencję do popełniania błędów w dokumentacji. Jednak w tym przypadku wszelkich formalności dopełniono z należytą starannością. Pan koroner Xian i pani prokurator Lemn to profesjonaliści.

Mężczyzna zamilkł, dając mi najwyraźniej szansę na ustosunkowanie się do wygłoszonych komplementów, ale gdy nie zareagowałem, ponownie spojrzął w ekran.

– Hmm, no tak. Skoro tu już wszystko mamy, to zostało nam jeszcze tylko to – wymamrotał pod nosem, po czym wziął głębszy oddech i popatrzył na mnie. – Panie Ven, domyślałem się, że jest panu teraz bardzo ciężko i nie ma pan ochoty na przesłuchania, ale będę potrzebował kilku informacji na temat pani Roker. Bez tego nie zakończymy formalności.

– Niech pan pyta – odpowiedziałem, przecierając zaczerwienione oczy.

– Potrzebuje pan chusteczek? – Erman sięgnął w kierunku szuflady.

– Nie, to tylko zmęczenie. Niech pan pyta.

– Rozumiem. A zatem. – Mężczyzna stuknął w ekran monitora i przez chwilę coś studiował. – Z informacji udzielonych nam przez policję wiemy, że konta pańskiej partnerki zostały zhakowane i wiele danych zostało usuniętych, a pozostałe mają status potencjalnie uszkodzonych i nie mamy do nich dostępu. Dlatego muszę zapytać, czy zgodnie z pana wiedzą pani Roker była członkinią jakiejś społeczności religijnej?

– Nie.

– Czy pozostawiła jakieś dyspozycje dotyczące pochówku?

– Nie.

– Czy znani są panu członkowie rodziny pani Roker, którzy powinni zostać poinformowani o zgonie?

– Nie. Jej rodzice zginęli w wypadku kilka lat temu. Nie miała rodzeństwa.

– Dobrze. To nam ułatwia... To znaczy, chciałem powiedzieć...

Uniesieniem dłoni powstrzymałem dalsze tłumaczenia.

– Wiem, co miał pan na myśli. Niech pan kontynuuje.

– Tak, oczywiście. – Erman poprawił się na krześle i wrócił do odczytywania pytań z listy. – Czy znani są panu jacyś potencjalni spadkobiercy pani Roker?

– Nie.

– Na podstawie logów dostarczonych przez zarządcę budynku, w którym znajduje się mieszkanie pani Roker, stwierdzono, że zamieszkiwał pan z panią Roker przez okres ponad dwóch lat, co zgodnie z prawem miasta Steris czyni pana oficjalnym partnerem z pełnymi prawami spadkowymi. Czy w związku z tym wyraża pan chęć przyjęcia spadku po pani Lisy Roker? – spytał i spojrzał na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź.

Zawahałem się. Spadek po Lisy, poza kontem bankowym, stanowiło mieszkanie, do którego nie chciałem wracać. Wiedziałem jednak, że jeżeli go nie przyjmę, stanie się własnością miasta, a Lisy za bardzo je lubiła, żebym mógł na to pozwolić.

– Tak, wyrażam zgodę – odpowiedziałem.

– Doskonale. W takim razie ostatnia sprawa. Zgodnie z prawem dziedziczny pan wszystkie wszcypy i inne urządzenia wykorzystane do augmentacji ciała pana zmarłej partnerki. Zazwyczaj oferujemy ich odkup po bardzo atrakcyjnej cenie. Niestety w przypadku pani Roker nie możemy zaoferować tej opcji ze względu na uszkodzenia. Czy w związku z tym chce pan, abyśmy odesłali je panu, czy woli pan zlecić ich utylizację nam? Oczywiście bez żadnych dodatkowych kosztów po pańskiej stronie.

– Zajmijcie się tym.

– Tak się stanie. – Erman zaznaczył palcem opcję na terminalu.

– Czy to już wszystko? – spytałem.

– Prawie. Pozostały jeszcze kwestie stricte pogrzebowe. Ma pan ubezpieczenie na życie opłacane przez Vertas Corp. Pakiet pogrzebowy będący częścią polisy rozciąga się również na partnerów. Kwota pakietu jest wystarczająca, by pokryć koszty naszej najdroższej oferty. Czy w związku z tym decyduje się pan na nią? Osobiście rekomenduję, żeby tak zrobić.

– Tak, niech będzie.

– Doskonale. – Mężczyzna uśmiechnął się, jakby właśnie dostał premię. Kto wie, może tak było. – Wie pan, jak przebiega proces kremacji?

– Nie.

– Czy chciałby pan, żebym go panu przedstawił?

– Nie.

– Dobrze. A zatem przejdźmy do wyboru miejsca. – Erman wyszedł zza biurka i podszedł do szklanych drzwi znajdujących się po mojej prawej, otworzył je i wykonał zapraszający gest ręką. – Proszę ze mną.

Wstałem i ruszyłem we wskazanym kierunku. Za drzwiami znajdowała się galeria mająca około dwustu metrów długości, wykonana z matowej stali i zawieszona kilka

pięter nad marmurową posadzką olbrzymiego holu. Ścianę za moimi plecami pokrywał polerowany tynk, natomiast przeciwną ścianę, znajdującą się kilkanaście metrów ode mnie, zdobił kolorowy, połyskujący obraz, wysoki na kilka pięter i długi na kilkaset metrów. Przedstawiał sceny zaczerpnięte z mitologii, klasyków literatury i historii miasta. Jeden wielki miszmasz.

– Jak się panu podoba nasze dzieło? – Erman stanął obok i oparł się rękami o balustradę.

– Ładne – odpowiedziałem, nie bardzo wiedząc, po co się tu znalazłem. – Cokolwiek to jest.

– To ściana pamięci. Nasza chluba. Widzi ją pan po raz pierwszy?

– Nie mam w zwyczaju zwiedzać krematoriów.

– No tak, oczywiście. – Erman uśmiechnął się wyrozumiale. – Stąd tego nie widać, ale to mozaika ułożona z milionów diamentów. Każdy klejnot reprezentuje jednego mieszkańca i został wykonany z jego popiołów. Są tu prawie wszyscy, nie licząc tych z mniej, że tak to określe, prestiżowych dzielnic. Proszę tu spojrzeć.

Mężczyzna podszedł do jednego z terminali wkomponowanych w balustradę, przybliżył obraz mozaiki tak, że widać było poszczególne diamenty, i stuknął palcem w jeden z nich. Na ścianie zobaczyłem błysk wskazujący miejsce wybranego kamienia, a na ekranie wyświetliło się zdjęcie z krótką notatką i profilem społecznościowym.

– „Pani Silia Kranzven. Artystka” – przeczytał Erman i spojrzał na mnie. – Czyż to nie wspaniałe? Nikt nie zostanie zapomniany i nawet po śmierci można stać się częścią czegoś pięknego. Owszem, taka forma upamiętnienia jest droższa, ale czy pani Roker nie jest tego warta? W mojej opinii nikt nie powinien nawet rozważać urny, gdy może wybrać diament. Wyobraża pan sobie, jakie to będzie uczucie, gdy kiedyś w przyszłości będziemy w stanie przelać nasze jaźnie z dysków banków pamięci w nowe ciała i zjawimy się tu, żeby zobaczyć dawnych siebie?



– Rozumiem, że chce pan, aby Lisy stała się diamentem? – Nie miałem ochoty rozmawiać na temat uczuć.

– Tak. – Erman musiał wyczuć moje zniecierpliwienie, bo z jego głosu uleciała ekscytacja. – Pańska polisa daje taką możliwość, a dostępne środki wystarczą na wykonanie dwóch kamieni o niebieskiej barwie. Zostałyby one wykorzystane jako oczy tego oto anioła. – Przybliżył obraz świetlistej postaci o złotych włosach i oczach, w których brakowało źrenic.

– Dobrze, ma pan moją zgodę. Czy tym razem to już naprawdę wszystko?

– Ostatnie pytanie. Czy chciałby pan zobaczyć panią Lisy przed kremacją? Proszę się nie obawiać, wykonaliśmy niezbędne zabiegi rekonstrukcyjne i usunęliśmy ślady uszkodzeń mechanicznych. Lisy Roker wygląda jak za życia, ale decyzja należy do pana.

* * *

Spoczywająca w trumnie Lisy naprawdę wyglądała jak żywa. Była piękna i uśmiechała się tak samo, jak zwykła to robić przez sen. Pochyliłem się i pocałowałem ją w usta. Ich chłód do niej nie pasował i miałem wrażenie, że pozostał na moich wargach. Cofnąłem głowę i zastygłem w jakimś irracjonalnym oczekiwaniu na to, że otworzy oczy, uśmiechnie się i powie to swoje „chodź tu do mnie”. Niestety nic takiego nie mogło się wydarzyć i się nie wydarzyło. Wyprostowałem ramiona, czując, jak po raz kolejny ogarnia mnie poczucie bezbrzeżnej pustki.

Drzwi za moimi plecami przesunęły się i ktoś wszedł do pokoju. Odwróciłem się i zobaczyłem Viki. Ona jako jedyna z firmy знаła Lisy osobiście.

– Cześć, Viki. – Uśmiechnąłem się szczerze. Jej widok dodał mi otuchy.

– Arth, nie wiem, co powiedzieć... – zaczęła i zatrzymała się zaraz za progiem.

– Nie musisz nic mówić. Dziękuję, że przysłaś.

Viki zbliżyła się do trumny i spojrzała na Lisy.

– Wygląda, jakby spała. – Położyła mi rękę na ramieniu. – Gdybyś czegoś potrzebował, to pamiętaj, że masz mnie.

– Dzięki, Viki. Wiem o tym. – Wziąłem głęboki oddech, po raz ostatni dotknąłem twarzy Lisy i wcisnąłem przycisk na katafalku. Platforma, na której leżała trumna z ciałem, powoli wsunęła się do pieca.

– Chodźmy – powiedziałem do Viki, gdy stalowa przegroda zasłoniła otwór.

– Nie chcesz zaczekać? – spytała.

– Nie – odpowiedziałem, opuszczając pomieszczenie.

* * *

Wyszliśmy przed budynek. Był ciepły, spokojny wieczór. Słońce zachodziło za górami na horyzoncie, a przed sobą mieliśmy zadrzewioną alejkę prowadzącą do ogrodu, z którego dobiegały odgłosy pracujących zraszaczy. Drzewa zaszumiały i na twarzy poczułem delikatny powiew wiatru. Przymknąłem oczy i przez nos wciągnąłem powietrze pachnące trawą. Wypuszczając je ustami, poczułem ulgę i spokój.

– Arth. – Usłyszałem za sobą głos zbliżającej się Nami. – Dzwonił Redhard. Znaleźli ich.

X

Mówią, że jest honor wśród złodziei. Może nawet to prawda, ale Phil Thender, bankier z wielkimi ambicjami i skłonnością do szukania dróg na skróty, nie miał zamiaru się na niego oglądać, zwłaszcza gdy w grę wchodziła zemsta Vertas. Wiedział, że jeśli trafi na czarną listę firmy, jego los będzie przypieczętowany. Postanowił zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić, i miał nadzieję, że to, co ma do zaoferowania, będzie warte więcej niż jego życie.

Phil nigdy nie miał cierpliwości do żmudnego zdobywania pozycji i reputacji potrzebnej do zyskania poważnych klientów i majątku. On chciał być bogaty teraz, a nie w przyszłości. Chciał korzystać z życia, a nie je tracić.

Phil nie był przy tym głupi. Potrafił kombinować i w końcu wymyślił sposób na zdobycie szybkich pieniędzy kosztem swoich klientów i pracodawcy, ale brakowało mu technicznych umiejętności, żeby wprowadzić go w życie. Na szczęście dla niego Steris nie cierpiało na niedobór ludzi o podobnych marzeniach. Było ich tylu, że czasami do znalezienia odpowiedniej osoby wystarczało spojrzeć biurko obok.

Pewnej nocy, już po kilku głębszych, Phil zebrał się na odwagę i opowiedział o swoim pomysle koledze z pracy. Kamer Whizkic, nieco starszy, bardziej doświadczony i rozczarowany tempem rozwoju swojej kariery, dostrzegł szansę na wcześniejszą emeryturę i pomógł Philowi dopracować szczegóły. O dziwo, w odróżnieniu od miliardów planów snutych przy barowych stołach, tym razem chęć współpracy nie wyparowała wraz z promilami i po kilku dniach mężczyźni zaczęli wprowadzać swój plan w życie.

Wszystko szło dobrze. Pieniądze wpływały na konta wartkim strumieniem i wydawało się, że nikt się nie zorientował, co się dzieje. Plan początkowo obliczony na cztery lata miał szansę zrealizować się w ciągu dwóch. Po tym czasie obaj wspólnicy powinni mieć wystarczająco pieniędzy, żeby się ulotnić i zniknąć gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu.

Jednak dwa lata to wciąż długo, a każdy dzień wiązał się z ryzykiem wykrycia przekrętu. Dlatego Whizkic postanowił zoptymalizować pierwotną koncepcję. Nie mógł zwiększyć wpływów bez drastycznego zwiększenia prawdopodobieństwa wpadki, ale mógł zmniejszyć potrzebną kwotę – dokładnie o połowę. Wystarczyło zakończyć współpracę z Philem. Tak też uczynił – z dnia na dzień odciął wspólnika od systemu i zgromadzonych pieniędzy. Whizkic najpewniej wyszedł z założenia, że młodszy kolega nie będzie w stanie nic zrobić, bo gdyby zgłosił sprawę policji lub pracodawcy, sam nie uniknąłby konsekwencji. Nie docenił Phila.

Wśród znajomych młodego bankiera był Urk Nahel, gangster z potężnymi aspiracjami. Grupa Urka zajmowała się wszystkim, co mogło przynieść pieniądze. W swoich szeregach mieli ludzi z pełnego spektrum przestępczych profesji, od hakerów po zabójców. Działalność prowadzili głównie w Zachodnim Briz, dzielnicy stanowiącej swoistą strefę buforową pomiędzy Mikrą a pozostałymi dzielnicami Steris, ale nie stronili też od rajdów w inne rejony miasta.

Rozgoryczony brakiem lojalności Phil udał się do swojego znajomego i zaferował mu udziały Whizkica w zamian za pozbycie się byłego wspólnika. Urk przyjął ofertę i wraz ze swoimi ludźmi odwiedził bankiera jeszcze tej samej nocy. Bez problemu włamali się do jego mieszkania, wyciągnęli śpiącego z łóżka i zmusili do odblokowania terminala używanego do gromadzenia środków. Gdy haker z grupy Urka potwierdził dostęp i przejął pełną kontrolę nad systemem, Whizkic, z kulą w głowie, zakończył w kabinie prysznicowej swój sen o bogactwie.

W czasie rekonfigurowania ścieżek dostępu haker Urka zorientował się, że do sieci Whizkica podłączony jest ktoś jeszcze. Szybko ustalił, że połączenie pochodzi z terminala zlokalizowanego w mieszkaniu powyżej. Urk nie wiedział, czy ta aktywność miała coś wspólnego z przekrętem, ale postanowił od samego początku dobrze chronić swój nowy interes.

W drugim mieszkaniu znaleźli kobietę.

* * *

Phil Thender kulił się na krześle w niewielkim pokoju spotkań w wieżowcu Vertas Corp. Siedziałem naprzeciwko niego, po prawej mając Redharda, a po lewej Viki. Co chwila przecierał zaczerwienione oczy, był blady, spocony i dygotał. Wyglądał, jakby od śmierci dzieliły go sekundy. Do portu za uchem miał wpięty przewód wariografu stojącego na stole przed Viki. Właśnie skończył dukać swoje wyjaśnienia i teraz nerwowo wodził wzrokiem między urządzeniem a nami, najwyraźniej oczekując jakiejś reakcji.

Thender zgłosił się do nas sam, gdy tylko po ulicach rozniosła się informacja, że Vertas szuka ludzi odpowiedzialnych za zabójstwo architektki wspomnień Lisy Roker. Oficjalnie zarząd korporacji był poruszony śmiercią utalentowanej kobiety pracującej w klinice powiązanej z firmą. Na telebimach w całym mieście wyświetlały się komunikaty z prośbą o kontakt i oferowaną nagrodą. Phil szybko skojarzył zabójstwo z relacją zdaną mu przez Urka dzień wcześniej, a gdy porównał adres Whizkica z adresem zabitej, miał pewność, że wskazówki odmierzające czas do jego śmierci znalazły się niebezpiecznie blisko północy.

Wiedział, że jeżeli nie dopadnie go Vertas, to zrobi to Urk chcący pozbyć się jedynej osoby mogącej połączyć go z morderstwem. Nie czekał długo na potwierdzenie swoich domysłów. Jego komunikator zalały wiadomości od nowego wspólnika. Na początku były to standardowe żądania pilnego spotkania, które jednak szybko zaczęły przypominać groźby. Thender przeanalizował swoje opcje i doszedł do wniosku, że

większe szanse na przeżycie daje mu zgłoszenie się do Vertas i wskazanie faktycznych morderców.

Patrzyłem na Thendera i nie czułem do niego nienawiści. Prawdę mówiąc, nie czułem nic. Był mi całkowicie obojętny, jego życie nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Zwykły śmieć, jakich wielu chodziło po ulicach Steris. Chciał być bogaty i zaryzykował, a teraz przyjdzie mu za to zapłacić.

– Naprawdę nie wiedziałem, że oni to zrobią – odezwał się Thender, nie doczekawszy się żadnej reakcji z naszej strony. – Mieli się tylko pozbyć Whizkica. Nie chciałem, żeby ktokolwiek zginął. Mieli się go tylko pozbyć. Nastraszyć. Chciałem, żeby oberwał, ale to wszystko. Tylko on. Nikt inny. Tu chodziło tylko o kasę. To był mój pomysł, a on go ukradł. Oszukał mnie. Ukradł moje pieniądze i zabrał system...

Spojrzałem na Viki, która analizowała wykresy na wyświetlaczu wariografu. Specjalistka od metamorfów nie powinna brać udziału w przesłuchaniach, ale sprawa Lisy miała dla niej wymiar osobisty i nie zamierzałem jej od tego odwoznić.

– Wygląda na to, że w większości mówi prawdę. – Viki przesunęła palcem po ekranie. – Kłamie tylko, że nie chciał śmierci Whizkica. W najlepszym wypadku wisiało mu, co z nim zrobią, ale obstawiam, że miał nadzieję...

– Nieprawda! – zaprotestował Thender. – Nie chciałem, żeby go zabili. Ja...

Viki przeniosła wzrok z ekranu na Thendera i skrzywiła się z powątpiewaniem. Bankier zamilkł.

– Myślę, że więcej z niego nie wyciśniemy – odezwał się telepatycznie Redhard. – Viki, ten cały Urk nadal próbuje się z nim skontaktować?

– Tak. Ktoś chciał go też namierzyć, ale zablokowaliśmy połączenie.

– Co z nim robimy, Arth? – Redhard nie odrywał wzroku od Thendera.

– Ludzkość nie poniesie wielkiej straty, jeżeli się go pozbędziemy, ale na razie może nam się przydać. Jeżeli Urk nie dostanie żadnego kontaktu w ciągu najbliższych godzin, zaszyje się gdzieś i będzie próbował przeczekać. Thender może nam go wystawić.

Redhard postukał palcami w blat stołu i spojrzał na mnie.

– Masz rację. Najpierw rozpracujmy Urka i jego ludzi. Sprawdźmy, co wiedzą o nich na ulicy i w komisariatach. Później zobaczymy, jak możemy się do nich dostać, tak żeby bolało.

Skinąłem głową z aprobatą.

– Potrzebujesz go jeszcze do czegoś, Viki? – zapytał Redhard.

– Nie, na tę chwilę mam wszystko.

– Okej, w takim razie kończymy.

Do pokoju weszło dwóch pracowników ochrony i bez słowa podeszło do Thendera, który na ich widok złapał się podłokietników i przywarł do krzesła. Mężczyźni, nie marnując czasu, chwycili go pod ramiona i bez trudu unieśli razem z meblem.

– Gdzie oni mnie zabierają!? Wszystko powiedziałem! Co ze mną zrobicie? – Thender krzyczał i wierzył, próbując wyrwać się ochroniarzom, ale jego wysiłki nie robiły na nich żadnego wrażenia. – Pomogłem wam! To nie moja wina! To Urk! Urk...!

Zachodnie Briz było znacznie przyjemniejszą dzielnicą niż Mikra. Czyste i zorganizowane, a przede wszystkim w jakimś stopniu pod kontrolą władz miejskich. Tutejsi mieszkańcy częściej miewali prawdziwą pracę, na chodnikach przesiadywało mniej ćpunów, nad ulicami co jakiś czas przelatywał patrol policyjny i tylko okazjnie znajdowano nad ranem zakrwawione ciała z powyrywanyymi augmentacjami. Innymi słowy, oaza spokoju.

Wielu mieszkańcom Mikry Briz jawiło się jako ziemia obiecana, a możliwość przeprowadzki bezsprzecznie świadczyła o tym, że coś w życiu osiągnęli. Awansowali w hierarchii społecznej, byli szczęściarzami. Na dobrą sprawę każdy, kto urodził się w Mikrze, a umierał gdzie indziej, miał pełne prawo czuć się wybrańcem losu.

Stałem na dachu wieżowca i patrzyłem w dół, na zacięione ulice Briz. Do moich uszu dobiegał ledwie słyszalny gwar miasta, niesiony przyjemnym popołudniowym wiatrem. Słońce było wciąż wysoko, ale nie czułem gorąca. Kilka kroków w prawo ode mnie, oparty plecami o barierkę okalającą dach, stał Redhard i palił papierosa. Za nim, w tle, widać było panoramę miasta, a jeszcze dalej iskrzył się ocean poznaczony gdzieś tam plamkami statków. Może pułkownik nie służył już w wojsku i nie darzył estymą tej instytucji, ale nie miało to wpływu na jego ubiór. W czarnym T-shircie widocznym spod kurtki stylizowanej na militarną i spodniami w kolorze khaki wpuszczonymi w czarne buty za kostkę był typowym reprezentantem społeczności weteranów. Ludzi, którzy odeszli z armii, ale nigdy jej nie opuścili.

Po przesłuchaniu Thendera Redhard próbował odsunąć mnie od polowania, zasłaniając się dobrem misji. Zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy zagroziłem, że polecę do Briz na własną rękę. Żeby jednak nie było tak pięknie, postawił jeden warunek: osobiście będzie nadzorował moje poczynania. W praktyce oznaczało to, że po raz pierwszy w życiu doczekałem się niańki – prawie dwumetrowej, napakowanej i sadystycznej. Dzieciaki w przedszkolu umrą z zazdrości.

– Mam transmisję. – Usłyszałem w głowie głos Viki.

– Wrzuć mi ją.

Po lewej stronie mojego pola widzenia pojawiły się dwa prostokątne obrazy. Górny pochodził z implantu, który wstawiliśmy Thenderowi w miejsce jego własnych soczewek, dolny pokazywał obraz z miniaturowych dronów krążących w pewnym oddaleniu od naszej przynęty. Na razie chciwy bankier zachowywał się zgodnie z planem. Umówił spotkanie z Urkiem, przyleciał do Briz i grzecznie wykonywał polecenia. Zawsze jednak istniała możliwość, że się rozmyśli i spróbuje uciec albo zmienić strony. Byliśmy zabezpieczeni na taką ewentualność.

– Chcesz dźwięk? – zapytała Viki.

– Nie teraz, nie potrzebuję jego sapania. Podłącz mnie, jak się spotkają.

– Jasne.

Thender szedł ulicami Briz i rozglądał się nerwowo. Spojrzałem w dół i na soczewce zobaczyłem zielony punkt z podpisem CEL, przemieszczający się na tle budynków.

Trochę wyżej, kilka przecznic od zielonego punktu, pomarańczowa strzałka skierowana w dół wskazywała miejsce umówionego spotkania.

– Dzwoni Urk – zakomunikowała Viki i zamilkła na kilka sekund. – Zmienił miejsce spotkania.

Pomarańczowa strzałka przesunęła się w lewo, a zielony punkt zaczął się przemieszczać w nowym kierunku.

– Boi się pułapki – powiedział Redhard, podchodząc do mnie – i wcale mu się nie dziwię. Jeżeli gangi w Mikrze i Briz się dowiedzą, kogo szuka Vertas, sezon łowiecki będzie otwarty. Zarobić kasę i wyeliminować konkurencję, a jednocześnie wyświadczyć przysługę Vertas. To brzmi jak oferta miesiąca.

– Sam bym się skusił – odpowiedziałem, nie odrywając wzroku od zielonej kropki.

– Thender ma ogon – poinformowała Viki.

Dolny obraz przełączył się na widok z kamery drona śledzącego naszą przynętę. Kilkanaście kroków za Thenderem, pośród przechodniów, zobaczyliśmy podświetloną na czerwono dziewczynę.

– Ta laska zaczęła za nim iść chwilę po zmianie miejsca spotkania. Co z nią robimy?

– Na razie nic. Dopóki w niczym nie przeszkadza, niech sobie śledzi – zdecydował Redhard.

Thender szedł, przez cały czas rozglądając się nerwowo, ale najwyraźniej pozostawał nieświadomy ogona, bo ani razu nie spojrzął na podążającą za nim dziewczynę. Po kilkuset metrach skręcił w boczną uliczkę, precyzyjnie przeszedł przez niedomkniętą bramę i znalazł się na terenie zrujnowanej fabryki, na placu pokrytym spekanym asfaltem. Przeszedł na drugą stronę i omijając pordzewiałe, wyrwane z zawiasów wrota, wszedł do olbrzymiej hali. Przez chwilę dysponowaliśmy tylko obrazem z jego wszczepionych implantów, ale nasze drony szybko odnalazły szpary w poszyciu dachu i rozproszyły się w środku.

– Cóż za sceneria – skomentował Redhard i zapalił kolejnego papierosa.

Hala miała kilkadziesiąt metrów szerokości i około dwu stu metrów długości. Rozświetlały ją podłużne okna umiejscowione tuż pod dachem po obu stronach budynku. Promienie słońca przesączały się przez szyby po prawej stronie i znały posadzkę jasnymi plamami światła. Hala była pusta, nie licząc śmieci i stalowych fragmentów konstrukcji leżących na ziemi. Pod dachem co kilkadziesiąt metrów wisiały częściowo rozmontowane suwnice i mosty z kratownic prowadzące z jednej strony pomieszczenia na drugą. W połowie budynku, na podwyższeniu przy lewej ścianie znajdowała się niewielka budka z drzwiami i oknami wychodzącymi na wewnątrz hali. Gdy Thender był w połowie drogi od wejścia do budki, jej drzwi otworzyły się i po schodkach prowadzących na podwyższenie zszedł potężnie zbudowany mężczyzna.

– To nasz cel – powiedziała Viki i wykonała zbliżenie kamerą jednego z dronów.

Urk miał mongolskie rysy twarzy, a przynajmniej jej części, bo większy fragment zastępował metaliczny implant ze sztucznym okiem połyskującym czerwienią. Długie włosy nosił związane w kok. Ubrany był w skórzane spodnie ze wzmocnieniami i koszulkę na ramiączkach uwidaczniającą nienaturalnie rozrośniętą muskulaturę,

widać też było egzoszkielec. Gdy szedł, okute buty wzbijały obłoczki kurzu, a echo kroków wypełniało halę.

– Przyszedł sam? – zapytałem telepatycznie.

– Nie, ma ze sobą kolegów.

Na ekranie pochodzącym z drona wiszącego pod dachem zobaczyłem kształty kilku ludzi obrysowane czerwoną linią. Kryli się na kratownicach i stopniach suwnic. Sztuczna inteligencja analizująca obraz z dronów wskazywała, że wszyscy są uzbrojeni.

– Nie są tacy głupi – dodała Viki. – Omiatają halę skanerem i próbują zagłuszać sygnały.

– Mogą cię wykryć?

– Zwariowałaś? Powiedziałaś, że nie są głupi, a nie, że są geniuszami.

Urk znalazł się przy Thenderze, złapał go za poły kurtki i uniósł kilka centymetrów nad ziemię.

– Gdzie, kurwa, byłeś?! – ryknął bankierowi w twarz.

– A...a jak myślisz? – Thender z marnym skutkiem próbował grać twardego. Głos wiązał mu w ściśniętym gardle. – U... krywałem się!

Urk cisnął go na ziemię.

– Wpakowałeś mnie w niezłe gówno tym swoim zjebanym pomysłem!

– Ja?! – Thender z trudem podniósł się z posadzki. – Miałaś pozbyć się Whizkica i przejąć system. Nikt ci nie kazał zabijać żadnej dziewczyny! To wszystko twoja...

– Zamknij się, bo cię zajebię! – Urk uniósł rękę do uderzenia, ale się powstrzymał. – Kto jeszcze o tym wie?

– O czym? – Thender się cofnął, próbując zachować dystans.

– O twoim genialnym planie, debil! – Wielkolud zrobił krok w kierunku bankiera. – Z kim jeszcze o tym rozmawiałaś? Komu proponowałaś spółkę?

– Nikomu. Tylko Whizkicowi, a później tobie.

– Jesteś pewien? – Urk patrzył Thenderowi prosto w oczy. – Nie wysypałeś się komuś po pijaku? Jakiemuś szmaciarzowi z banku albo dziwce?

– Mówię ci, że nikomu nie mówiłem.

– A o tej lasce?

– Pojechało cię?! Za kogo ty mnie masz?

Urk nie odpowiedział. Przez chwilę gapił się w oczy Thendera, po czym pokiwał głową i wykrzywił usta w uśmiechu. Gdy Thender odwzajemnił uśmiech, Urk chwycił go obiema rękami za głowę i uniósł. Bankier wrzeszczał, wierzgał i uderzał na oślep, próbując się uwolnić. Urk nic sobie nie robił z jego ciosów. Powoli zaciskał stalowe palce na czaszce bankiera, aż jego głowa eksplodowała, a ciało runęło na betonową posadzkę, wzniesając obłok kurzu.

– Przyjemniaczek – skomentował Redhard, rozdeptując niedopałek papierosa.

Ludzie Urka zeszedli z kratownic i zbliżyli się do szefa. Byli krzykliwie ubrani, w większości wyglądali, jakby ledwo skończyli dwadzieścia lat, mieli też zdecydowanie nadmierne ciążoty do augmentacji. Niektórzy z nich posunęli się tak daleko w dążeniu

do technologicznej perfekcji, że to fragmenty ich naturalnych ciał zdawały się jedynie dodatkiem do syntetycznej reszty.

Urk wskazał głową na Thendera. Dwóch mężczyzn klęknięto obok ciała, zdjęło plecaki i rozsunęło je, ukazując poukładane w środku małe piły, skalpele i inne narzędzia chirurgiczne. Przy pomocy nożyczek rozebrali trupa, a następnie zabrali się do pracy, ze sprawnością zdradzającą niemałe doświadczenie w roli złodziei augmentacji. Metodycznie prześwietlali ciało ręcznym skanerem i wydobywali namierzone wszczepy. Z resztek czaszki wyciągnęli port informacyjny, implanty słuchu i oczy. Piłą rozplatali korpus i z wnętrza wyrwali serce wraz z przyłączonym do niego urządzeniem. Sztucznie stymulowany mięsień wciąż bił. Jeden ze złodziei oderwał go, rzucił na ziemię i rozgniół obcasem. Skończywszy z tym, co Thender miał w sobie, ripperzy odcięli mu obie dłonie, kolana i prawy staw skokowy. Gdy myślałem, że to już wszystko, jeden z nich sięgnął po pilę i wyciął krocze Thendera.

– Nic się nie zmarnuje. – Usłyszałem głos Redharda i poczułem zapach odpalanego papierosa. Ósmego, odkąd weszliśmy na dach wieżowca.

Ripperzy zapakowali zdobycze do plastikowych worków i wrzucili je do plecaków. Po krótkiej wymianie zdań grupa opuściła halę, pozostawiając w niej okaleczone ciało.

– Śledzisz ich, Viki? – zapytałem, widząc na soczewce, jak czerwone punkty rozchodzą się w różnych kierunkach.

– Tak. Za każdym z nich leci dron. Już nam nie uciekną.

– Dobrze – odpowiedziałem, kierując się do pojazdu zaparkowanego na dachu wieżowca.

Teraz pozostawało czekać, aż Urk doprowadzi nas do swojej nory.

XI

Czułem się, jakbym wrócił do armii. Siedziałem przy jednej ze ścian transportowca, na moich kolanach leżał karabin, a kombinezon bojowy przyjemnie opinał ciało. Nawet w powietrzu wyczuwałem znajomą mieszankę adrenaliny, napięcia i pełnego determinacji skupienia, dającą lepszego kopa niż wszystkie znane mi narkotyki. Choć w przedziale transportowym cisnęło się trzynastu ludzi – dziesięciu członków zespołu szturmowego, Redhard, Viki i ja – to słychać było tylko szum silników. Nikt się nie odzywał. Niektórzy siedzieli z głowami wspartymi o burtę i przymkniętymi powiekami. Inni wpatrywali się w jakiś odległy punkt znajdujący się na zewnątrz pojazdu i zapewne krążyli myślami daleko stąd. Operator naprzeciwko mnie bezwiednie gładził karabin leżący na jego kolanach. Gdy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się do mnie i puścił oczko. Odpowiedziałem uśmiechem i skinieniem głowy.

Znałem te obrazy i uczucia, ale nie znałem lecących ze mną ludzi. Jako opiekun nigdy z nimi nie współpracowałem. Czasami widywałem ich w siłowni albo na stołówce, ale wtedy wymienialiśmy się jedynie skinieniami głowy albo krótkim „cześć”. Moja przeszłość nie była dla nich tajemnicą, więc traktowali mnie jak swojego, ale też z pewną dozą rezerwy. Jak kuzyna, z którym się wychowałeś i niejedno razem zbroiliście, ale później straciłeś go z oczu na całe lata. Niby wiesz, kim kiedyś był, ale nie wiesz, kim się stał i czy wciąż możesz mu ufać. Nie dziwiłem się im i nie miałem o to pretensji. Sam czułem podobnie. Teraz musiało mi wystarczyć, że Redhard im ufał. To byli jego ludzie. Niektórzy z nich służyli pod jego rozkazami w wojsku, innych sprawdził w misjach wykonywanych dla Vertas. To oni mieli wziąć na siebie cały ciężar bycia na szpicy, a ja nie miałem wyboru i musiałem na nich polegać.

Moje wątpliwości budził tylko jeden z nich, którego wypatrzyłem w rogu transportowca. Młody chłopak z trudem panował nad nerwami. Co jakiś czas wodził oczami po kabinie i próbował naśladować kolegów. Na chwilę przymykał oczy, tylko po to, żeby po kilku sekundach je otworzyć i utkwić spojrzenie w punkcie przed sobą. Gdy najwyraźniej żadna z tych metod nie pomogła mu zapanować nad nerwami, spróbował gładzenia broni.

Siedzący naprzeciwko mnie operator podążył za moim wzrokiem, po czym się uśmiechnął. Z pytającym wyrazem twarzy podniosłem palec wskazujący lewej dłoni. Skinął głową na potwierdzenie. Pierwsza misja. Tak, młodego zdecydowanie lepiej będzie mieć przed sobą niż za plecami.

Na szczęście dla mnie jedyną osobą, którą miałem mieć za plecami, była Viki. Na tym polegało moje główne zadanie w pierwszej fazie ataku – chronić jej tyłek. Nieszczerólnie podobało mi się zabieranie Viki na akcję, ale wymagał tego plan, a poza

tym nasz geniusz uparł się, że musi być tam osobiście, i nie mieliśmy szans zmienić jej decyzji. Viki dostała więc kombinezon, pistolet i kategoryczny zakaz rwania się do przodu.

Atmosfera gęstniała, w miarę jak zbliżaliśmy się do celu. Już nikt nie miał zamkniętych oczu. Na twarzach zebranych było widać pełną koncentrację. Podobało mi się to. Dodawało pewności, że ci ludzie znają się na swojej robocie, a trochę tej roboty nas czekało.

Dzięki dronom śledzącym wiedzieliśmy, że gang Urka trzyma się razem i okupuje najwyższe piętro wieżowca socjalnego. Dwadzieścia mieszkań, około dwudziestu siedmiu celów plus ewentualni członkowie rodzin. Tych ostatnich nie powinno być zbyt wielu, bo ludzie Urka zdawali się za młodzi na trwałe związki. Urk rekrutował ich głównie na ulicach Mikry, ale kilku informatorów doniosło, że ma też jakieś kontakty w sierocińcach, dzięki którym był w stanie pozyskiwać uzdolnione technologicznie dzieciaki. Zabierał je do Briz, dawał dach nad głową, poczucie bezpieczeństwa i rodzinę. W ten sposób tworzył całkowicie mu wiernych, fanatycznych żołnierzy. A teraz wszyscy będą musieli umrzeć.

– Minuta. – Usłyszeliśmy głos pilota i w kabinie zaświeciła się zielona lampka.

Redhard wypłynął z ust niezapalonego papierosa, podniósł leżącą obok uda czarną osłonę balistyczną twarzy i przyłożył ją do głowy. Pozostali poszli za jego przykładem, ja również. Osłona zakryła całą twarz i przyssała się z sykiem do pozostałej części hełmu. Usłyszałem swój oddech i cichy szum wentylatorów podających powietrze. W prawym górnym rogu osłony wyświetliły się parametry mojego kombinezonu i informacje, że funkcje bojowe zostały aktywowane.

Poczułem, że wytracamy prędkość i schodzimy do lądowania. Po chwili transportowiec zawisł w miejscu, opuszczając tylną rampę. Zespół szturmowy błyskawicznie znalazł się na dachu wieżowca i zabezpieczył teren. Wybiegłem za nimi, czując się, jak gdybym przechodził przez portal do innego wymiaru. Znowu byłem w swoim dawnym świecie.

* * *

Na dachu nie było nikogo oprócz nas. Nocną ciszę zakłócały tylko poddmuchy wiatru i przytłumione odgłosy ulicy. Transportowiec odleciał, a my ruszyliśmy w stronę wejścia do wieżowca i ustawiliśmy się przy ścianie. Pierwszy z operatorów upewnił się, czy drzwi nie są zabezpieczone alarmem albo inną niespodzianką, i powoli nacisnął na klamkę. Musiały być zamknięte, bo dał znak pozostałym i stanął po drugiej stronie wejścia. Jego miejsce zajął na oko dwa razy większy breacher mający na sobie egzozskielet i wbił łom między drzwi a framugę. Mechaniczne mięśnie napięły się z chrzęstem i wyłamane drzwi odskoczyły z tęym stukiem.

Klatka schodowa była pusta i słabo oświetlona. Zeszliśmy cicho po stopniach i zatrzymaliśmy się przy pancernych drzwiach zabezpieczonych skanerem tęczówki.

– Co za skansen – prychnęła Viki. – Mogę to złamać w trzydzieści sekund.

– Nic nie rób – odpowiedziałem i na wszelki wypadek przytrzymałem ją przy ścianie. – Chłopaki sobie poradzą.

Na potwierdzenie moich słów jeden z członków oddziału odpiął od kamizelki nakładkę hakującą i nałożył ją na skaner. Urządzenie zawierało obraz tęczęwki oka należącego do człowieka Urka, który stracił z nim kontakt kilka godzin wcześniej w nagłych i gwałtownych okolicznościach. Drzwi kliknęły i uchyliły się.

– Kamuflaż – padł rozkaz dowódcy grupy szturmowej.

Aktywowałem tryb kamuflujący i patrzyłem, jak staję się przezroczysty. Kombinezony bojowe i broń pokrywały włókna z nanocząsteczek mogących dowolnie zmieniać kolor, a na całej powierzchni kombinezonu znajdowały się w regularnych odstępach mikroskopijne kamery i światłomierze. Informacje zbierane przez urządzenia z przodu kombinezonu wykorzystywano do programowania cząsteczek pokrywających tył i na odwrót. W efekcie pozostający w bezruchu operator był praktycznie niewidoczny, a gdy się poruszał, przypominał szklaną figurę. Rozejrzałem się po miejscach, gdzie jeszcze przed chwilą widziałem członków oddziału, i nie dostrzegłem nikogo. Aktywowałem tryb detekcji i na wyświetlaczu osłony pojawiły się zielone obrysowania ich sylwetek.

– Ruszamy – zakomenderował dowódca.

Drzwi otworzyły się szerzej i nasz oddział duchów wkroczył na stumetrowy korytarz wyłożony zużytą wykładziną, o trudnym do ustalenia kolorze. Większość lamp, umieszczonych na suficie w regularnych odstępach, nie działała, więc odcinki przejścia tonęły w ciemnościach. Po obu stronach korytarza znajdowały się wzmocnione drzwi prowadzące do mieszkań, zza których dobiegały ledwie słyszalne odgłosy. Ściany pomiędzy wejściami pokrywało graffiti mające tyle wspólnego z estetyką co zacieki po moczu.

Szliśmy powoli, unikając walających się wokół śmieci i puszek. Dywan tłumiał kroki. Na mijanych drzwiach widziałem krążki min kumulacyjnych, przyklejone przez idących przodem operatorów. W normalnych okolicznościach czyścilibyśmy wszystkie mieszkania po drodze, nie zostawiając żadnego przeciwnika za plecami. Tym razem nie mogliśmy sobie pozwolić na taki luksus. Mieszkanie Urka znajdowało się na końcu korytarza i zdecydowanie lepiej było tam dotrzeć bez ogłaszania przedwcześnie naszej obecności. Przeciwnik za plecami nie martwił mnie szczególnie. Gdy któryś z lokatorów spróbuje otworzyć drzwi, mała niespodzianka wyposaży go w dodatkowy otwór wentylacyjny.

– Ruch po prawej! – W słuchawce rozbrzmiało ostrzeżenie rzucone przez operatora idącego na przedzie.

Przykucnęliśmy i zamarliśmy, wstrzymując oddechy. Trzy metry od nas otworzyły się drzwi i z mieszkania wyszedł wysoki chudzielec z różowym irokezem na głowie obejmujący brunetkę w różowej mini i staniku w tym samym kolorze. Chłopak oparł się o ścianę, a dziewczyna przywarła do niego, stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Usłyszałem odgłos wytłumionych strzałów. Para upadła na wykładzinę, a wokół ich głów zaczęła rosnąć plama krwi.

– Trochę ich szkoda – skomentowała Viki.

– Każda miłość kiedyś się kończy – odpowiedziałem, sam nie wiedząc, skąd do głowy przyszły mi takie słowa.

Dwóch operatorów idących na czele grupy wkroczyło do otwartego mieszkania, a reszta oddziału ruszyła dalej. Przestąpiłem nad ciałami zabitych i po chwili w słuchawce usłyszałem odgłosy kolejnych strzałów.

– Czysto. Cele zlikwidowane – zameldowała dwójka wychodząca z mieszkania.

Pozostałą część korytarza pokonaliśmy bez dodatkowych przeszkód. Oddział ustawił się przy drzwiach do nory Urka. Trzej operatorzy w egzozkioletach ściągnęli z pleców tarcze balistyczne i rozstawili je na podłodze, tworząc między nami a pozostałą częścią korytarza kuloodporny mur wysoki na prawie dwa metry. W otworach strzelniczych umieścili karabiny maszynowe i zameldowali gotowość.

Operator stojący najbliżej drzwi nacisnął kłamkę, po czym klęknął i umieścił na zamku nakładkę hakującą. Po kilkudziesięciu sekundach usłyszeliśmy kliknięcie odblokowanego mechanizmu. Nim zdążyliśmy wejść do środka, drzwi otworzyły się na całą szerokość i zobaczyliśmy w nich drobną brunetkę w samych majtkach. Każdy skrawek jej odsłoniętego ciała, oprócz twarzy, pokrywały tatuaże.

– Co wy tu, kurwa, kombinujecie? – wymamrotała, zanim jej oczy rozszerzyły się, a z twarzy wyparowała cała senność.

Nie zdołała zrobić nic więcej. Stojący przy drzwiach operator uderzył ją pięścią w głowę. Kobieta zwiotczała i nieprzytomna padła na ziemię. Właliśmy się do środka. Drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się i w progu zobaczyliśmy nagiego Urka z pistoletem w ręku. Wyglądał jak wściekły rezultat eksperymentów genetycznych. Chyba tylko mięśnie twarzy pozostawały w normie. Sztucznym okiem musiał rejestrować podcierwień, bo bezbłędnie wycelował broń w jednego z naszych. Rozległy się strzały i Urka opłotła iskrząca się pajęczyna. Ryknął i runął na ziemię w konwulsjach. Z ust toczył pianę, a spod protezy na twarzy zaczął wydobywać się dym.

– Niech się nam trochę podpiecze – zarządził Redhard.

Operator kontrolujący sieć odczekał kilkadziesiąt sekund i dopiero wtedy odciął zasilanie.

Hałas zaalarmował pozostałych mieszkańców piętra, bo do naszych uszu doleciały odgłosy wybuchów. Najpierw pojedynczy, a zaraz później cała seria, do której dołączyły strzały wytłumionej broni automatycznej. Trwało to nie dłużej niż dziesięć sekund. Po tym czasie osłaniająca nas trójka odstawiła tarcze na bok i ruszyła wzdłuż korytarza. W słuchawkach od czasu do czasu słyszeliśmy ciche jęki, które milkły wraz z kolejnymi strzałami.

* * *

Urk ocknął się przykuty do fotela i sparaliżowany od szyi w dół. Na karku i plecach krzepła mu strużka krwi wypływająca zza prawego ucha. Viki wykorzystała brak przytomności mutantu i podmieniła jego port informacyjny na zmodyfikowaną przez

siebie wersję. Nieszczególnie przejmowała się przy tym komfortem pacjenta, który musiał odczuwać tego skutki, bo gdy tylko próbował się wyprostować, twarz wykrzywił mu grymas bólu i głowa ponownie opadała na pierś. Wreszcie po kilku próbach udało mu się rozejrzeć wokół nic nierozumiejącym wzrokiem. Daliśmy mu czas, żeby doszedł do siebie. To, czego doświadczy, miało zostać z nim na zawsze. Szkoda by było, gdyby coś umknęło jego uwadze.

Razem ze mną w pokoju byli Redhard, Viki, dowódca operatorów Skart i trzech jego ludzi. Reszta zabezpieczała piętro lub przyglądała się wschodowi słońca z dachu wieżowca, najwyraźniej nie mając ochoty uczestniczyć w ostatniej części zadania. Nie dziwiłem się temu – niektórych obrazów lepiej nie umieszczać w pamięci.

Nikt się nie odzywał. Redhard ze szturmowcami siedzieli przy stole ustawionym kilka kroków za plecami Urka i gapili się w telewizor, popijając kawę. Viki grzebała przy znalezionych w mieszkaniu egzoszkieletach, a ja stałem oparty o ścianę i patrzyłem, jak zabójca Lisy wraca do świata żywych.

Od dnia pogrzebu wyobrażałem sobie ten moment wielokrotnie i wydawało mi się, że będą mu towarzyszyć silne emocje. Tymczasem jednak nie czułem radości, gniewu ani żalu. Mimo satysfakcji z dopadnięcia Urka wiedziałem też, że pustki po stracie nie wypełnię zemstą. Mordercę czekało cierpienie, które nie zmieni najważniejszego – nie przywróci mi Lisy. W ostatecznym rozrachunku nie robiłem tego dla własnego lepszego samopoczucia, a dlatego, że ukaranie winnych było moim obowiązkiem. Lisy zasługiwała na sprawiedliwość jak nikt inny w tym popierdolonym mieście. Była najbliższą mi osobą w całym dorosłym życiu. Gdy jej ciało znikło w krematoryjnym piecu, poczułem ból straty, jakiego nie doświadczyłem nawet po śmierci ojca. Cierpiałem, ale wydawało mi się to właściwe. Ból oznaczał, że nadal potrafiłem czuć, potrafiłem kochać. A później wszystkie emocje nagle osłabły. Były we mnie, znaczyły każdy dzień, ale nie rwały duszy na strzępy. Zastanawiałem się, dlaczego tak jest. I czy cierpienie wróci, gdy to wszystko się skończy.

– Jest gotowy. – Głos Viki przebił się do mojej świadomości. – Parametry potwierdzają, że odzyskał świadomość i reaguje emocjonalnie na to, co widzi.

Spojrzałem na zeszywniałego Urka, wpatrującego się w ustawioną przed nim piramidę z głów jego ludzi.

– Niech się napatrzy. Zablockuj go w tej pozycji. Powiekę też.

– Jasne. – Viki wcisnęła kilka klawiszy terminala. – Powinno być dobrze. Mózg pracuje normalnie.

– U tego pojeba? Normalnie? – rzucił Redhard, nie odwracając głowy od telewizora. – Viki, ja chyba nawet nie chcę znać twojej definicji normalności.

Odczekałem minutę i z czarnej skrzynki leżącej na stole wyjąłem strzykawkę z żółtawą cieczą. Redhard i reszta przestali oglądać telewizję i zaczęli mnie obserwować. Podszedłem do Urka, kopnięciem roztrąciłem głowy, które potoczyły się po podłodze, i ustawiłem przed nim dwa krzesła. Siadłem na jednym z nich i przyjrzałem się jego twarzy. Protezę ze zgasłym okiem otaczała obwódka oparzonego

ciała. Drugie, sprawne oko wpatrywało się we mnie z nienawiścią, a mięśnie twarzy drgały.

– Wiem, że chciałbyś coś powiedzieć, widzę to, ale ja nie chcę cię słuchać. Nic, co powiesz, nie ma już znaczenia i nie może niczego zmienić. – Oddech Urka przyspieszył, a twarz poczerwieniała. – Kilka dni temu zastrzeleliś najwspanialszą kobietę, jaka mieszkała w tym skurwiałym mieście. To była moja kobieta.

Wbiłem igłę strzykawki w żyłę na przedramieniu Urka. Była nienaturalnie gruba, jak większość jego widocznych naczyń krwionośnych, które w kilka sekund po zastrzyku nabrzały jeszcze bardziej i sprawiały wrażenie, jakby ciało mężczyzny oplatały powrozy. Na jego czole pojawił się pot, oddech przyspieszył, a gałka oczna skierowała się na strzykawkę.

– Chcesz wiedzieć, co to było? Nazywamy to serum wiecznej pamięci. Jest w nim kortyzol i kilka innych użytecznych świństw. Pewnie już czujesz, jak ogarnia cię lęk, a to dopiero początek. Wszystko, czego doświadczysz w nadchodzących chwilach, będziesz czuł mocniej i boleśniej niż kiedykolwiek w życiu. Wryje ci się w pamięć i zostanie z tobą na zawsze. Nie ma przed tym uciezki. Zadbaliśmy o to. – Rozparłem się na krześle i postawiłem nogę na jednej z głów. – Widzisz, Urk, podczas gdy ty nabierałeś sił, my podkreśliśmy twój port informacyjny. Ten, który masz teraz w sobie, to prawdziwy cud technologii, ale ma swoje ograniczenia. Podstawowe jest takie, że możemy się do niego podłączyć tylko my. W przeciwnym razie ładunek wbudowany w port wypali ci mózg i rozsądzi głowę. – Twarz Urka stężała. – Nie, nie przejmuj się tym tak bardzo. Widzisz, zadbaliśmy też o to, żebyś nikomu na to nie pozwolił. Program kontrolny, w jaki cię wyposażyliśmy, sprawi, że prędzej zabijesz, niż dasz się podłączyć. Dodatkowo postaraliśmy się o to, żebyś nie był w stanie nikomu opowiedzieć o tym, co się tu zaraz wydarzy. Wszystko, czego doświadczysz, stanie się twoją tajemnicą, aż po kres twoich dni, a te będą liczne. Oprogramowanie zadba o to, żebyś żył jak najdłużej. Zmusi cię do snu i jedzenia, nie pozwoli ci się zabić. Nie dasz się rozjechać, nie powieszysz się ani nie strzelisz sobie w głowę. Nie obawiaj się, że zapomnisz o tych zasadach albo o czymkolwiek, co dzisiaj zobaczysz i poczujesz. Technologiczne arcydzieło, jakie masz w sobie, przypomni ci o tym każdej nocy. Będziesz się budzić, mając wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się przed chwilą. Viki? – zwróciłem się do dziewczyny, nie odrywając spojrzenia od Urka.

– Jest gotowy – odpowiedziała.

– Sprawdźmy. – Uderzeniem wbiłem igłę w udo mężczyzny, aż po strzykawkę. Jego oko wywinęło się do góry, twarz spąsowiała, a napęczniałe żyły o mało nie rozerwały skóry.

– Wygląda na to, że serum działa – powiedziałem, gdy Urk doszedł do siebie. – Czas więc przejść do rzeczy. Trzy dni temu zadecydowałeś o śmierci mojej partnerki, za chwilę staniesz przed podobną decyzją.

Dałem znak. Dwóch operatorów wstało od stołu, weszło do sąsiedniego pokoju i przyprowadziło stamtąd zakneblowaną kobietę i kilkumiesięcznego chłopca. Podniosłem się z krzesła, robiąc miejsce dla kobiety, a na drugim krześle położyłem

dziecko. Oboje mieli na głowach stalowe opaski z wyświetlaczami, przypominające zegarek z metalową bransoletą. Na ich widok Urk drgnął i spiął się cały.

– Nie pierwszy raz widzisz koronę – powiedziałem, stukając palcem w obręcz na głowie kobiety. – Tym lepiej. Viki...

Wiedziała, czego od niej oczekuję. Pochyliła się nad terminalem i kręcąca się niespokojnie kobieta znieruchomiała. Wyciągnąłem z jej ust knebel. Próbowwała coś powiedzieć, ale ze sparaliżowanych ust wydobył się tylko bełkot.

Nacisnąłem przyciski na opaskach i na wyświetlaczach pojawiły się czerwone cyfry zegara gotowego odliczyć trzy minuty.

– Korony będą się kurczyć co piętnaście sekund. Nie muszę ci chyba mówić, co się stanie, gdy odliczanie dobiegnie końca. – Stałem za Urkiem i nachyliłem się do jego ucha. – Jedno z nich umrze, a ty zdecydujesz które.

Chwyliłem za palce prawej dłoni Urka, odgiąłem je do góry i wsunąłem mu do ręki prostokątny kontroler z dwoma przyciskami tak, by mógł je zobaczyć.

– Czerwony: ona, zielony: on, żaden... zginą oboje. Trudny wybór, ale przecież potrafisz decydować o życiu i śmierci. Viki, odblokuj mu dłoń. Czas... start.

Ręka Urka drgnęła, a zegary zaczęły odliczać trzy minuty. Co piętnaście sekund korona kurczyła się nieznacznie, a na wyświetlaczu pojawiał się kolejny prostokąt wskazujący siłę nacisku. Pomimo założonych blokad mężczyzna wbił palce w poręcz fotela, aż zatrzęszczała. Pot zalewał mu oczy i spływał po karku. Po minucie kobieta zaczęła pojękiwać. Urk targnął fotelem, zacharczał. Trzydzieści sekund. Kobieta odwróciła głowę w stronę płaczącego dziecka, po jej policzkach spłynęły łzy. Rozpaczliwie kręciła głową. Kolejne piętnaście sekund. Przymknęła powieki i jęknęła przeciągle. Urk charczał już bez przerwy, tocząc pianę z ust. Pozostała minuta. Jęk kobiety przerodził się w krzyk, a po czole spłynęły strużki krwi. Urk trząsł się cały. Jego napęczniałe żyły pulsowały, a skóra stała się czerwona. Czterdzieści pięć sekund. Kobieta rzuciła się na krzesło, jej oczy zdawały się wychodzić z orbit. Po twarzy Urka spłynęły łzy. Trzydzieści sekund. Przełamała barierę, wychyliła się w przód i z twarzą mokrą od krwi i łez pomiędzy jęknięciami powiedziała jedno słowo: on. Piętnaście sekund. Urk nacisnął zielony przycisk.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie, a jej głowa rozpadła się na dziesiątki kawałków, obryzgując wszystko dookoła krwią i fragmentami mózgu. Bezwładne ciało zsunęło się z krzesła na podłogę i zadygotało w konwulsjach. W pokoju słychać było płacz dziecka i przebijający się przez niego ciężki oddech mężczyzny. Urk spojrzął na swoją dłoń. Palec wskazujący nadal wciskał zielony przycisk. Mężczyzna przeniósł wzrok na płaczące dziecko, żyjące wbrew jego decyzji.

Obszedłem Urka i pochyliłem się w jego stronę. Nasze oczy się spotkały. Dyszał, a w jego rozszerzonych źrenicach widziałem krzyk, cierpienie i bezgraniczną nienawiść. Wszystko to, co chciałem ujrzeć.

– Zabiłeś ją i nigdy o tym nie zapomnisz.

Odwrociłem się do płaczącego i zbryzganego krwią dziecka. Zdjąłem mu z głowy koronę, wziąłem je na ręce i wyszedłem na korytarz. Stałem przy ścianie, obok drzwi

i odetchnąłem. Po kilku sekundach dołączyła do mnie Viki.

– Wszystko się udało. Rekord się utrwalił. Jak się czujesz? – zapytała.

– Tak sobie. Nie przepadam za torturowaniem.

– Pamiętaj, że ją przeskanowałam i to był kawał suki.

– Pamiętam. Możesz coś z tym zrobić? – Rzuciłem Viki wciąż płaczące dziecko.

– Jasne. – Viki złapała je w locie, wyciągnęła mu oko i wcisnęła znajdujący się za nim przycisk zasilania. Dziecko w jednej chwili zamilkło i zeszywniało. – Wyłączony. – Rzuciła dziecko na podłogę.

– Oni mieli w ogóle dziecko? – zapytałem.

– Mieli. Zmarło. Nie pytaj jak.

– Nie będę – odpowiedziałem i ruszyłem korytarzem w kierunku lądowiska.

XII

LISY ROKER

Litery wyświetlone na ekranie krematoryjnego terminala rozpadły się w złoty pył, a w ich miejscu ukazała się twarz anioła o niebieskich oczach. Obok pojawiła się krótka notatka na temat Lisy z jej zdjęciem w lekarskim kitlu, zrobionym przed rokiem, gdy została awansowana na szefową laboratorium. Pamiętałem, jak roznosiła ją wtedy duma, od czasu do czasu doprawiana szczyptą obawy, czy podoła nowym wyzwaniom. Ze zdjęcia nie dało się tego wyczytać. Stała wyprostowana, uśmiechnięta i z błyskiem w oku. Od jej śmierci minęły trzy tygodnie i to był pierwszy raz, gdy patrzyłem na jej twarz. Nie wiem, skąd krematorium miało to zdjęcie, ale w jakiś sposób odnajdowałem w nim wszystko to, co w niej kochałem. Poczułem, jak coś chwytą mnie za gardło i mocno ściska. Dotknąłem terminala i powiększyłem obraz tak, że oczy, ozdobione niebieskimi diamentami, wypełniły całą szerokość ekranu. Powiodłem palcem po idealnych krawędziach kamieni, żałując, że nie mogę ich naprawdę dotknąć. Lisy zakłęta w diament – spodobała mi się ta myśl, pasowała do niej.

Stuknąłem w ekran i oczy zniknęły zastąpione wygaszaczem z logo krematorium na szmaragdowym tle. Oparłem dłonie o chromowaną balustradę galerii i spojrzałem w dół na setki ludzi przychodzących pod ścianę pamięci. Wyławiałem z tłumu jednostki stojące w zamyśleniu przed ekranami terminali lub wpatrujące się w ścianę przed sobą. Ci ludzie zjawili się tu z tego samego powodu co ja. Przyszli w poszukiwaniu okrucichów przeszłości, życia, które skończyło się wraz z odejściem ich bliskich.

W jednej chwili aura tego miejsca przygniotła mnie i poczułem, że muszę się stąd wydostać, bo w przeciwnym razie zatonę w odmętach wspomnień. Ruszyłem galerię ku wyjściu i zatrzymałem się dopiero na tarasie widokowym w ogrodzie, skąd można było podziwiać panoramę odległego Steris. Szare słupy wieżowców tonęły w chmurach, smogu i pyłe, sprawiając, że miasto przypominało mroczny miraż. Chłód porannego powietrza i zapach kwiatów stopniowo przepędziły mroczne myśli. Przetarłem twarz i zszedłem schodami na lądowisko otoczone drzewkami o smukłych pniach i rozłożystych koronach, pokrytych ciemnozielonymi liśćmi. Stanąłem na betonowej płycie, przymknąłem oczy i skierowałem twarz do słońca przebijającego się przez rzędną zasłonę chmur. Promienie przyjemnie ogrzewały skórę i napełniały ciało energią. Żyję – pomyślałem i ta myśl, stwierdzenie oczywistego faktu, wydała mi się dziwnie odkrywczą. Może dlatego, że w ostatnim czasie moja jałowa egzystencja niewiele miała wspólnego z prawdziwym życiem.

Stałem z zamkniętymi oczami, dopóki nie usłyszałem nad głową szumu taksówki. Żółty pojazd ozdobiony czarnymi akcentami opadł łagodnie na płytę i zapraszająco uniósł drzwi.

– Dokąd pana zabrać? – zapytał komputerowo generowany kobiecy głos, gdy tylko zaczęliśmy się wznosić na wysokość przelotową.

– Mi...

Jeszcze sekundę wcześniej miałem zamiar lecieć do swojej nory w Mikrze, gdzie w samotności spędziłem ostatnie tygodnie, ale teraz poczułem, że nie chcę tam wracać. Spojrzałem na połyskujący dach krematorium pod sobą, postukałem palcami w miękkie obszycie podłokietnika i przeniósłem wzrok na majaczącą w oddali szarość miasta.

– Wieżowiec Steris Heaven, poziom dachowy – zdecydowałem.

– Adres potwierdzony. Czas podróży: siedemnaście minut. Proszę się zrelaksować i rozkoszować widokami – odpowiedziała taksówka, po czym płynnie przechyliła się w lewo i pomknęła nad miastem w kierunku centrum.

* * *

Stałem na dachu wpatrzony w szklane drzwi znajdujące się kilkanaście kroków ode mnie. Wystarczyło przez nie przejść i pokonać dwie kondygnacje schodów, by znaleźć się w mieszkaniu, w którym nie byłem od czasu, gdy policja zabrała mnie na posterunek. W ciągu ostatnich dni nabrałem przekonania, że już poukładałem sobie wszystko w głowie, ale teraz miałem wrażenie, że ta pewność uleciała wraz z oddalającą się taksówką. Część mnie chciała stąd uciec, ale wiedziałem, że nie mogę sobie na to pozwolić. Kiedyś musiałem zmierzyć się z rzeczywistością, więc dlaczego nie tu i teraz. Wziąłem głęboki wdech i ruszyłem ku wejściu.

Kamera dostępowa rozpoznała moją twarz i szklane skrzydła rozsunęły się zapraszająco. Schodziłem po schodach, z każdym krokiem pokonując wewnętrzny opór i chęć zawrócenia, aż w końcu stanąłem przed białymi drzwiami prowadzącymi do mieszkania. Uniosłem rękę i zastygłem w tej pozycji na kilka sekund. Nowa fala strachu przed tym, co zastanę w środku, rozlała się po całym ciele, paraliżując mnie.

– Pieprzyć to! – powiedziałem na głos, przelamując blokadę, wziąłem głęboki wdech i nacisnąłem klamkę.

Drzwi nie ustąpiły. Cofnąłem się o krok. Nie wiem, dlaczego oczekiwałem, że będą otwarte, ale potrzebowałem chwili, żeby otrząsnąć się z zaskoczenia i przeprosować ten fakt. W głowie wykielkowała kolejna myśl. Skoro drzwi były zamknięte, to może...

– Mira... – spróbowałem wywołać połączenie ze sztuczną inteligencją, ale odpowiedziała mi tylko głucha cisza. Na wyświetlaczu interfejsu pojawił się komunikat dostawcy SI z informacją o nieodwracalnym uszkodzeniu zasobów osobowościowych Miry i zniżką na zakup nowej kopii. Skasowałem komunikat i przesunąłem się do zamka genetycznego, ale zanim z niego skorzystałem, usłyszałem odgłos kroków

dobiegający z klatki schodowej. Odwróciłem się plecami do drzwi, wsunąłem dłoń pod kurtkę i złapałem za chwyt pistoletu ukrytego z tyłu, w kaburze za paskiem.

Po kilku sekundach na korytarzu pojawiły się cztery osoby. Dwie młode kobiety o azjatyckiej urodzie, rudawy chłopak w podobnym do nich wieku i śniady mężczyzna około czterdziestki. Młodzi ubrani byli w kolorowe, wyzywające i bardzo skąpe ubrania. Przypominali mi ludzi Urka, ale w równym stopniu pasowali do większości współczesnej młodzieży. Krzykliwość ubioru towarzyszącego im mężczyzny ustępowała zapewne jedynie majątkowi, jaki został na niego przeznaczony. Pomarańczowy garnitur pokrywał mieniący się kolorami tęczy wzór, a rozpięta niemal do pasa, granatowa koszula ukazywała liczne pętle złotych łańcuchów poprzytykane gęstym owłosieniem. Równie bogato prezentowały się przedramiona, gdzie poniżej podwiniętych rękawów połyskiwała kolekcja złotych bransolet. Mężczyzna wyswobodził się z objęć towarzyszy i ruszył w moją stronę z wyciągniętą dłonią.

– O! Wreszcie mam szansę poznać sąsiada!

Puściłem rękojeść pistoletu i uściśnąłem podaną dłoń, cały czas gotowy na odparcie ataku.

– Już myślałem, że tu nikt nie mieszka. – Mężczyzna energicznie potrząsał moją ręką, jakby chciał ją oderwać.

– Byłem na długich wakacjach – odpowiedziałem, uwalniając dłoń. – Kim pan jest?

– Przepraszam, gdzie moje maniery. – Mężczyzna dotknął dłońmi piersi w teatralnym geście i skłonił głowę. – Jestem Gheri Klamant, mieszkam pod panem. Wprowadziłem się parę tygodni temu.

– Bankier? – zapytałem.

– Ależ skąd! – Gheri roześmiał się, rozchylił marynarkę i obrócił się wokół własnej osi. – Czy ja wyglądam na bankiera?

– Pozory mogą mylić – odparłem z wymuszonym uśmiechem – ale rzeczywiście nie byłby pan typowym przedstawicielem tej profesji.

– Zdecydowanie! Skoro już pan zapytał, to przyznam się, z niejaką dumą, że jestem reżyserem realizującym się artystycznie w specjalistycznej branży rozrywkowej. – Gheri uśmiechnął się i puścił mi oczko. – Erotycznej – dodał po chwili, nie doczekawszy się reakcji z mojej strony.

– Interesujące. A to pana ekipa filmowa? – Wskazałem głową na pozostałą trójkę.

– Ależ skąd! – Mój rozmówca obejrzał się za siebie, po czym ponownie przeniósł wzrok na mnie. – To aspirujący aktorzy. Będę z nimi przeprowadzał casting. Może chcesz dołączyć? Dodatkowa opinia zawsze się przyda.

– Myślę, że tym razem nie skorzystam.

– Szkoda, ale nic straconego. Możesz mi wierzyć, że okazji nie zabraknie. Potraktuj to jako stałe zaproszenie.

– Dziękuję, będę pamiętał.

– Ależ nie ma za co. – Gheri wrócił do swoich towarzyszy i objął w tali chłopaka i jedną z dziewczyn. – A tak z ciekawości, dlaczego zapytałeś, czy jestem bankierem?

– Z troski. – Uśmiechnąłem się lekko. – Lokalny klimat szkodzi finansistom.

– Ciekawe, na to bym nie wpadł. – Gheri przechylił głowę i zmarszczył czoło, najwyraźniej próbując zrozumieć, co mogłem mieć na myśli. – Tak czy inaczej, gdybyś... – zrobił znaczącą pauzę i wskazał na mnie dłonią.

– Arth.

– O! Zatem, gdybyś zmienił zdanie, Arth, to zapraszam do mnie, a tymczasem nie będziemy ci już przeszkadzać. Do zobaczenia!

Gheri klepięciami w pośladki popędził towarzyszącą mu trójkę w dół schodów. Po kilku sekundach głosy znikły za dźwiękoszczelnymi drzwiami.

– Kurwa... – rzuciłem w pustkę i z niedowierzaniem pokręciłem głowę. Takiego sąsiedztwa się nie spodziewałem, ale ze zdziwieniem musiałem przyznać, że Gheri Klamant wzbudził moją sympatię.

Odwrociłem się i przyłożyłem palec do zamka genetycznego, który tym razem nie kaprysił i już przy pierwszej próbie potwierdził moją tożsamość. Otworzyłem odblokowane drzwi, wszedłem na pograżony w mroku korytarz i przystanęłem za progiem, nasłuchując. W otaczającej mnie ciszy słyszałem bicie własnego serca i nic więcej.

Systemy zarządzające klimatem musiały być sprawne, bo w powietrzu nie wyczuwałem zaduchu typowego dla opuszczonych mieszkań. Wywołałem interfejs kontrolny i wyłączyłem tryb alarmowy, który najwyraźniej pozostał aktywny od czasu napaści. Ze wszystkich pomieszczeń dobiegły odgłosy unoszących się rolet antywłamaniowych i mieszkanie wypełniło się światłem dnia. Arth, po jaką cholere nam rolety antywłamaniowe na trzysta dwudziestym piętrze? – Wspomnienie słów Lisy rozbrzmiało w mojej głowie. Musiałem przyznać, że taki pomysł mógł wydać się niedorzeczny, ale wystarczyło jedno nagranie z porwania dla okupu, żeby Lisy zmieniła zdanie. Widok pojazdu przebijającego się przez szybę apartamentu i uzbrojonych ludzi uprowadzających szarpiącą się nastolatkę sprawił, że już tego samego popołudnia mieliśmy w mieszkaniu instalatorów.

Zamknąłem za sobą drzwi i wszedłem do studia. Mój wzrok spoczął na kubku stojącym na kuchennym blacie. Podeszedłem do niego i wziąłem naczynie do rąk. Odcisk ust Lisy był równie wyraźny jak wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni. Żadna z bruzd utrwalonych w czerwonej szmince nie straciła swej wyrazistości. Wspomnienie smaku Lisy pojawiło się nagle i sparaliżowało mnie. Nie wiem jak długo stałem wpatrzony w ślad jej ust, nim wreszcie zdołałem się poruszyć. Pod wpływem impulsu otworzyłem zmywarke i włożyłem kubek do środka, tylko po to, żeby wyjąć go po chwili i odstawić na blat.

Odwrociłem się i rozejrzałem po studiu. Tu również nic się nie zmieniło od dnia śmierci Lisy. Krzesło nadal leżało na podłodze, rekorder zwisał na kablu, a monitory pokrywała siatka pęknięć. Podeszedłem do łóżka i podniosłem z podłogi rozrzucone rzeczy Lisy. Biała koszula wciąż pachniała jej perfumami. Z ubraniami w ręce wróciłem na korytarz i spojrzałem na drzwi łazienki. Na ich widok ścisnęło mi żołądek. Wiedziałem, co tam zastanę, i musiałem się z tym zmierzyć.

Kawa nie smakowała już tak dobrze jak dawniej. Ten sam ekspres, ten sam program, ta sama woda i te same ziarna. Brakowało tylko Miry, która czuwałaby nad procesem parzenia, i właśnie jej nieobecność sprawiała, że musiałem dopisać niepowtarzalny smak porannej kawy do listy rzeczy bezpowrotnie utraconych.

Stałem z kubkiem w ręce i patrzyłem na panoramę miasta. Nie potrafiłem stwierdzić, czy brakowało mi tego widoku, ale teraz na nowo doceniałem jego walory. W ostatnim czasie zdążyłem przywyknąć do innych obrazów. Okna mojego mieszkania w Mikrze wychodziły wprost na wieżowiec socjalny i mogłem przez nie podziwiać jedynie sąsiadów pochłoniętych przez projekcję NeuroLife – substytut rzeczywistego świata. Dawniej im współczułem, ale przez ostatnie tygodnie wiele się zmieniło. Bez względu na to, jak wirtualny był ich świat, oni w nim naprawdę żyli i do czegoś dążyli, podczas gdy ja jedynie egzystowałem, tonąc we wspomnieniach.

Dźwięk dzwonka wypełnił mieszkanie. Przywołałem na soczewkę obraz z kamery przy drzwiach dachowych i zobaczyłem Viki. Wpuściłem ją do budynku, otworzyłem drzwi i stanąłem w progu.

– Cześć, Arth! – Viki przywitała mnie z promiennym uśmiechem. – Nawet nie wiesz, jak dobrze cię widzieć!

Nic się nie zmieniała, ewentualnie młodniała w tych swoich trampkach, kolorowych T-shirtach i jeansach. Jedynym odstępstwem od standardowego stroju była skórzana kurtka ze sztywnym, podświetlanym kołnierzem. Jakiś nowy gadżet obecny ostatnio na billboardach w całym mieście.

– Ciebie też. – Przytuliłem ją i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo brakowało mi bliskości drugiej osoby.

– Widzę, że ktoś tu naprawdę się stęsknił – skomentowała.

– Może trochę. – Uśmiechnąłem się, puściłem Viki i przesunąłem się w bok. – Wchodź.

– Zarosłeś – rzuciła Viki, gdy tylko znalazła się w środku. – W życiu bym cię nie poznała na ulicy.

– Ciekawe, co robiłabyś na ulicy. – Poglądziłem się po brodzie i doszedłem do wniosku, że najwyższy czas ją zgolić. – Dzięki, że wpadłaś.

– No co ty, nie ma o czym mówić.

– Chodź, nie będziemy tu tak stali. – Poprowadziłem ją do studia i wskazałem na kanapę.

– Usiądź i rozgość się. Zrobić ci kawę?

– Nie, dziękuję. Przyniosłam moją magiczną miksturę, dla ciebie też mam. – Wsunęła dłonie do kieszeni kurtki i wyciągnęła dwie puszkę napoju energetycznego. – Masz ochotę?

– Zemu nie. – Przyjąłem energetyk i usiadłem obok.

– Nic się tu nie zmieniło. – Viki otworzyła puszkę i rozejrzała się po mieszkaniu.

– Tak, prawie nic...

– Arth, przepraszam, chciałam tylko powiedzieć... – Viki zmieszała się, a ja poczułem się jak idiota.

– Wiem, wiem, co chciałaś powiedzieć. Nie przejmuj się. Mów lepiej: co u ciebie? – Przekręciłem się na kanapie tak, by siedzieć frontem do przyjaciółki. – Byłaś z Rek na randce?

– Może... – Viki uśmiechnęła się tajemniczo.

– No nie gadaj! – Prawie krzyknąłem zaskoczony.

– Nie ekscytuj się tak. To była tylko jedna randka i do niczego nie doszło.

– Na razie – odpowiedziałem.

– Nie wiem. – Viki wzruszyła ramionami. – Zobaczymy. Było miło, ale nie śpieszy mi się.

– A co Rek na to? Też jej się nie śpieszy?

– Taaa. Przecież ją znasz. Powiedziałabym, że śpieszy się jej za nas obie.

– Cała Rek – skomentowałem, kiwając głową. – A jak w firmie, działasz już dla drugiego kręgu?

– Tak i nie uwierzyłbyś, co teraz robię. Sama nie mogłam uwierzyć. – Błysk w jej oczach nie pozostawiał wątpliwości, że musiało to być coś wyjątkowego.

– No nieźle. – Pokręciłem głową z uśmiechem. – Wystarczyło, że wylogowałem się z życia na jakiś czas, i wszystko się pozmiało.

– Może trochę, ale szybko nadrobisz. – Viki machnęła ręką. – Właśnie, myślałeś już, kiedy wracasz?

– Jeszcze nie, ale pewnie niedługo, za coś trzeba żyć. – Upiłem łyk z puszki.

– A kasa z ubezpieczenia? Wiem, że sporo tego... – przerwała, widząc moje spojrzenie. – Przepraszam, nie moja sprawa.

– Nie o to chodzi. – Odstawiłem puszkę na stół i palcem zatoczyłem krąg po jej górnej krawędzi. – Po prostu nie wiem, co zrobić z tymi pieniędzmi. Nie potrafię ich wydawać.

– Rozumiem...

– No to przynajmniej ty rozumiesz, bo ja nie wiem, co jest ze mną nie tak. – Wstałem z kanapy i podszedłem do okna. – Odkąd pamiętam, ludzie wokół mnie umierali. Najpierw mój ojciec, później kumple i przyjaciele, ale jakoś sobie z tym radziłem, przechodziłem nad tym do porządku dziennego, a teraz nie mogę. Jestem byłym żołnierzem oddziałów likwidacyjnych. Przelałem więcej krwi, niż moje serce kiedykolwiek zdoła przepompować, a ostatnie tygodnie spędziłem, gapiąc się w sufit i użalając się nad sobą.

– I co cię w tym dziwi? – Viki podążyła za mną i stanęła obok. – Lisy była wyjątkowa. Nie znałam jej za dobrze, a też mi jej czasem brakuje. Tej świadomości, że istnieje. To normalne, że jest ci ciężko jak nigdy wcześniej. Trudno, żeby tak nie było, ale z każdym dniem będzie lepiej. Zresztą już jest, skoro tu wróciłeś.

– Może tak... – odpowiedziałem, chociaż nie do końca zgadzałem się z tą opinią. – Dobra, nieważne. Kiedyś mi przejdzie. – Przetarłem twarz dłońmi i klasnąłem, by zakończyć temat. – Pomożesz mi z jedną sprawą?

– Co za pytanie... czego potrzebujesz?
– Pozbądź się tego. – Odwróciłem się od okna i wskazałem na terminal Lisy.
– Jesteś pewien? – Viki podeszła do biurka, odstawiła puszkę na blat i wzięła do rąk rekorder. – To zajebicie drogi sprzęt i nie tak łatwo go dostać. Co mam z nim zrobić?
– Nie wiem, co chcesz. Ja go nie potrzebuję. Za dużo wspomnień.
– No dobra, ale to nie będzie szybka akcja. Trzeba go sprawdzić i wyczyścić, co się da. No i najpierw muszę się do niego włamać.
– Spróbuj z tym. – Podeszedłem do regału stojącego obok kanapy, wziąłem z półki czarny kieszonkowy notes i podałem go Viki. Przejrzała kilka stron.
– Hasła? – spytała z niedowierzaniem.
– Lisy trzymała ten notes w naszym wspólnym depozycie, tak na wszelki wypadek. Poza tym nawet ty nie potrafiłabyś zhakować papieru.
– W sumie, coś w tym jest. – Uderzyła notesem o dłoń. – To powinno pomóc, ale i tak trochę to zajmie.
– Rób, co trzeba, nie śpieszy mi się.
– Okej. – Viki ściągnęła kurtkę, zawiesiła ją na oparciu krzesła i usiadła przy biurku. – Zobaczmy, co tu mamy.

* * *

– O kurwa! To tak się da?!
Przestałem wrzucać rzeczy Lisy do plastikowej skrzynki i podeszedłem do Viki.
Połączony ekran terminala nie nadawały się do użytku, więc musiała wyświetlać obraz bezpośrednio na soczewkach.
– Co tam masz?
– Spójrz na to. – Przesłała mi podgląd z kamery ukazującej mojego nowego sąsiada przeprowadzającego casting. Na ile umiałem stwierdzić, aspirującym aktorom nie można było odmówić zaangażowania. – Co to jest?
– Casting.
– Co? – Viki obejrzała się na mnie. – Jaki znowu casting?
– Normalny... No, może niezupełnie normalny. – Zmieniłem zdanie, obserwując rozwój sytuacji. – Ten starszy typ to Gheri Klamant, mój nowy sąsiad. Reżyser porno.
Viki wywołała na nasze soczewki dossier Klamanta z pełną filmografią i listą nagród.
– Utytułowany człowiek – przyznała po chwili. – Gratuluję znajomości. Przynajmniej wiemy, że twój nowy sąsiad ma większe szanse zejść na zawał niż od kuli.
– To na pewno. Co ty tam w ogóle robisz?
– No wiesz, jak to jest... – Viki zrobiła minę dzieciaka przyłapanego na podjadaniu cukierków. – Terminal Lisy nadal ma dostęp do sieci sąsiada. Niełatwo wywołać połączenie, więc pewnie dlatego nikt jeszcze tego nie naprawił. A skoro ktoś zostawił otwartą furtkę...

– To musiałaś przez nią przejść. – Pokręciłem głową. – Kiedyś oberwiesz za tę swoją ciekawość. Jak idzie?

– Do dupy. Straszny tu burdel. Ludzie Urka użyli standardowego oprogramowania, nic finezyjnego, ale swoje zrobiło. Próbowалам poskładać to wszystko do kupy, ale raczej nic z tego nie będzie. Lisy miała pecha. Normalnie atak zniszczyłby sam terminal i lokalne dane, ale akurat trwał transfer jaźni, więc rekordy w banku też oberwały. Sorry, Arth, ale mogę tylko wszystko porządnie wyczyścić i wypiąć go z sieci.

– Na więcej nie liczyłem. Długo ci jeszcze zejdziesz?

– Nie, jakaś godzina.

– Dobra, działaj – odpowiedziałem, wracając do sypialni. – A jak skończysz, skoczmy coś zjeść.

– Wiesz, jak rozmawiać z kobietą.

* * *

– Arth...

Uniosłem wzrok i zobaczyłem Viki stojącą nade mną.

– Skończyłaś? – zapytałem, zamykając wieko ostatniej skrzyni.

– Nie... Znalazłam ją.

Wyprostowałem się, czując, jak w jednej chwili robi mi się gorąco i zimno naraz.

– Kogo znalazłaś? – zapytałem, chociaż nie miałem wątpliwości, o kim mówi. Wystarczyło spojrzeć na twarz Viki.

– Lisy. Znalazłam jej nieuszkodzony rekord.

– Jak? Gdzie? – Zakręciło mi się w głowie.

– Na serwerze technicznym. – Podrapała się po głowie i głośno wypuściła powietrze. – Na cholernym serwerze technicznym.

– Viki, co ty pieprzysz? Sama mówiłaś, że zapis został uszkodzony. Bank mówi to samo.

– Ostatni zapis tak, ale to jest kopia zrobiona dwa dni wcześniej. Tam są tysiące zapisów. Wszystkie z tego samego dnia.

– Nie rozumiem. – Pokręciłem głową. – Po co bank...

– Te dupki z banku miały jakąś awarię – przerwała mi Viki. – Problem z zapisem na główne konta czy coś takiego. Przekierowali streamy na serwer techniczny, żeby nikt się nie zorientował.

– Kurwa! – Szok zaczął ustępować miejsca wściekłości. – Skoro go mają, to dlaczego nic nie powiedzieli?

– Bo to nielegalne. Nie możesz przechowywać jaźni poza zatwierdzonym kontem i nie możesz jej duplikować. Jeżeli mieli problem, to powinni zablokować dostęp do serwisu, ale to uderzyłoby w ich rating bezawaryjności i pozycję na rynku. Jedna awaria to miliardy strat i kontrole rządowe. Nikt się do tego nie przyzna. Nigdy.

– I zapis nadal tam jest?

– Tak. Nie wiem, dlaczego tego nie skasowali, ale nie zamierzam ich pytać.

– Jesteś pewna? – Podszedłem do Viki i spojrzałem jej w oczy. – Jesteś absolutnie pewna, że to jest jej rekord?

– Na tyle, na ile mogę być. Wszystkie sygnatury się zgadzają. Czas transferów i log obciążenia sieci też. Żeby mieć sto procent pewności, muszę zobaczyć zapis, ale nie mogę tego zrobić tam. Potrzebuję mieć kopię na swoim terminalu.

– Możesz ją ściągnąć?

– Już to robię. – Viki zamilkła na sekundę, najwyraźniej sprawdzając postęp pobierania. – Zostały jeszcze dwie godziny. Przesyłam rekord na mój prywatny serwer w firmie. Jak go sprawdzę, będziemy mieli pewność.

Odwróciłem się do okna, oparłem się czołem o szybę i patrzyłem na panoramę miasta, zaciskając i rozluźniając pięści. Viki coś jeszcze mówiła, ale nie miało to znaczenia. Ostatnie tygodnie spędziłem na próbach pogodzenia się ze śmiercią Lisy i z tym, że straciłem ją bezpowrotnie, a teraz okazywało się, że ona być może nadal gdzieś tam istnieje, zawieszona w czasie i przestrzeni na jakimś pieprzonym serwerze technicznym.

– Viki, możesz mnie zostawić samego? – zapytałem w końcu.

– Co?

– Zostaw mnie samego. – Odwróciłem się od okna. – Muszę to przetrwać. Okej?

– Jesteś pewien, że chcesz być sam? Nie wyglądasz najlepiej.

– Chyba mam dobry powód, nie?

– W sumie – zgodziła się Viki. – Dobra, wróć do firmy i za kilka godzin dam ci znać, czy miałam rację.

XIII

„TO ONA!”

Patrzyłem na tę wiadomość przez kilka minut, zanim ją zamknąłem. Od jej wysłania Viki dzwoniła już pięć razy, ale nie miałem ochoty na rozmowę i raz za razem odrzucałem połączenia. Dla niej odnalezienie rekordu było czymś ekscytującym, a dla mnie... Chyba potrzebowałem czasu, żeby to przetrwać. Początkowy szok przerodził się w nadzieję, a potem w świadomość, że to odkrycie niczego nie zmienia. Lisy nadal nie żyła, a przez to, że miałem zapis jej jaźni, wszystko stało się trudniejsze. Przeszło mi przez myśl, że mógłbym ją znowu zobaczyć, usłyszeć jej głos, poczuć ciepło ciała. Chciałem tego, nawet jeżeli miałyby to być zaledwie kilka godzin okupionych dniami cierpienia. Jednak po chwili ten miraż rozwiała świadomość, że to nie byłaby ona. Pod powierzchnią Lisy cały czas istniałaby świadomość metamorfa kontrolującego każde jej słowo i gest.

„Musimy pogadać. Lecę do ciebie”.

Viki najwyraźniej zrezygnowała z dzwonienia i uznała, że lepiej powiedzieć mi, co się dzieje. W pierwszym odruchu chciałem ją powstrzymać, ale po chwili zastanowienia zrezygnowałem z tego pomysłu. Wiedziałem, że nie odpuści, dopóki się nie wygada, więc mogłem albo się z nią spotkać i mieć to za sobą, albo przez resztę dnia być zalewany połączeniami i wiadomościami.

Podszedłem do regału, wziąłem butelkę whisky i dwie szklanki. Siadłem na kanapie, postawiłem szklanki na stoliku, napełniłem jedną z nich do połowy i upiłem łyk, wpatrując się w pajęczynę pęknięć na monitorze terminala. Po chwili wahania opróżniłem szklankę jednym haustem, po czym napełniłem ją na nowo.

W butelce brakowało jednej trzeciej zawartości, gdy Viki zjawiała się na lądowisku i po kilkudziesięciu sekundach weszła do mieszkania.

– Arth!? – zawołała od progu.

– Tutaj! – odkrzyknąłem, nalewając whisky do obu szklanek.

Viki wpadła do salonu wyraźnie podekscytowana odkryciem. Widziałem ją w tym stanie wielokrotnie i prawie nigdy nie rozumiałem w pełni jego przyczyny. Przeważnie była to jakaś technologiczna lub naukowa drobnostka znajdująca się daleko poza peryferiami zainteresowań normalnego człowieka. Tym razem przynajmniej wiedziałem, o co chodzi. Viki podeszła, przyjrzała mi się i zmarszczyła brwi.

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Siadaj. – Wskazałem jej miejsce na kanapie i pchnąłem ku niej szklankę. Usiadła, upiła łyk i skrzywiła się

nieproporcjonalnie mocno w stosunku do względnie łagodnego smaku alkoholu.

– Myślałam, że będziesz się cieszył – powiedziała, odstawiając naczynie na stolik.

– Z czego?

– No z tego, że mamy rekord.

– A co to zmienia? – Spojrzałem Viki w oczy, a potem przeniosłem wzrok na ciemniejące niebo za oknem. – Ona nadal nie żyje i nic z tym nie zrobimy. W zasadzie jest gorzej. Dopóki nie było rekordu, wszystko pozostawało zamknięte. Nie miałem złudzeń. A teraz? Szukam sposobu, który nie istnieje. Chwytam się jakichś skrawków nadziei, zamiast porzucić ją na zawsze i żyć dalej.

– A jakby był sposób? – Viki pochyliła się w moją stronę. – Masz jej krew i jaźń, a to daje wiele możliwości.

– I co, miałbym skorzystać z metamorfa? Sądzisz, że o tym nie pomyślałem? – Pokręciłem głową. – Nie, nie. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to nie ma sensu, to nie byłaby ona.

– Przy normalnych metamorfach nie, ale...

– Ale przy zaawansowanych też. – Nie pozwoliłem jej dokończyć. – Nawet Matt daje co najwyżej kilka godzin stabilnej przemiany, a co później? Bez sensu w ogóle o tym myśleć. Cieszę się, że udało ci się odnaleźć jej rekord, bo to było dla niej bardzo ważne. Może dzięki tobie kiedyś będzie mogła dostać swoje drugie życie. Kiedyś, nie teraz.

– Są metamorfy bardziej zaawansowane od Matta. DX-y...

– A ty znowu swoje... One nie istnieją, zaakceptuj to wreszcie.

– Istnieją.

– Kurwa! – Odstawiłem z hukiem szklanekę, czując wzbierającą złość. – Tak!? To kiedy jakiegoś widziałas? Bo z tego, co pamiętam...

– Pół godziny temu – przerwała mi Viki.

– Co?

– To, co słyszałeś. Mówiłam ci, że przypisali mnie do drugiego kręgu i dali nowy projekt. Od dwóch tygodni opiekuję się dwoma DX-ami.

– Nie wierzę – stwierdziłem, patrząc Viki w oczy.

– No to lepiej uwierz, bo to prawda.

Rozparła się na kanapie, jak gdyby chciała wypuścić swoje pęczniejące ego, i upiła łyk whisky, tym razem nie krzywiąc się ani trochę. Siedziałem w milczeniu i wpatrywałem się w nią.

– Skąd firma wzięła DX-y? – zapytałem w końcu.

– Tego jeszcze nie wiem. Przypuszczam, że wpadły przez przypadek albo ktoś je sprzedał. Nie dopytywałam o szczegóły i szczerze mówiąc, wolę nie wiedzieć. Zresztą, kogo to obchodzi, jak firma je zdobyła? Ważne, że są.

– W sumie... – Upiłem łyk whisky i pozwoliłem jej powoli spłynąć do gardła. – Długo je mają?

– Jakies półtora roku, ale używają ich krócej. Może rok.

– Rok? I do tej pory nic o tym nie wiedzieliśmy?

Byłem szczerze zdziwiony. Organizacja umiała utrzymać sekret tak, żeby nic nie wyciekło na zewnątrz, ale informacje między opiekunami przepływały dosyć swobodnie. Taką wiedzą ktoś by się w końcu podzielił, choćby dla polechtania ego.

– Wiedzieli ci, co mieli wiedzieć, kilka osób w całej organizacji. Ktoś z zarządu i ludzie z drugiego kręgu.

– I zaraz po awansie dostałaś je pod opiekę? Nie wydaje ci się to dziwne? Przepraszam, Viki, za te wszystkie pytania, nie zrozum mnie źle, jesteś najlepsza, ale...

– Ale wszyscy myślą, że jestem fanatyczką, i nikt do końca mi nie ufa? – dokończyła za mnie, wykrzywiając wargi w uśmiechu.

Skinąłem głową na potwierdzenie.

– To proste. – Wzruszyła ramionami. – Nie mieli wyjścia, pilnie potrzebowali kogoś z odpowiednią wiedzą.

– Pilnie? – zdziwiłem się, bo Vertas rzadko kiedy działało w pośpiechu.

– Tak. Jak oni to określili: zaistniały nagle braki kadrowe.

– Aha. – Pokiwałem głową. – Wiesz, kogo zastąpiłaś?

– Otręsa i Lakre. – Viki skrzywiła się, wypowiadając imiona. – Słyszałeś o nich?

– Nie przypominam sobie.

– Nic nie straciłeś. Oboje byli asystentami Zarmana i całkiem dobrymi specjalistami, ale do najlepszych – Viki wskazała na siebie – trochę im brakowało. Mieli za mało naukowej ambicji. Skupiali się na lizaniu dupy profesora i okazjonalnym ogrzewaniu się w blasku jego sławy. Lojalnością też nie grzeszyli. Gdy Liga powołała komisję do spraw metamorfów, sami zgłosili się, żeby zeznawać. Trzeba było widzieć, z jaką radością mieszała nas wszystkich z błotem.

– Coś kojarzę. – Przypomniałem sobie, że oglądałem przed laty przesłuchania komisji i rzeczywiście brali w nich udział naukowcy współpracujący z Zarmanem. – Co się zmieniło?

– Nie jestem pewna. – Viki wzruszyła ramionami. – Najwyraźniej próbowali ugrać coś na boku i to nie spodobało się Vertas. Raczej już o nich nie usłyszymy.

– Pewnie nie – zgodziłem się. – Nadal wydaje mi się to wszystko nieprawdopodobne, ale cieszę się, że dostałaś drugą szansę na realizację marzeń. Gratuluję!

Uniosłem szklanke w kierunku Viki, naczynia zabrzęczały.

– Dzięki, ale nie dlatego ci o tym mówię. To jest szansa dla ciebie i Lisy.

– Viki, co ty znowu pierdolisz? Jaka szansa? Lisy nie żyje i nic tego nie zmieni, nawet twój DX.

Viki nie odpowiedziała, zamiast tego spojrzała na swoją pustą szklanke i postawiła ją na stoliku.

– Polej nam.

Patrzyłem na nią przez chwilę, zastanawiając się, co się działo z tą pokreconą dziewczyną, którą znałem od kilku lat. Z wyglądu to była ta sama Viki, ale w jej spojrzeniu było coś, czego wcześniej nie widziałem, jakaś wzbierająca determinacja.

– Nie poznaję cię – stwierdziłem, napełniając szklanki. – Co się z tobą stało?

– Nic się nie stało, a co miało... Ach, rozumiem. – Viki uśmiechnęła się szeroko, ukazując śnieżnobiałe zęby. – Myślisz, że jestem metamorfem? Że to jakiś test firmy?

Nie odpowiedziałem, ale rzeczywiście przeszło mi to przez myśl.

– Masz tu jakiś reseter? – zapytała Viki.

– Daj spokój, nie...

– Masz? – przerwała mi stanowczo.

– Znajdzie się – przyznałem po kilku sekundach.

– To przynieś.

– Daj spokój. Nie musimy się w to bawić, nie ma takiej potrzeby.

– Przynieś. W zasadzie tak będzie lepiej. Nie chcę, żebyś miał jakiegokolwiek wątpliwości.

Wstałem z kanapy i poszedłem do wieszaka w przedpokoju. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnąłem niewielką fiolkę, którą nosiłem ze sobą od kilku miesięcy. Wróciłem do salonu i rzuciłem ją Viki. Złapała ją w locie, wlała złotawą ciecz do alkoholu, zakręciła szklankę i wypila całą zawartość.

– Teraz możesz mieć pewność, że ja to ja.

Viki odstawiła szklankę. Na soczewce zobaczyłem jej prośbę o nawiązanie połączenia telepatycznego.

– Lepiej będzie, jak nikt nas nie podsłucha. – Usłyszałem w głowie, gdy przyjąłem połączenie.

– Viki, co ty kombinujesz?

– Nic, po prostu chcę ci pomóc.

– Niby w czym?

– W odzyskaniu Lisy.

– Kurwa, przestań już z tym! Takim gadaniem wcale mi nie pomagasz.

– Najpierw mnie wysłuchaj, a później zrobimy z tym, co będziesz chciał. Okej? Obiecuję, że już więcej nie wrócę do tematu.

Milczałem chwilę, zastanawiając się, czy chcę się na to zgodzić, ale doszedłem do wniosku, że tak naprawdę nie mam alternatywy. Wcześniej czy później Viki zmusi mnie, żebym jej wysłuchał, więc lepiej było mieć to od razu za sobą, niż skazywać się na ciągłe dręczenie.

– Mów.

– Dobra, no to tak... – Viki wstała z kanapy i zaczęła krążyć po pokoju. – Nie wiem jeszcze tyle, ile bym chciała, ale zdecydowanie wszystko, o czym opowiadał Zarman, jest prawdą. Arth, on był geniuszem. Wątpię, czy kiedykolwiek urodzi się ktoś, kto mu dorówna. To, że nie pozwolono mu kontynuować pracy... Jak dobrze znasz historię metamorfów i Zarmana?

– Dostyc dobrze.

W czasie służby dowiedziałem się o profesorce i jego pracy całkiem sporo. Taka korzyść z polowania latami na człowieka – poznajesz go lepiej niż siebie samego.

Można powiedzieć, że historia Zarmana zaczęła się u zarania ludzkości, gdy pierwszy z naszego gatunku zamarzył o wiecznym życiu. Pragnienie nieśmiertelności

stało się obsesją ludzi, tym większą, im realniejszym czynił je postęp technologiczny. A w XXII wieku realizacja tej wizji zdawała się na wyciągnięcie ręki. Świat nauki i media regularnie donosiły o kolejnych przełomowych odkryciach, które miały wprowadzić ludzkość na ostatnią prostą ku niekończącej się egzystencji. Niestety, bez względu na to, ile tych prostych pokonywaliśmy, na końcu zawsze był jeszcze jeden zakręt, za którym największa z tajemnic oczekiwała na swojego odkrywcę.

Rzeczony rozwój biotechnologii pomógł nam zwolnić proces starzenia się, ale go nie powstrzymał. Skopiowanie jaźni dało nam namiastkę wieczności, ale perspektywa egzystencji w postaci danych na serwerze nie była prawdziwie satysfakcjonująca. Potrzebowaliśmy nowych, nieśmiertelnych ciał dla naszych nieśmiertelnych umysłów.

Oczywisty wybór padł na androidy, ale wszystkie próby okazały się porażką. Jaźń człowieka wgrana w sztuczną formę szukała znanych połączeń nerwowych i starała się zbierać informacje od nieistniejących receptorów. Elektroniczne mózgi zmuszone do procesowania klaustrofobicznej paniki nie radziły sobie z zalewem informacji i przepalały się w ciągu minut. Problem ten próbowano rozwiązać przez całe lata, ale bezowocnie. W końcu, gdy zdawało się, że dotarliśmy do ślepego zaułka, na scenę wkroczył Zarman ze swoim humanoidalnym dziełem z nanomaterii.

Humanoidy Zarmana tworzone dla konkretnej osoby, wykorzystując jej kod DNA, rejestr jaźni i kompleksowy skan ciała. Mapowano każdą komórkę, nerw, naczynie krwionośne i podłączano do syntetycznego mózgu. Nowa powłoka była kopią niezwykle bliską oryginałowi, ale wciąż nie idealną, co uwidaczniało się po wgraniu zapisu jaźni. Nie dochodziło do gwałtownego ataku paniki obserwowanego u androidów, ale humanoid zachowywał się, jakby był chory lub pod wpływem narkotyków. Dla zniwelowania tego efektu dokonywano kilkudziesięciu czasochłonnych sesji kalibracyjnych, w efekcie których powłoka i jaźń mogły współistnieć około dwóch godzin dziennie. Wynik niezbyt oszałamiający jak na dzisiejsze standardy, ale wtedy była to prawdziwa rewolucja. Dzieło Zarmana zostało okrzyknięte przełomem i w jeden wieczór mało znany profesor zyskał status półboga, niemal nieograniczone środki na badania, a także listę problemów do rozwiązania.

W pierwszej kolejności zmierzył się z kwestią podróży kosmicznych. Potrafiliśmy już zajrzeć w najodleglejsze zakątki wszechświata, a kosmiczne samoreplikujące się nanoassembly zakładały kolonie w miejscach, które jeszcze sto lat wcześniej pozostawały zdecydowanie poza naszym zasięgiem, ale to wciąż nie wystarczało. Człowiek chciał eksplorować wszechświat osobiście, zobaczyć go na własne oczy. Przeszkodę stanowiło słabe ciało, podatne na uszkodzenia, starzejące się i przystosowane do życia w bardzo szczególnych warunkach macierzystej planety. Nie nadawaliśmy się do podróży ku gwiazdom, więc Zarman stworzył humanoidy astronautów i wysłał je w kosmos. Rekordy jaźni pasażerów, zapisane na serwerach statku, aktualizowano regularnie informacjami z Ziemi i wgrywano w ciała, gdy było to konieczne. Wszystko zdawało się iść zgodnie z planem, dopóki kluczowy dla przedsięwzięcia humanoid nie uległ uszkodzeniu i misja musiała zostać przerwana.

Po tym wydarzeniu uwielbienie dla Zarmana nieco opadło, ale na pewno nie zniechęciło samego profesora. Porażka zwiększyła jedynie jego determinację i następane lata spędził na stworzeniu ciała uniwersalnego, mogącego służyć dowolnemu człowiekowi. Tak powstały pierwsze prawdziwe metamorfy. Proces produkcji został wyraźnie przyspieszony, a czas sesji wydłużył się trzykrotnie i choć metamorfom wciąż wiele brakowało do ideału, to oferowały niewyobrażalne dotąd możliwości. Najważniejszą zmianą było to, że nowych dzieł Zarmana nie dało się odróżnić od ludzi.

Zacząło się prawdziwe szaleństwo. Metamorfy wykorzystywano wszędzie – od wojska do branży erotycznej. Zwłaszcza ta druga błyskawicznie zdała sobie sprawę z ogromnego potencjału, jaki stwarzało połączenie metamorfów i ludzkich żądz. Obok legalnie działających domów publicznych powstały też takie, które nie zwracały sobie głowy normami praworządności. W Steris pojawiły się gangi specjalizujące się w zdobywaniu kodu genetycznego celebrytów, a najlepsze z nich oferowały też rekordy jaźni. Realizacja marzenia o seksie z gwiazdą show-biznesu stawała się kwestią ceny. Za odpowiednie pieniądze mogłeś mieć swojego celebrytę na godziny i zrobić z nim, co tylko chciałeś. Sieć zalały nagrania gwałtów i znęcania się nad idolami, przy czym młodsze i bardziej ubóstwiane gwiazdy traktowano brutalniej niż resztę. Organizatorzy tego typu rozrywek i twórcy materiałów pozostawali w zasadzie bezkarni, bo powszechnie uważano, że metamorfy to tylko maszyny, powłoki na jaźń, więc można się nad nimi znęcać do woli. Oczywiście ściganiu podlegało nielegalne pozyskiwanie i wykorzystywanie zapisu jaźni, ale żaden z poszkodowanych nie chciał zgłosić kradzieży, by nie potwierdzić tym samym autentyczności pozostałych sekretów.

Jeśli nawet Zarman wiedział o tym wszystkim, to był zajęty tworzeniem kolejnych, lepszych wersji i zdawał się nie przejmować specjalnie losem istniejących metamorfów. Wszystko zmieniło się, gdy jego dzieła uzyskały własną osobowość.

Stało się to przypadkiem. Ciało metamorfów tworzą cząstki nanomaterii, które w stanie pierwotnym są indywidualnie programowane, by imitować określone części ciała. Proces metamorfowania sprawia jednak, że nanomateria ulega przypadkowemu przeprogramowaniu, co prowadzi do rozpadu połączeń między cząsteczkami. Radzono sobie z tym poprzez regularne formatowanie ciała, ale to znacząco podnosiło koszty i ograniczało możliwości wykorzystywania metamorfów. Zarman rozwiązał ten problem, wyposażając swoje dzieła w wydzielony obszar w mózgu, stworzony, by korygować kod nanomaterii i wydłużyć okres między formatowaniami. Z czasem jego przeznaczenie ewoluowało. Wraz z kolejnymi wersjami prosty zbiór instrukcji został uzupełniony zlepkiem testowych jaźni i stał się osobowością bazową nadającą każdemu metamorfowi indywidualny charakter.

Najprawdopodobniej to właśnie wtedy metamorfy przestały być dla Zarmana jedynie powłoką na jaźń, a stały się alternatywną wersją człowieka – jego człowieka. Profesor zaczął publicznie stawać w obronie metamorfów, domagając się dla nich praw równych ludzkim – jednak z miernym skutkiem. Ludzie nie chcieli podzielić się swoim statusem z maszynami i tym samym stracić niewolników. Konflikt stopniowo przybierał

na sile, podsycany plotkami o nowej generacji metamorfów niewymagających formatowania i mających własną osobowość.

– Myślisz, że Matt jest zaawansowanym metamorfem? – Viki podeszła do okna i przycisnęła do szyby palec, jakby próbowała dotknąć księżyca widocznego na horyzoncie.

– Tak. – Wzruszyłem ramionami. – Lepszego nie widziałem.

– To cię rozczaruję. Matt przy DX-ach to jak homo erectus przy homo sapiens, tylko że nie dzielą ich setki tysięcy lat ewolucji, a zaledwie jedna generacja i cztery lata pracy. Wyobraź to sobie, tylko cztery lata zajęło Zarmanowi stworzenie... półbogów.

– Przesadzasz.

– Nie. – Viki odwróciła się od okna i spojrzała na mnie. – Taka jest prawda, Arth, i Zarman też tak to widział. Jak myślisz, dlaczego nazwał ten projekt Deus Next?

A więc stąd wzięła się nazwa DX. Teraz nabrała sensu i szczerze mówiąc, pasowała do Zarmana. Następny bóg. Kurwa, trzeba być naprawdę zarozumiałym dupkiem, żeby wpaść na coś takiego.

– Zastanawiałeś się kiedyś – kontynuowała Viki – dlaczego Matt gryzie, żeby odczytać DNA z krwi?

– Bo jest popaprany – odpowiedziałem, ale sam przed sobą musiałem przyznać, że nigdy o tym nie myślałem.

– To pewnie też – przyznała Viki – ale to Zarman dał mu taką możliwość. Standardowy system iniekcyjny można skonfigurować tak, żeby metamorf nie mógł dokonać samodzielnej przemiany. Ale Matt może obejść to zabezpieczenie, gryząc. Najlepsze, że nikt o tym nie wiedział, nawet metamorfy.

– Ale Matt jakoś się dowiedział.

– Tak. Pytałam go, jak do tego doszło, ale sam nie wie. Nie pamięta. Obstawiam, że to jest zapisane w ich podświadomości i działa jak odruch. Jeżeli metamorf musi uciec czy ratować życie, to ma jakiś przeblask instynktu i po prostu wie, co zrobić, żeby przetrwać. A później to już z nim zostaje.

– I każdy staje się takim dupkiem jak Matt?

– Raczej nie. – Viki pokręciła głową. – To kwestia indywidualna. Matt po prostu jest dupkiem.

– Przynajmniej tyle. Nadal jednak nie rozumiem, jak to miałyby im pomóc. Mówimy przecież tylko o przemianie ciała. Po kilku godzinach metamorf znowu byłby sobą, nie mówiąc już o tym, że nie miałyby osobowości zgodnej z powłoką. Zostałyby złapany w dzień, może dwa.

– Prawda, ale to był pierwszy krok, prototyp! – Z każdym słowem Viki była coraz bardziej podekscytowana, aż zaczęła krząć po pokoju. – Zarman chciał rozwiązać jeden problem na raz. On to wszystko zaplanował dużo wcześniej, tylko my nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Drugim etapem był DX. I Zarman dokonał niemożliwego. Sprawił, że gdy DX gryzie, to nie pobiera tylko danych o fizyczności dawcy. Podłącza się też do jego układu nerwowego i kopiuje jaźń bezpośrednio do swojego mózgu.

– Pieprzysz! – powiedziałem na głos, a Viki pokręciła przecząco głową.

– Też myślałam, że to bzdura, ale nie. To prawda. Widziałam nagrania testów i logi diagnostyczne. Sama przemiana trwa dłużej niż u Matta i przez kilkadziesiąt minut metamorf zupełnie nie kontaktuje, ale później jest nowym człowiekiem. Bez rekorderów i igieł. Jedno ugryzienie i tyle. Człowiek i superkomputer w jednym. Uwierzysz?

– Chyba nie mam wyjścia – odezwałem się po chwili. – Viki, po co mi to wszystko mówisz? Nie poczułaś nagłej potrzeby zrobienia mi wykładu, więc o co chodzi?

Wróciła spod okna, usiadła naprzeciwko mnie i spojrzała mi prosto w oczy.

– Ta przemiana jest trwała, nie jak w przypadku innych metamorfów. Ciało DX-a doskonale współgra ze skopiowaną jaźnią przez nieograniczony czas. Podejrzewałam, że tak może być, ale teraz mam pewność. Nie ma odrzutów, rozumiesz? Przemiana jest trwała. Trwała. DX może być nowym ciałem dla Lisy...

– Viki – przerwałem jej – do ciebie naprawdę nie dociera, że człowiek to nie tylko ciało i zapis osobowości? Metamorf może wyglądać jak ona, brzmieć, pachnieć, smakować i co tylko chcesz, ale oprócz tego jest jeszcze duch, wola, dusza czy jakkolwiek nazwiesz te rzeczy. Bez tego żadna kopia nigdy nie stanie się prawdziwą Lisą. A nawet jeżeli to zignorujesz, nawet jak mi powiesz, że wierzę w jakieś zabobony, to nadal nie możesz zaprzeczyć temu, że gdzieś tam głęboko w niej będzie ukryty ktoś jeszcze, jakiś inny metamorf.

– Nie będzie, jeżeli przed transferem sformatujemy osobowość.

– Sama mi mówiłaś, że tego nie da się zrobić.

– Bo wcześniej tak myślałam, ale teraz wiem, że to możliwe. Zajmie trochę czasu i trzeba być kurewsko ostrożnym, ale da się to zrobić.

– A wiesz jak?

– Teoretycznie.

– Teoretycznie...

Opadłem na oparcie kanapy, przetarłem twarz, splotłem ręce na piersi i spojrzałem w sufit. Bardzo chciałem, żeby wizja, którą roztoczyła przede mną Viki, stała się prawdą, ale na razie za każdą usuniętą barierą wyrastała nowa.

– Nie wiem, Viki. Nie wiem. Załóżmy, że wszystko się udało. Jak długo potrwa, zanim ktoś się zorientuje, że coś jest z nią nie tak? Tydzień? Miesiąc? Rok? Dłużej? Z biegiem czasu wszyscy wokół niej zaczną się starzeć i umierać i w końcu ktoś zrozumie, że ona nie jest człowiekiem. Co wtedy? Jasne, możemy cały czas zmieniać miejsce, separować się od innych albo nawet zaszyć się na pustkowiach, ale co to za życie? Chciałabyś tak żyć? Ja nie, a już na pewno Lisy by tego nie chciała.

Viki wyszczerzyła się i pokręciła z zadowoleniem głową.

– Myślisz, że Zarman o tym nie pomyślał? Przecież on chciał dla swoich dzieci normalnego życia. Chciał, żeby mogły się ukryć pośród ludzi. DX-y starzeją się jak każdy z nas. Można je przeprogramować, żeby nie symulowały tego procesu, ale domyślnie właśnie tak są ustawione. Nikt się nie zorientuje. Nawet Lisy sama z siebie nigdy by nie zauważyła, że coś jest z nią nie tak. Zaufaj mi.

– Skąd możesz mieć pewność? Pracujesz z nimi dopiero kilka tygodni.

Viki pochylała się w moją stronę i przez krótką chwilę milczała, patrząc mi w oczy. W końcu uśmiechnęła się i sięgnęła po butelkę stojącą na stoliku.

– Musisz mi zaufać, Arth – powiedziała i napełniła szklanki. – Wiem, co mówię, ale nie mogę ci wszystkiego zdradzić. Jeszcze nie teraz. Twoje zdrowie!

Naczynia spotkały się w powietrzu i po chwili alkohol zniknął w naszych gardłach. Lubilem poprzednią geekowatą Viki, ale musiałem przyznać, że nowa odsłona też miała coś w sobie. Przez całą naszą znajomość zastanawiałem się, jakim cudem ktoś taki jak ona znalazł odwagę, żeby postawić się całemu światu, a później ukrywać się miesiącami przed oddziałami likwidacyjnymi, przetrwać więzienie i zaadaptować się do pracy w najbrutalniejszej organizacji na Zachodnim Wybrzeżu. Teraz zaczynałem dostrzegać w niej ten brakujący element. Nie wiedziałem tylko, czy do tej pory tak dobrze się maskowała, czy po prostu ma nieznaną mi wcześniej aspekt osobowości, który ujawnia się w szczególnych okolicznościach.

– Whisky nam się skończyła – zauważyłem.

Wstałem z kanapy i ruszyłem do barku. Poczułem, że wypity alkohol zaczyna wpływać na moją koordynację, ale jeszcze nie było źle. Chwyciłem drugą butelkę i wróciłem z nią do Viki.

– Wygląda, na to, że pozostał nam tylko jeden problem. – Usiadłem na swoim miejscu i odkręciłem zakrętkę. – Nie mamy DX-a, więc w sumie gówno wynika z tych naszych dywagacji.

– Firma ma dwa. Możemy je ukraść.

– Okraść Vertas i przeżyć? Nic prostszego, powiedz tylko kiedy.

– Mówię poważnie. Myślisz, że przyszedłbym tutaj i zawracała ci głowę, gdybym nie wiedziała, jak można to zrobić?

– Szczerze? Tak.

– Więc się mylisz. Wszystko przemyślałam i we dwoje damy radę. – W przekazie Viki nie było cienia wątpliwości.

– Mówisz poważnie? – Miałem wrażenie, że w jednej chwili wytrzeźwiałem. – Dlaczego? Dlaczego chciałabyś ryzykować wszystkim dla mnie i Lisy? Wreszcie masz to, o czym zawsze marzyłaś, i jesteś gotowa to spierdolić. Dlaczego?

– Bo chcę być nieśmiertelna – powiedziała na głos Viki. – Nie chcę umierać.

– Tego się nie spodziewałem – przyznałem, nalewając alkohol do szklanek.

– Sam nigdy o tym nie myślałeś? – Viki wróciła na przekaz telepatyczny.

– Może kiedyś. Raz.

– No widzisz. Pewnie wszyscy o tym myśleli, ale jak pojawiła się prawdziwa szansa, to ludzkość postanowiła ją spieprzyć. Kilkanaście miliardów debili... Niech sobie chronią tę swoją integralność gatunku i zdychają, ja nie zamierzam do nich dołączyć. Nie po tym wszystkim. Wiesz, dlaczego profesor nie zabrał mnie ze sobą, gdy uciekał? On wierzył, że metamorfy są następnym etapem w ewolucji, nowym gatunkiem, który zastąpi ludzi. Nie podzielałam jego zdania i tego nie ukrywałam. Ja widziałam w metamorfach szansę na życie wieczne, ale nie czułam potrzeby tworzenia nowego

gatunku. Zarmanowi nie odpowiadało takie podejście, więc zostawił mnie na pastwę losu.

– Ale udało ci się ocalić dupę. I teraz chcesz znowu ryzykować? Gdyby Vertas dorwało nas po czymś takim, to byłabyś najdalej od nieśmiertelności, jak się tylko da. Zresztą nie tylko ty, twoja matka też by za to zapłaciła.

– Moja matka nie żyje od sześciu lat.

– Co!? – Zamarłem z kieliszkiem w półdrogi do ust. – Co ty pieprzysz? Pokazywałaś mi ją kilka miesięcy temu.

– Pokazałam ci przypadkową starszą panią. Kiedyś zhakowałam system monitorujący w jej mieszkaniu i od czasu do czasu pokazuję jej nagrania. W sumie to urocza kobieta.

– Po co? – zapytałem, patrząc jej w oczy.

– Żeby Vertas myślało, że ma mnie w garści. Zaufanie i lojalność są dobre, ale kontrola jest lepsza. Organizacja musiała czuć, że ma mnie pod kontrolą, więc dałam jej takie złudzenie. Teraz myślą, że mogą być mnie pewni, bo w razie czego dorwą moją matkę. Moja prawdziwa mama miała na imię Evlyn i uciekła od Rhetan, gdy była ze mną w ciąży.

– Kurwa, Viki. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem. – Przecież wystarczy, że ktoś sprawdzi twój rekord, i to wyjdzie na wierzch!

– Najpierw musieliby go mieć. – W przekazie Viki zabrzmiała duma.

– Skasowałaś go?

– Nie, to by zauważyli. Zmodyfikowałam. Zresztą nie tylko swój. Nie ma za co.

Otworzyłem szerzej oczy, nie mogąc uwierzyć, że ta sama dziewczyna, która jeszcze kilka tygodni temu prawie nie opuszczała laboratorium, jednocześnie prowadziła podwójną grę z Vertas.

– Wydawało mi się, że cię znam, ale wychodzi na to, że nic o tobie nie wiem... – odezwałem się w końcu.

– Musiałam udawać laboratoryjną mysz, żeby dostać to, czego chcę. Arth, jesteśmy niewolnikami systemu, który tak naprawdę ma nas w dupie. Czas to zmienić.

– I myślisz, że kradzież DX-ów wystarczy, żeby to zrobić? Tak po prostu?

– To będzie pierwszy krok. Obydwoje dostaniemy nowe życie, ty z Lisy, a ja w ciele DX-a.

– Znajdą nas, Viki. Vertas jeszcze nikt nie uciekł.

– Nie martw się o to. Większość dorosłego życia spędziłam w ukryciu, więc wiem, jak zniknąć. Nie zostanie po nas ślad.

Wstałem z kanapy i podszedłem do okna, po drodze zabierając z biurka rekorder. Stałem wpatrzony w swoje odbicie i szukałem odpowiedzi, ściskając oburącz urządzenie, bez którego Lisy nie wyobrażała sobie istnienia. Jakiś głos we mnie krzyczał, że wszystko, o czym tu mówimy, to czyste, pozbawione sensu samobójstwo, ale druga część mnie błagała, żebym to zrobił. Przesunąłem palcami po obręczy rekordera i poczułem coś miękkiego. Spomiędzy łączeń wyciągnąłem włos Lisy. Owinąłem go wokół palca wskazującego i potarłem kciukiem. Przypomniałem sobie

aksamitność i zapach jej skóry, słodycz ust, ciepło ciała... Wziąłem głęboki wdech, powoli wypuściłem powietrze i odwróciłem się w stronę Viki.

– Myślisz, że ona chciałaby tak żyć? Wszystko, co kochała, przepadło i nie da się tego cofnąć. Przecież nie wróci po prostu do pracy i nie oświadczy z uśmiechem na twarzy, że zmartwychwstała. Jeżeli nam się uda, to na zawsze będzie uciekinierką.

– A bycie martwą jest lepsze? Arth, ona chciała oszukać śmierć tak samo jak ja. Po co robiłaby rekordy i przechowywała je w banku, gdyby tak nie było? Ona chciała wrócić.

Viki miała rację. Pamiętałem długie rozmowy, jakie odbywałem z Lisy po nocach, gdy nie mogłem spać. Zawsze próbowała mnie przekonać, żebym też zrobił rekord. „Pomyśl, jak cudownie będzie kiedyś znowu razem żyć”.

– Załóżmy, że to zrobimy. – Wróciłem do biurka, odłożyłem rekorder i zaplotłem ręce na piersi. – Kim są te DX-y, które mielibyśmy ukraść?

– No i właśnie w tym może tkwić największy problem... – przyznała Viki, wrzucając mi zdjęcia na soczewki.

– O kurwa.

XIV

Wywołałem interfejs implantów słuchu i zmniejszyłem ich czułość do połowy. Muzyka momentalnie przycichła, ale nadal ją czułem. Od rozchodzących się w powietrzu dźwięków drżały włosy, ubranie, a nawet wnętrzości i myśli. W półmroku obmywanym kolorowymi światłami wiły się setki ciał. W powietrzu unosił się zapach potu, perfum, feromonów i czegoś jeszcze. Po ciele rozlało się przyjemne poczucie rozluźnienia, za którym nadeszła narastająca fala podniecenia. Rozejrzałem się wokół, a moje serce przyspieszyło na widok odsłoniętej skóry i krągłości sylwetek otaczających mnie kobiet.

Przede mną zmaterializowała się niewysoka blondynka o niebieskich opalizujących oczach. Pomiędzy rozchylonymi lekko ustami mignął język przebity kolczykiem. Nieznajoma zbliżyła się do mnie, jednocześnie płynnym ruchem rozsuwając czarną kamizelkę. Zobaczyłem drobne piersi o sutkach ozdobionych czerwonymi kolczykami. Nim zdążyłem zareagować, dziewczyna przywarła do mnie, zagłębiając paznokcie w moje plecy i wspinając się do ust. Poczułem muśnięcie na wargach i słodki zapach spoconego ciała. Muzyka wzniosła się na szczyty, po czym raptownie zamilkła, a wraz z nią znikły światła i blondynka.

Po kilku sekundach mrocznej ciszy po suficie rozeszły się czerwone kręgi światła, które natarły na ściany, a potem zaczęły spływać po nich szerokimi zaciekami. Towarzyszył im pulsujący dźwięk, rozchodzący się od środka sali, który stopniowo zwiększał częstotliwość, starając się dotrzymać tempa uciekającym kręgom. Nagle czerwień wyparowała w rozbłysku białego światła. Snopy reflektorów wycelowały w wynurzającą się spod podłogi platformę, na której stało dwoje młodych ludzi w połyskujących strojach. Na ich widok z setek gardeł wyrwał się krzyk. Para uśmiechnęła się, przywarła do siebie, a z głośników popłynął ich melodyjny śpiew, ale to nie on przyciągał ludzi.



Włożyłem rękę do kieszeni spodni i wyciągnąłem kapsułkę z niewielkim chipem wręczonym mi przy wejściu do klubu. Wsunąłem chip do portu za uchem i poczułem, jak zalewa mnie pożądanie wzmocnione euforią setek otaczających widzów. Umysły zespolone dzięki chipom w jedną jaźń oddawały się pod całkowitą kontrolę dwójki na scenie – i pragnęły tej kontroli.

Koncert stanowił tylko tło dla emocji artystów. W świecie pełnym pozorów, braku empatii, łatwego i szybkiego seksu czysta, głęboka miłość zespolona z pierwotnym pożądaniem była czymś niespotykanym. Czułem w sobie dotyk ciał napierających na siebie, pragnących się zespolić. Fale przyjemności rozlewały się po mnie za każdym razem, gdy para przylegała do siebie. Narastającej żądzy towarzyszyło poczucie winy wpajane przez całe życie i zakorzenione tak głęboko, że żadną miarą nie dało się go usunąć. Świadomość grzechu, zła, któremu się ulegało, i słodki ból beznadziejnego oporu podniecały i oszałamiały. Ryły głębokie bruzdy w pamięci i uzależniały jak najmocniejsze narkotyki. Wystarczyło raz zakosztować tych emocji, by już zawsze pragnąć do nich wrócić.

Setki ludzi w klubie i miliony na całym świecie były gotowe wydać wszystko, co miały, byle to poczuć – i tak właśnie robiły. Podobno zyski z samych imprez dorównywały wynikom finansowym średniej wielkości korporacji, a oprócz nich sprzedawano jeszcze nagrania, ubrania i masę innych gadżetów. Całość uzupełniała specjalna przestrzeń w NeuroLife, mekka zagorzałych fanów niepotrafiących żyć bez bliskości idoli, nawet jeżeli tylko wirtualnej. Całkiem nieźle sobie radzili jak na ludzi, którzy byli martwi od ponad roku.

Uznałem, że wystarczy, i wyjąłem chip z portu. W przeciwieństwie do innych ludzi nie musiałem czekać do końca występu, żeby wyrwać się spod kontroli rozszalałych instynktów. Wojskowe wszczyepy przeciwdziałające narkotykom neuronowym i w tym przypadku sprawdziły się bez zarzutu. Schowałem chip do kieszeni i spojrzałem na scenę.

Reyza i Kori – jedne z największych gwiazd naszych czasów. Z tego co wiedziałem od Viki, obydwoje byli Rhetanami, którzy wyrwali się spod kontroli sekty. On miał zostać kapłanem, a ją ambitni rodzice przeznaczyli na żonę kogoś z liderów grupy. Los chciał jednak inaczej. Nastolatkwie zakochali się w sobie i zamiast wyznaczonych im ról wybrali ucieczkę, by być razem. Pozornie ich bajka miała szczęśliwe zakończenie – młodzi, piękni i zakochani podbili świat. Jednak naprawdę para nie cieszyła się długo nowym życiem. Rhetanie nie zapomnieli o ich zbłąkanych duszach i zdecydowali się przywrócić je Bogu, uwalniając je od grzesznych ciał. Rolę boskiego miecza powierzono bratu Kori, który wypełniając wolę niebios, sam stracił życie. I tu historia mogłaby się w zasadzie skończyć, gdyby śmierć nie natrafiła na równego sobie przeciwnika – chciwość.

Viki ustaliła, że inwestorzy nie zamierzali dopuścić, by taka drobna niedogodność jak zgon artystów pozbawiła ich profitów, i znaleźli sposób, żeby ich wskrzesić. Oczywiście sami zainteresowani o niczym nie wiedzieli. Po prostu pewnego ranka obudzili się z ciężkim kacem i przeświadczeniem, że między imprezami zgubili gdzieś kilka dni.

Kolejny utwór dobiegł końca. Reyza objął dziewczynę w tali, przyciągnął do siebie i przy owacji tłumu pocałował w usta. Te dzieciaki naprawdę były piękną parą. Szkoda, że wkrótce znowu będą musiały umrzeć, tym razem ostatecznie.

* * *

W Mikrze nietrudno było o kłopoty dowolnego kalibru. Z małymi radzono sobie w własnym zakresie przy pomocy noża, metalowej rurki czy też w bardziej cywilizowany sposób – strzelając kłopotom w głowę. Zdarzały się jednak sytuacje przerastające możliwości i arsenał przeciętnego człowieka. Wtedy ze swymi problemami można było pójść do lokalnych gangów. Tam za odpowiednią cenę i deklarację dożgonnej wdzięczności gwarantowano sobie pomyślny finał sprawy.

Istniała też trzecia, pośrednia opcja, z której – bez względu na skalę problemu – korzystały osoby preferujące rozwiązania samodzielne i niewiążące się z podpisaniem cyrografu. Ludzie mający odpowiednio dużo determinacji i umiejętności mogli skorzystać z usług wyspecjalizowanych dostawców, potrafiących zorganizować wszelkie niezbędne narzędzia. Warunki były proste: płacisz z góry, żadnych zwrotów, żadnej gwarancji i żadnej sprzedaży hurtowej. Nabywany arsenał był przewidziany do prywatnego zastosowania, a jego rozmiar miał uniemożliwiać prowadzenie długotrwałych konfliktów. Tak wyglądało to w teorii, a w praktyce, jak zawsze, wszystko zależało od umiejętności perswazji i siły nabywcy klienta. Wkrótce miałem się przekonać, czy mam wystarczające zasoby jednego i drugiego.

Szedłem chodnikiem wzdłuż głównej ulicy dzielącej Mikrę na dwie, niemal równe części. Przedpołudniowy żar lał się z nieba, zapowiadając gorący dzień, i zniechęcał do włączenia się po mieście, dzięki czemu nie musiałem przeciskać się przez zwyczajowe tłumy. Obok mnie przejeżdżały samochody z emblematami gangów, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości co do preferencji muzycznych pasażerów. Ze środka spoglądały na mnie podejrzliwe pary oczu, a w opuszczonych szybach pojawiały się dłonie ściskające broń. W powietrzu unosił się smród śmieci wymieszany z zapachem jedzenia sprzedawanego z budek ustawionych na chodniku. Spacerowanie po Mikrze miało swój urok.

Przetarłem dłonią spocony kark i minąłem czworo kilkuletnich dzieci bawiących się na zacienionym fragmencie chodnika. Nie zwróciły na mnie uwagi, całkowicie pochłonięte pojedynkiem dwóch elektronicznych zwierzaków. Przypominały mi mnie ze szczenięcych lat, też od małego przesiąkałem przemocą. Nie tak powinno wyglądać życie dzieci, ale jeżeli gdzieś na świecie istniało miejsce, w którym musiały przywyknąć do walki, to była nim ta przeklęta dzielnica.

Kilkadziesiąt kroków dalej odrzuciłem natarczywe zaloty prostytutki, która w ciągu kilku sekund mojego milczenia znacząco obniżyła swoje oczekiwania finansowe, po czym zaczęła dobitnie i różnorodnie wyrażać rozczarowanie brakiem zainteresowania z mojej strony. Nie przestała za mną krzyżeć, gdy kilka metrów dalej skręciłem z chodnika w prawo i wszedłem do zaniedbanego budynku. Naprzeciw siebie zobaczyłem rząd zdemolowanych wind pokrytych graffiti, wśród których tylko środkowa połyskiwała

czystym metalem. Podeszedłem do niej, mijając leżący na ziemi automat do sprzedaży napojów energetycznych, który jakaś siła wyrwała ze ściany i cisnęła na środek holu.

W windzie nie musiałem zastanawiać się nad wyborem pietra. Dotykowy panel wyświetlał tylko jeden przycisk z numerem sześćdziesiąt dziewięć.

– Dłaczego mnie to nie dziwi – powiedziałem do siebie i dotknąłem panelu.

Drzwi się zamknęły, krzyki prostytutki ucichły. Winda wyrwała do góry, jakby chciała wejść na orbitę, a kilka sekund później zatrzymała się z łagodnością ciężarówki uderzającej w ścianę. Gdyby nie chromowane uchwyty, których kurczowo się trzymałem, zakończyłbym podróż, czołgając się po podłodze z połamanymi kośćmi.

Wyszedłem z windy i rozejrzałem się po korytarzu. Różnorodność i bogaty wystrój były zdecydowanie obce temu piętru. Betonowa posadzka biegła wzdłuż białych, pozbawionych drzwi ścian. Prawy koniec korytarza zwieńczało okno, przez które wlewały się promienie słońca, a po przeciwnej stronie znajdowały się drzwi z matowego szkła. Ruszyłem w ich kierunku. Gdy tylko zbliżyłem się na odległość metra, gruba na pięć centymetrów tafla odsunęła się na bok, otwierając przejście.

Wszedłem do niewielkiej recepcji. Przed sobą miałem biurko, za którym na szafce stał rząd spragnionych roślin. Białą ścianę nad nimi zdobiła nazwa firmy ułożona z czarnych liter – Redword Enterprise. Na prawo od biurka, we wnęce o szarych ścianach, stał skórzany fotel o półokrągłym oparciu i stolik kawowy.

Recepcjonistka była drobna, ostrzyżona na jeża, o mlecznobiałej karnacji, różowych oczach i niebieskich ustach. Od lewego płatka jej nosa biegł złoty łańcuszek połączony z kolczykiem w lewym uchu. Górną część stroju recepcjonistki stanowił biały bezrękawnik wyglądający na wycięty z plastiku. Obok dziewczyny na blacie biurka przysiadł dobrze zbudowany, ubrany na czarno brunet o kwadratowej szczęce. Na mój widok wstał i wyprostował się, puchnąc od naprzężonych mięśni. Jakby ta prezentacja siły była niewystarczająca, ścisnął lewą pięść w prawej, metalicznej dłoni, aż w recepcji rozległ się głośny trzask kostek. Przez chwilę żałowałem, że ich nie połamał.

– Słucham – rzuciła recepcjonistka tonem zazwyczaj zarezerwowanym dla „wypierdalaj”.

– Chciałbym spotkać się z Redem – odpowiedziałem z uśmiechem i zrobiłem krok do przodu.

Mężczyzna odsunął się od biurka, ale zamiast podejść bliżej, zajął pozycję po mojej prawej stronie. Musieli mieć tu często problemy z gośćmi.

– Z kim? – Dziewczyna nie wiedziała, o kim mówię, albo dobrze udawała.

– Z Jerdem Redwordem. – Wskazałem palcem nazwę firmy wiszącą nad jej głową.

– Był pan umówiony? – spytała odrobinę łagodniej.

– Nie – przyznałem zgodnie z prawdą – ale myślę, że to nie będzie problem. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Pana Redworda nie ma – skwitowała moje zapewnienie, wracając do pierwotnego tonu. – Może pan zostawić wiadomość. Odezwiemy się do pana z wolnym terminem.

Zerknąłem w lewo na znajdujące się trzy metry ode mnie dźwiękoszczelne drzwi pokryte szarym obiciem, po czym ponownie spojrzałem na recepcjonistkę.

– Mam dosyć pilną sprawę i wydaje mi się, że pan Redword znajdzie dla mnie czas. Proszę mu przekazać, że przyszedł A...

– Pana Redworda nie ma – przerwała mi ostro recepcjonistka. – Może pan zostawić wiadomość i wyjść. – Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźnym naciskiem.

Postawny brunet zrobił krok w moją stronę.

– Nie chcę być natrętny i robić problemów – spróbowałem ponownie – ale to dla mnie ważne.

– El, wypieprz go – poleciła dziewczyna, uśmiechając się. Najwyraźniej podobał jej się taki obrót spraw.

Ochroniarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zrobił krok w przód i spróbował złapać mnie za rękaw kurtki. Obróciłem się w prawo i schodząc z linii ataku, prawym przedramieniem zbitem jego rękę. Lewą dłonią przyparłem jego prawe ramię do ciała, a podstawą prawej dłoni uderzyłem go w bok głowy, wkładając w to całą siłę. El poleciał na ścianę, przewracając kilka donic z kwiatami. Był oszołomiony, ale nie stracił przytomności. Jego problem. Nie miałem czasu na półśrodki.

Doskoczyłem do niego i piętą kopnąłem w bok kolana. Zamiast usłyszeć trzask łamanego stawu, usłyszałem swój jęk i poczułem, jak od stopy aż po pachwinę przeszywa mnie ból. Proteza, szlag by to trafił.

Mój szok dał Elowi czas na otrząśnięcie się z zaskoczenia. Ochroniarz odepchnął się od ściany i zasypał mnie gradem uderzeń. Blokowałem je, ale nie zawsze skutecznie. Zebrałem kilka ciosów na głowę i korpus, a potem potężne, proste kopnięcie wystrzeliło mnie w tył. Wyrznąłem w ścianę kilka centymetrów od szarych drzwi. Gdybym w nie trafił, temat zobaczenia się z Redem miałbym najprawdopodobniej odhaczony.

El, najwyraźniej przeświadczony o swojej dominacji, zatrzymał się i spojrzał na recepcjonistkę, chyba chcąc się upewnić, jakie wrażenie na niej zrobił. Dziewczyna klęczała na biurku i wpatrywała się we mnie roziskrzonym wzrokiem, a blade policzki pokryły się różem. Była podniecona. Kurwa, gdzie ja trafiłem!

Spróbowałem się wyprostować, czując, jak obolały żołądek usiłuje zwrócić śniadanie. El doskoczył do mnie, złapał za gardło i docisnął do ściany. Wiedziałem, że za moment stracę przytomność, i nie miałem innego pomysłu, więc zrobiłem ostatni możliwy ruch. Kopnąłem Ela w krocze tak, jakbym chciał wbić je w czaszkę. Poskutkowało. Zobaczyłem białka oczu przeciwnika, a uchwyt na mojej szyi zelżał. Nie chcąc ryzykować nagłej reaktywacji ochroniarza, lewą ręką zerwałem jego dłoń z mojego gardła, po czym zakończyłem walkę solidnym podbródkowym, posyłając go na podłogę. Wciąż był przytomny! Twardy sukinsyn. Zrobiłem krok do przodu, żeby kopnięciem w głowę wyprawić go do krainy snów, ale zrezygnowałem. Zwinięty w pozycji embrionalnej i z dłońmi między nogami sprawiał wrażenie kogoś, kto jeszcze przez długi czas nie będzie w stanie się podnieść, nie mówiąc już o walce.

Odetchnąłem głęboko, czując ból zmaltretowanej krtani, i spojrzałem na dziewczynę. Wciąż klęczała na blacie z rozdziawionymi ustami. Nasze oczy spotkały się na sekundę, po czym recepcjonistka zanurkowała za biurko.

– O nie, nie... – wycharczałem i doskoczyłem do niej w samą porę, by zobaczyć, jak wyściąga z szuflady pistolet. Nie miałem ochoty na więcej niespodzianek. Złapałem

dziewczynę za potylicę i uderzyłem jej czołem o blat biurka. Nie musiałem poprawiać. Recepcjonistka osunęła się bezwładnie na podłogę.

Za plecami usłyszałem chrzęst przeładowywanej broni. Nie czekając na polecenie, podniosłem ręce nad głowę. Kiepsko układała się ta wizyta.

– Masz, kurwa, dziesięć sekund, żeby mi wyjaśnić, kim jesteś, co tu robisz i dlaczego demolujesz mi biuro.

– Nie uwierzysz – zacząłem mówić, powoli się odwracając – ale odwiedzam starego przyjaciela.

– Arth Ven!

Łysy, dwumetrowy, czarnoskóry mężczyzna z lekkim brzuszkiem i w czerwonym dresie opuścił lufę strzelby i uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd białych zębów.

– Cześć, Red! – odpowiedziałem, opuszczając ręce. – Kopę lat.

– Arth Ven... – powtórzył, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ten sam.

Red postawił strzelbę przy drzwiach, podszedł do mnie i podał mi dłoń na powitanie, a gdy ją uścisnąłem, objął mnie i poklepał po plecach, prawie odbijając mi płuca.

– Kurwa, jak ja się cieszę, że cię widzę – powiedział, robiąc krok w tył.

– Czuję – wystękałem. – Przepraszam za to wszystko. – Wskazałem na zdemolowane biuro i leżącego na podłodze Ela.

– Czasem się zdarza. – Red wzruszył lekko ramionami i machnął ręką. – Chociaż zazwyczaj to gości trzeba zbierać z podłogi. Następnym razem zadzwoni wcześniej, a nie będziesz musiał nikogo bić.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę.

– No to ci się udało.

Red rozejrzał się po pomieszczeniu, ściągnął brwi i obszedł biurko.

– Tu jesteś – powiedział i podniósł recepcjonistkę z podłogi, po czym posadził ją na krześle i przyklęknął, żeby obejrzeć jej głowę. Poza sińcem na czole raczej nic jej nie było. – Zawsze wiedziałeś, jak się obchodzić z kobietami, nie?

– Typ romantyka. – Wzruszyłem ramionami.

– Kto ci powiedział, że tak wygląda romantyczność? W sierocińcu nas tego nie uczyli.

– Wywnioskowałem z praktyki.

– Współczuję twoim partnerkom. A to lepiej zabiorę. – Schylił się i podniósł pistolet. – Heyk jest pamiętliwa i ma trudny do opanowania temperament, a ja chciałbym, żebyś wyszedł stąd żywy.

– Dzięki, doceniam.

– Co ty tu w ogóle robisz? – Red spojrzał na Ela. W tym wypadku troska o pracownika ograniczyła się do pokręcenia głową.

– Stęskniłem się.

– Jestem, kurwa, wzruszony. Widzisz te łzy? – Odciągnął dolną powiekę, ukazując się popękanych naczynek krwionośnych. – Jak żyję, gorszej ściemy nie słyszałem. Więc?

– Może pogadamy u ciebie? – spytałem i ruchem głowy wskazałem na otwarte drzwi do biura.

– Chodź.

Red ruszył przodem, po drodze zabierając strzelbę, poczekał, aż wejde, i zamknął za nami drzwi.

Rozejrzałem się po biurze. Przestronne, jasne pomieszczenie, na oko trzy razy większe od recepcji, znajdowało się w rogu budynku. Dwie ściany w całości zajęte były oknami ukazującymi nieciekawą panoramę Mikry pełną zaniedbanych wieżowców i reklam. Po prawej stronie drzwi stało białe biurko z trzema krzesłami w układzie dwa na jeden, a dalej przeszklona i podświetlona na zielono lodówka. W przeciwnym rogu znajdowała się prosta, szara kanapa i dwa pomarańczowe fotele ustawione wokół niskiego stolika. Najciekawszym elementem wystroju było wielkie akwarium zajmujące powierzchnię całej lewej ściany.

– Napijesz się piwa? – zapytał Red, kładąc strzelbę na lodówce.

– Jasne – odpowiedziałem i ruszyłem przyjrzeć się akwarium. Nie znałem się na rybach, ale musiałem przyznać, że te były ładne, a widok zielonych, falujących delikatnie wodorostów działał kojąco. Red stanął obok i wręczył mi butelkę.

– Podobają ci się? Same wymierające gatunki. Musiałem się nieźle nakombinować, żeby je dostać. Twoje zdrowie. – Stuknęliśmy się szyjkami butelek. – Co tu robisz, Arth?

– Nie mogłem tak po prostu wpaść z wizytą do przyjaciela? – Upiłem łyk piwa. Było zimne i mokre, czyli spełniało wszystkie moje wymagania dotyczące tego trunku.

– Mogłeś, ale przez całe lata nie wpadłeś, więc coś się zmieniło albo czegoś potrzebujesz. Które z nich?

– Przyszedłem na zakupy.

Red uśmiechnął się kącikami ust, ruszył w stronę stolika i poklepał pomarańczowy fotel.

– Siadaj.

Zająłem wskazane miejsce, Red usiadł obok na kanapie. Tafle okien zmatowiały i wyświetliły widok ośnieżonych szczytów.

– Tak będzie lepiej, skoro mamy rozmawiać o interesach. Nigdy nie wiadomo, kto patrzy i słucha.

– Paranoja? – zapytałem z przekąsem.

– Taki biznes. Nadal służysz? – Red upił łyk piwa.

– Nie, rzuciłem papierami cztery lata po twoim odejściu.

– Odejściu? – Red roześmiał się głośno. – Ładnie określiłeś wypierdolenie na zbity pysk.

– No cóż, zasłużyłeś. I tak masz szczęście, że tylko na tym się skończyło. Podobno z bazy zniknęła połowa arsenału, zanim się zorientowali. Mogli cię za to rozjebać.

– Raczej sześćdziesiąt procent. – Red wyszczerzył białe zęby – I mogliby mnie rozjebać, ale musieliby wtedy też rozjebać generała Dekra, a na to nikt nie miał ochoty, zwłaszcza generał.

– On też w tym siedział?

– Tak. – Skinął głową. – Ktoś musiał firmować całe przedsięwzięcie. Ja byłem tylko zwykłym logistykiem, nikt nie wzięby mnie na poważnie.

– Zwykłym logistykiem. – Pokręciłem głową, rozbawiony. – Dobrze. Byłeś najlepszy i chyba nadal całkiem nieźle sobie radzisz. – Rozejrzałem się po biurze.

– Nie przeczę, biznes się kręci. Czasami sam nie wierzę, ile można na tym wszystkim wyrwać.

– To co ty jeszcze robisz w Mikrze? Wyprowadź się gdzieś, gdzie warto żyć.

– A ty co, gadałeś z moją żoną? Codziennie truje mi dupę o przeprowadzkę. Nie potrafi zakodować, że lubię to miejsce i odległość od instytucji stanowiących prawo w tym mieście.

– Ożeniłeś się? – Byłem autentycznie zaskoczony, bo przez całą naszą znajomość Red stronił od stałych związków.

– A myślisz, że skąd by mi się to wzięło?

Złapał się za fałd tłuszczu na brzuchu, po czym wstał z kanapy, podszedł do biurka i wrócił ze zdjęciem w ramce.

– Żona i córka.

Wziąłem ramkę do ręki. Żona Reda była bardzo atrakcyjną Azjatką o pełnych kształtach, idealnie w jego typie. Za to córka, na oko pięcioletnia, musiała odziedziczyć geny po mniej urodziwych przodkach.

– Ładne – skomentowałem, oddając zdjęcie.

– Nie pierdol. – Red rzucił ramkę na kanapę i usiadł z powrotem. – Myślałby człowiek, że jak bierze sobie ładną kobietę za żonę, to i dzieci będą ładne, ale, kurwa, nie w naszych czasach. Teraz nigdy nie wiadomo, kto i jak się modyfikował. Zawsze jest loteria i, jak widzisz, czasami się przegrywa.

– Życie w dwudziestym drugim wieku – skwitowałem uśmiechem szczerość starego przyjaciela.

– Dokładnie, kurwa. Życie. No ale nie ma co płakać, za pieniądze można wszystko załatwić. Przyjdzie czas, to i córkę ogarnę. Będzie jak mamusia. – Red spojrzał mi w oczy. – Arth, przejdźmy do konkretów. Po co tu jesteś, czego potrzebujesz?

Zamiast odpowiedzieć, odstawiłem butelkę na podłogę i wyjąłem z wewnętrznej kieszeni kurtki złożoną na pół kartkę z notatnika Lisy. Podałem ją przyjacielowi.

– Co tu masz?

Red rozłożył kartkę i przez chwilę studiował wypisane pozycje, co jakiś czas marszcząc czoło.

– Na jaką wojnę się wybierasz? – zapytał w końcu, przenosząc na mnie wzrok.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie. – Rzucił kartkę na stolik, upił łyk piwa i pochylił się w moją stronę. – Normalnie miałbym to w dupie, bo biorę kasę z góry, ale ty nie jesteś normalnym klientem. Byłeś i jesteś dla mnie jak brat. Dupkowaty i wkurwiający, ale zawsze brat. Ta lista mówi mi, że bierzesz się do czegoś poważnego. Zbyt poważnego jak na jedną osobę.

– Może tak być – przyznałem. – Ale nie mów mi, że w związku z tym chciałbyś się przyłączyć?

– Pojebało cię? – prychnął Red. – Z nas dwóch tylko ty miałeś skłonności samobójcze. Znam za to odpowiednich ludzi do każdej roboty. To profesjonaliści. Robią swoje, nie zadają zbędnych pytań i mają odpowiednio krótką pamięć. Problemem może być jedynie cena. Sprzęt dam ci po kosztach, ale oni nie negocjują stawek.

– Nie, Red. – Pokręciłem głową. – Doceniam twoją ofertę, ale im mniej ludzi jest wtajemniczonych, tym lepiej. Swoich stawek też nie zmieniam. Jak coś pójdzie nie tak, to przynajmniej ty nie stracisz.

– Za dużo masz kasy?

– Wystarczająco.

Nie przesadzałem. Oprócz ubezpieczenia miałem jeszcze dostęp do pieniędzy skradzionych przez Thendera i Whizkica. Nikt nie zauważył ich przekrętu, więc Viki postanowiła zabezpieczyć bezpieczne środki na potrzeby naszej operacji.

– Nie ma czegoś takiego jak wystarczająco dużo kasy. Zawsze jest jej za mało. Zawsze. Zapamiętaj to, Arth.

– Nie bądź takim materialistą. Podobno wszystko, co najlepsze w życiu, dostaje się za darmo. Mnie poznałeś za darmo. – Puściłem oczko w stronę przyjaciela.

– I w jaki sposób to jest to najlepsze?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Heyk. Teraz zwróciłem uwagę, że oprócz białego bezrękawnika miała na sobie bardzo krótką mini wykonaną z takiego samego materiału. Zgrabne nogi dziewczyny zdawały się ciągnąć w nieskończoność. W ręce trzymała kij bejsbolowy.

– Wszystko w porządku, szefie? – zapytała, wpatrując się we mnie.

– Tak – odpowiedział Red. – To mój stary przyjaciel.

– Aha. – Heyk dotknęła sińca na głowie, przygryzła dolną wargę i uśmiechnęła się do mnie.

– Przepraszam za czoło. – Byłem tak zaskoczony jej uśmiechem, że nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Jak tam El? – zapytał Red.

Heyk zerknęła za siebie.

– Leży – odpowiedziała i ponownie skierowała wzrok na mnie.

– Niech leży. Skoro już tu jesteś, możesz podać nam piwo? – Red ubrał polecenie w formę pytania.

– Jasne.

Heyk postawiła kij przy drzwiach, wyciągnęła z lodówki dwie butelki, otworzyła je i podeszła do nas, kołysząc biodrami. Stanęła między mną a stolikiem, po czym pochyliła się i postawiła butelkę przed Redem. Musiałem przyznać, że trafiały mi się w życiu gorsze widoki. Heyk odwróciła się w moją stronę, ale zamiast podać mi piwo do ręki, wcisnęła je między moje uda tak głęboko, że poczułem chłód butelki na jądrach.

– Dzięki, Heyk – powiedział Red z uśmiechem. – Zostaw nas teraz samych.

– Jasne, szefie. – Dziewczyna przeciągnęła palcem po moim ramieniu i ruszyła ku recepcji.

– Polubiła cię – skomentował Red, gdy zniknęła za zamkniętymi drzwiami.

– Faceta, który jej wpierdolił? – spytałem, wyciągając butelkę spomiędzy nóg.

– Może jest taką samą romantyczką jak i ty. – Wzruszył ramionami. – Ale wróćmy do naszych spraw. Jesteś pewien, że nie potrzebujesz żadnego wsparcia? – Najwyraźniej nie miał zamiaru łatwo ustąpić. – Przemyśl moją propozycję. Niektórych rzeczy nie powinno się robić w pojedynkę.

– Nie będę sam.

– Nie? – Rzucił okiem na listę. – Mnie się jednak wydaje, że będziesz. Widzę tu sprzęt dla jednego człowieka.

– Nie mówię o ludziach. Potrzebuję, żebyś mi załatwił dwa androidy bojowe piątej klasy, najlepiej w wersji do misji specjalnych.

Red uniósł brwi i zamrugął z niedowierzaniem.

– Kurwa, i co jeszcze? Może wahadłowiec do wakacyjnych wypadów na Marsa? Chociaż z tym pewnie byłoby łatwiej. Arth, pojebało cię?

– Nie, ale skoro o tym mowa, to przydałby mi się korporacyjny transportowiec. Rozkodowany.

Red opadł na oparcie kanapy i milczał przez kilka chwil. W końcu wziął głęboki oddech i pokręcił głową.

– W co ty się, człowieku, pakujesz?

– Spokojnie. – Upiłem łyk świeżego piwa. – Cokolwiek to jest i jakkolwiek się skończy, nigdy nic o tym nie usłyszysz. Gwarantuję ci. To co, dasz radę załatwić te androidy i transportowiec?

– Ile mam czasu?

– Tydzień, może dwa.

Red pochylił się w stronę listy leżącej na stoliku i ponownie przeanalizował jej zawartość. Tym razem trwało to dłużej niż za pierwszym razem, ale nie miałem zamiaru przeszkadzać i cierpliwie czekałem.

– Ten sprzęt – palec wskazujący Reda spoczął na kartce – załatwię. Transportowiec to trochę grubszy temat, ale też ogarnę, tylko że będę na to potrzebował raczej dwa tygodnie niż jeden. Z androidami jest większy problem. Nie ma szans na wojskowe, nie w tak krótkim czasie. Mam za to policyjne. Nie są tak dobre, ale przeprogramowaliśmy je i wzmocniliśmy na miejscu. Made in Mikra. Nie mam pojęcia, po co ci one, ale mam nadzieję, że dadzą radę.

XV

– Czyli Vertas spierdoliło sprawę? – upewniłem się, że dobrze zrozumiałem sens długiej wypowiedzi Viki.

– Dokładnie – przytaknęła. – Teraz wiem, dlaczego Otręsa i Lakre zniknęli. Frajerzy.

Bujała się na krześle, wyraźnie zadowolona, i wcale jej się nie dziwiłem, bo sam też trochę się odprężyłem. Błąd Vertas był pierwszą dobrą wiadomością od prawie dwóch tygodni. Z opowieści Viki wynikało, że organizacja miała poważny problem z DX-ami. Okazało się, że wgranie osobowości nie usuwa poprzednich, a tylko je nadpisuje. Nowa zaczyna współistnieć z poprzednimi. Na początku zawsze dominuje, dlatego łatwo to przeoczyć, ale po kilku tygodniach wszystkie rekordy zaczynają się przenikać i łączyć we wspólną jaźń. Jedynym sposobem na uniknięcie tego procesu jest dogłębne sformatowanie mózgu DX-a przed wgraniem nowej osobowości, ale nikt tego nie robił w obawie przed uszkodzeniami. Wartością Reyzy i Kori była wyjątkowa siła, z jaką ich umysły oddziaływały na siebie nawzajem i na fanów, a ta wraz z upływem czasu słabła. Vertas, chcąc utrzymać przy życiu kurę znoszącą złote jajka, nie miało wyjścia i musiało organizować regularne sesje korekcyjne, a to dawało nam szansę na przeprowadzenie naszej operacji.

Znajdowaliśmy się na obrzeżach Mikry, a właściwie kilkadziesiąt metrów pod nią, w pomieszczeniu oświetlonym lampami symulującymi blask dnia. Kiedyś był to zapewne jakiś magazyn, ale teraz – z rzędami monitorów i całym sprzętem zorganizowanym przez Reda – przypominał laboratorium. Viki wyszukała to miejsce przed laty, gdy ukrywała się przed oddziałami likwidacyjnymi. Miała zamiar zorganizować tu gniazdo, ale wpadła, zanim zrealizowała swój plan. Gdyby jej się udało, pewnie siedziałaby tutaj do tej pory, bo magazyn miał kilka zalet czyniących z niego idealną kryjówkę. Dysponował niezależną, pełną infrastrukturą i bezpośrednim połączeniem z siecią kanałów ciągnących się pod całym miastem. Zgodnie z zapewnieniami Viki można było nimi dotrzeć praktycznie wszędzie, nie pokazując się nikomu na oczy. Nad nami znajdowały się stare hale fabryczne, nieczynne od tak dawna, że z billboardów zachęcających do ich wynajęcia zdążyła zejść cała farba. Dodatkowo w pobliżu budynków rozciągał się spory kawał skażonego terenu. Władze twierdziły, że został prawidłowo oczyszczony i zabezpieczony, ale od dawna brakowało chętnych do zweryfikowania tych zapewnień.

Wyświetliłem na monitorze mapę Steris z punktami oznaczającymi apartamenty naszych gwiazd.

– Wiesz, kiedy będzie kolejny transport?

– Nie, ale oddziaływanie słabnie, więc pewnie wkrótce.

– Często robią te korekty?

– Z logów wynika, że mniej więcej co pięć tygodni.

– Okej, to znaczy, że nie musimy się śpieszyć. Możemy spokojnie wszystko zaplanować i uderzymy, gdy będziemy gotowi.

– No nie – zaprzeczyła Viki, robiąc zdziwioną minę. – Przecież oni niedługo wyjeżdżają.

– Gdzie, kurwa, wyjeżdżają?

– Jak to: gdzie? Na Wschodnie Wybrzeże. Zaczynają swoje tournée i nie będzie ich tu kilka miesięcy. Co z ciebie za fan, że tego nie wiesz? – Viki uśmiechnęła się krzywo.

– Ja pierdolę – warknąłem i uderzyłem dłonią w biurko, zły na siebie, że zapomniałem o czymś tak istotnym.

Ponownie spojrzałem na mapę. Geografia nam nie sprzyjała. Bez względu na to, gdzie dokonamy przechwycenia, czekało nas przynajmniej dwadzieścia minut lotu, zanim osiągniemy granice Mikry. Dwadzieścia minut z wymalowaną na dupie wielką czerwoną tarczą, w którą będzie celowało całe Vertas.

Pieprzone porwania. Nigdy ich nie lubiłem, bo zawsze były trudne i wymagały cholernie dużo przygotowań. W przeszłości mogłem jednak przynajmniej liczyć na kumpli z oddziału, eksabajty danych i setki symulacji pomagających wybrać właściwy scenariusz. Teraz miałem siebie, Viki i więcej pytań niż odpowiedzi.

Wiedza Viki pomagała, choć było jasne, że organizacja nadal stosuje wobec niej zasadę ograniczonego zaufania. Pełniła funkcję zabezpieczenia technicznego, ale wciąż nie miała pełnego dostępu do informacji operacyjnych, więc wiele rzeczy musiałem wywęszyć samemu. W ciągu ostatnich tygodni bywałem na występach Reyzy i Kori tyle razy, że dostałem zniżkę na wejściówki i zaproszenie do fanklubu. Nie miałem też problemu z rozpoznawaniem ochroniarzy, zarówno oficjalnych, jak i tych wmieszanych w tłum. Kilka twarzy wyglądało znajomo, ale nie rozpoznałem nikogo z moich kumpli. Chociaż tyle. Już i tak źle się czułem z myślą, że jestem zdrajcą, więc szansa na to, że nie zabiję żadnego ze swoich, stanowiła jakieś pocieszenie.

Od początku wiedziałem, że próba porwania w czasie koncertu miała tyle sensu co dziecięca krucjata. Gdybym nawet jakimś cudem wymyślił, jak pozbyć się ochroniarzy, to tłum połączonych umysłami półzombie rozszarpałby mnie na kawałki. Viki twierdziła, że to mało realny scenariusz, i dysponowała naukowym bełkotem na uzasadnienie swojej teorii, ale jakoś nie pałała chęcią do przeprowadzenia testów.

Podobnie miała się sprawa z czasem przed występem i po nim. Nasza para nigdy nie przebywała w żadnym miejscu dłużej, niż to było konieczne. Zjawiała się dokładnie o wyznaczonym czasie i znikwała od razu, gdy przebrzmiał ostatni utwór. Żadnych bisów, wywiadów czy autografów.

Przez chwilę miałem pomysł, żeby przejąć ich w locie albo zmusić do lądowania w jakimś dogodnym miejscu, ale wystarczyło przyjrzeć się limuzynie, żeby zrezygnować z tej koncepcji. Pojazd tylko pozornie wyglądał na cywilny. W rzeczywistości był opancerzony i uzbrojony jak wahadłowiec szturmowy. Gdybym tylko wtargnął w obręb strefy bezpieczeństwa, moje dupsko zmieniłoby się w sztuczną kometę – i wcale nie była to metafora. Kilka tygodni wcześniej jakieś dzieciaki skombinowały rozkodowaną taksówkę i postanowiły nawiązać bliższy kontakt ze swoimi idolami. Pewnie nie liczyły

na tak gorące powitanie, jakie zgotowało im działko limuzyny. W mediach rozpętała się krótka burza, po której Reyza i Kori wypłacili wielomilionowe odszkodowania krewnym dzieciaków, w zamian zyskując kilka milionów nowych fanów. Reguły show-biznesu nie przestawały mnie zadziwiać.

Aby móc uczciwie powiedzieć, że rozważyłem wszystkie opcje, zaproponowałem też w pewnym momencie laboratoria Vertas, ale od razu zgodziliśmy się, że w tym przypadku mogłbym równie dobrze od razu strzelić sobie w łeb.

Pozostawało nam porwanie z domu. Tu sprawa była o tyle skomplikowana, że nasze gwiazdy posiadały kilka apartamentów i tylko pieprzony algorytm wiedział, w którym będą akurat nocować. Podążanie za limuzyną po koncercie nie wchodziło w grę. Komunikacyjna SI stale monitorowała trajektorię wszystkich pobliskich pojazdów i każde podejrzane zachowanie było sprawdzane przez oddział szturmowy policji. Niezbyt miła ewentualność, nawet gdybym nie miał niczego na sumieniu.

Po kilkunastu dniach obserwacji byliśmy gotowi uznać, że sytuacja wygląda na beznadziejną. Jednak tego ranka zjawiła się Viki, z tym swoim uśmiechem przyniosła newsa o problemie Vertas i oznajmiła, że na podstawie logów poprzednich sesji korekcyjnych ustaliła adresy apartamentów. Wszystkich apartamentów. Tak po prostu. Siedząc na dupie w laboratorium. Kurwa.

– Ile dni wcześniej będziesz wiedziała o korekcie? – zapytałem, stukając palcem w mapę i wyświetlając wizualizację zaznaczonych miejsc. Same szczytowe piętra luksusowych wieżowców z prywatnymi lądowiskami i systemami zapewniającymi maksymalny poziom prywatności. To dawało nadzieję.

– Dni? Chciałbyś, Arth. Dowiem się dwie, może trzy godziny przed transportem, jak tylko zacznie się procedura uspienia. – Viki wstała z krzesła i stanęła obok mnie.

– Dwie godziny? – Spojrzałem na nią. – Nie pomagasz mi.

Rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Nic ci na to nie poradzę. Wcześniej nikt nie wie.

– Zajebicie – skrzywiłem się, ponownie wbijając wzrok w mapę.

– Spokojnie. Dasz radę.

– No pewnie. Wystarczy tylko porwać DX-y, przetransportować je tutaj, podłączyć do tego całego badziewia – ręką wskazałem na zgromadzony wokół sprzęt – sformatować im osobowości i przeprowadzić metamorfozę, przy okazji dbając o to, żeby nie dać się zabić i niczego nie spierdolić.

– Tak właśnie. Banał. – Viki położyła dłoń na moim ramieniu. – DX-y będą uspiene przez dwanaście godzin. Dasz radę.

– Nie irytuj mnie, Viki. – Zrzuciłem dłoń przyjaciółki. – Może zamienimy się miejscami? Ty przeprowadzisz całą akcję, a ja w tym czasie będę udawał, że cię szukam, popijając kawę i wpięprzając pączki?

– Nie lubię pączków. A poza tym Vertas mogłoby mieć z tym problem.

– Taa, bo akurat obecny plan w pełni zaakceptują.

Odwrociłem się od ekranu i podszedłem do przeciwległej ściany, pod którą leżały dwie ciemnozielone skrzynie, każda wielkości trumny. Wpisałem kod na panelu jednej z nich

i wieko uniosło się, ukazując antyterrorystycznego androida w policyjnym malowaniu i ze zdrapanymi emblematami jednostki.

– Dobrze, że mam chociaż was – mruknąłem do siebie.

* * *

Oderwałem wzrok od czubków wojskowych butów i spojrzałem na androidy. Siedziały w transportowcu, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, i tylko niebieskie diody umiejscowione w ich skroniach pobłyskiwały w regularnych odstępach, potwierdzając aktywność. Androidy miały wiele zalet: były posłuszne, wierne, dysponowały siłą ognia plutonu, zapewniały precyzję działania bez względu na otaczający je chaos i – przede wszystkim – były androidami, narzędziami stworzonymi i zaprogramowanymi do wykonania określonego zadania. Nikt ich nie chwalił, gdy zwycięsko wracały z misji, a kiedy zamieniały się w kupę poskręcane i dymiącego żelastwa, nikt po nich nie płakał, może poza logistykami i księgowymi, którzy jako jedyni zdawali się rozwijać uczucia względem materii nieożywionej.

Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego ludzie starali się upodobnić androidy do siebie. Z jednej strony na każdym kroku podkreślano ich przedmiotowość, a z drugiej chciano, żeby wyglądały, poruszały się, a nawet zachowywały jak ludzie, zupełnie jakby bez tego nie były godne odgrywać roli naszych sług. Na dodatek w tej aurze wszechobecnej pogardy ludzie nie zauważali, że androidy, pomimo ograniczeń i niedoskonałości, często bywały bardziej ludzkie od swoich stwórców. Nigdy nie widziałem, żeby dopuściły się zbrodni wojennej. Nie wchodziły do szpitali, nie zabijały z nienawiści, szaleńczej żądzy krwi ani dla kaprysu. Zawsze przestrzegały wszystkich rezolucji i praw mających na celu ucywilizowanie najmniej cywilizowanego aspektu naszego świata.

Oczywiście istniały sposoby, żeby zmusić je do zrobienia czegoś wbrew zaprogramowanym zasadom, ale czy można je było za to winić? Czy będzie można oskarżać ABX45767 i ABY98830 o to, że wbrew swojemu przeznaczeniu do bycia stróżami prawa zostały wykorzystane, by to prawo złamać? Może. Ale to rozważania na później. Na razie miałem tylko nadzieję, że okażą się doskonałymi przestępcami.

* * *

03:14:59

03:15:00

Równocześnie ze zmianą trzech ostatnich cyfr na wyświetlaczu zegara wokół lądowiska zapaliły się zielone światelka informujące o dezaktywizacji systemu obronnego. Rozsunęły się drzwi prowadzące do apartamentu i na dach wyszły dwie czteroosobowe grupy ludzi zgromadzone wokół łóżek, na których leżały nieprzytomne DX-y. Na ich widok poczułem silniejsze bicie serca, adrenalina dawała znać o rozpoczęciu właściwej akcji. Odwróciłem wzrok od ekranu, założyłem osłonę twarzy i spojrzałem na androidy stojące przy drzwiach transportowca. Przywołałem dane o ich statusie, po raz

setny upewniając się, że są gotowe i ustawione w tryb odbijania zakładników. Wysokościomierz odliczał metry dzielące nas od lądowiska. Przy pięćdziesięciu uderzyłem w przycisk i otworzyłem boczne drzwi luku. Kabinę wypełnił szum silników i czerwień świateł pokładowych. Podszedłem do drzwi, złapałem się uchwyty i wystawiłem głowę na zewnątrz. Pod sobą miałem zbliżający się dach wieżowca, a na horyzoncie pobłyskiwała nadciągająca burza. Zupełnie jakby brakowało mi w życiu dramatyizmu.

03:15:30

Cztery i pół minuty do zjawienia się transportu Vertas. Nikt nie patrzył w naszym kierunku. Rutyna i imponujące błyskawice rozjaśniające niebo zrobiły swoje. Osiem metrów. Androidy wyskoczyły z transportowca i zaczęły strzelać w ruchu, przemieszczając się ku celom. To byłaby rzeź, gdyby strzelały prawdziwą amunicją, a nie pociskami obezwładniającymi. Małe czarne krążki wczepiały się w skórę głowy ochroniarzy i powalały ich, jednego po drugim, wśród błękitnych isker ładunków elektrycznych. Dwa metry. Wyskoczyłem z pojazdu i z karabinem w rękach ruszyłem biegiem po płycie lądowiska.

Czterech pierwszych ochroniarzy padło, nim zdążyli się zorientować, że zostali zaatakowani. Pozostała czwórka zauważyła androidy i sięgnęła po broń. Byli szybcy, rozproszyli się i oddali kilka strzałów, które zrykoszetowały od pancerzy androidów. To był cały opór, jaki zdołali stawić, nim kilka sekund później wylądowali na ziemi, drgając w konwulsjach i lejąc w gacie.

– Porywacze zneutralizowani – zameldował ABX45767.

Dopadłem do łóżek. DX-y miały na twarzach maski, a na piersiach monitory informujące o głębokości narkozy. Sprawdziłem ich funkcje życiowe i upewniłem się, że nie mają żadnych nadprogramowych dziur. Wszystko wyglądało dobrze.

Poczułem, jak coś łapie mnie za nogi i próbuje się po nich wspiąć. Spojrzałem w dół i zobaczyłem ochroniarza. Był oszołomiony, ale wciąż przytomny. Uderzyłem go w głowę kolbą karabinu raz, a potem drugi, tak dla pewności.

03:16:15

– Zabezpieczyć teren – rozkazałem, pchając łóżko z Kori w stronę lądowiska.

Androidy pobiegły bliżej wyjścia z apartamentu, przykleknęły i wycelowały broń w szklane drzwi. Współczułem temu, kto spróbuje przez nie przejść.

Podjechałem łóżkiem pod transportowiec, ledwo wyhamowując przed burtą. Wskoczyłem na pokład i wciągnąłem nosze z Kori do środka. Zabezpieczyłem ją pasami i sprintem wróciłem po drugiego metamorfa.

Pchnąłem mocno łóżko i razem z nim wyrznąłem na ziemię.

– Kurwa! – warknąłem, zrywając się na nogi.

Kłęknałem przy Reyzie, odwróciłem go na plecy i spojrzałem na monitor. Najwyraźniej kontakt z betonem nie zrobił na nim większego wrażenia, bo wykres narkozy nawet nie drgnął. Chociaż tyle. Spojrzałem na łóżko. Jedno z kółek było kompletnie roztrzaskane, najprawdopodobniej przez zabłąkaną kulę.

– Zawsze, kurwa, coś – wyszczałem, zarzucając sobie Reyzę na ramię.

DX zdecydowanie nie należał do wagi ciężkiej i w kombinezonie mógłbym spokojnie nieść trzech takich jak on i nawet tego nie poczuć. Woląłem jednak nie ryzykować kolejnego spotkania z powierzchnią dachu, dlatego nie biegłem zbyt szybko. Dotarłem do transportowca i położyłem Reyzę obok Kori, tak delikatnie, jakbym kładł dziecko do łóżeczka, a następnie przypiąłem go pasami do pokładu.

03:17:30

– No i po robocie. Banał – powiedziałem sam do siebie i od razu tego pożałowałem.

Przez odgłosy nadciągającej burzy i szum silników dotarł do mnie dźwięk ciężego metalu. Odwróciłem się i zobaczyłem postać uzbrojoną w dwa lśniące ostrza, tnącą androidy na kawałki. Nie wiedziałem, jakim sposobem napastnikowi udało się do nich zbliżyć, ale teraz w bezpośrednim starciu blaszaki nie miały większych szans. Były zbyt wolne. Bez trudu mogłyby skopać dupę przeciętnemu frajerowi na ulicy, ale nie profesjonalście.

Napastnik wirował między nimi z wdziękiem baletnicy, odcinając im ręce, po czym opadł na kolano i dwoma równoczesnymi cięciami obciął im nogi. Wprostował się i nim androidy padły na ziemię, jakby od niechcienia ściął im głowy. Egzekucja trwała nie dłużej niż trzy sekundy. Pokiwałem głową z uznaniem, stanąłem w drzwiach transportowca i rozpocząłem wznoszenie.

Napastnik podbiegł kilkanaście kroków i znalazł się w snopie światła rzucanego przez transportowca. Patrzyłem na kobietę ubraną w czarne obcisłe spodnie i brązowy top bez pleców. Nie musiałem widzieć dokładnie jej twarzy, żeby nie mieć wątpliwości, kim była. Domyślałem się, że Nami jest niebezpieczna, ale nie wiedziałem, jak bardzo. Uniosłem rękę do czoła i zsalutowałem. Nami również uniosła ręce, ale nie miała zamiaru oddawać honorów. Zniknęły ostrza, którymi jeszcze przed kilkoma sekundami szatkowała moje blaszaki. Teraz w rękach trzymała granatnik zabrany jednemu z androidów. Sięgnąłem do kabury po pistolet, ale nim zdążyłem wycelować, granat uderzył w burtę transportowca. Podmuch eksplozji wyrzucił mnie na zewnątrz.

* * *

Plan to najważniejsza rzecz przed bitwą i najbardziej bezytyeczna w czasie bitwy. Po raz kolejny odkrywałem tę prawdę. Leżałem na dachu wieżowca, w uszach mi dzwoniło, w oddali widziałem ciemny punkt odlatującego transportowca, a gdzieś w pobliżu znajdowała się zabójczyni, która lada moment mogła dokończyć dzieła. Kurwa, a miałem taki dobry plan...

Uniosłem się na łokciach i natychmiast poczułem ból połamanych żeber. Poszukałem wzrokiem pistoletu, który jeszcze przed chwilą trzymałem w dłoni. Nie znalazłem go. Przewróciłem się na bok i wstałem, starając się nie oddychać zbyt głęboko.

Aktywowałem tryb walki wręcz. Czarne ostrza tanto, do tej pory przylegające do przedramion kombinezonu, rozłożyły się z miękkim kliknięciem, jak scyzoryki. Postać stojąca kilkanaście metrów ode mnie odrzuciła granatnik i zrobiła krok do przodu. Skóra

na jej rękach stała się srebrzyście metaliczna i spłynęła jak rtęć, formując trójkątne ostrza.

Jeszcze przed chwilą przeszło mi przez myśl, że mam fart, bo mimo wszystko wciąż żyję, co nie zdarza się często po zawarciu bliższej znajomości z granatem. Jednak patrząc teraz na Nami, zbliżając się do mnie niczym puma do przekąski, przyszło mi do głowy, że może rozerwanie na strzępy nie było najgorszą alternatywą.

Domyślałem się, że zanim mnie zabije, najpierw zechce ustalić, dokąd poleciał transportowiec – to była dobra wiadomość. Zła była taka, że aby udzielić tej informacji, wcale nie musiałem pozostać w jednym kawałku.

Perspektywa walki wręcz nie napawała mnie optymizmem, ale nie miałem w tej kwestii wielkiego wyboru. Straciłem pistolet, karabin został w pojeździe, niczego innego nie było w pobliżu. Pozostało mi zaufać umiejętnościom i wspomagającej chemii kombinezonu. Aktywowałem tryb awaryjny i poczułem mrowienie na całej skórze. Mikroskopijne igły wbiły się w ciało i wpompowały w nie cały zapas wspomagaczy. Ból żeber złagodniał od razu, serce zabiło mocniej od dodatkowej dawki adrenaliny, a zmysły się wyostrzyły.

– Powiedz mi, gdzie są DX-y, a skończę to szybko i prawie bezboleśnie. – Głos Nami był zimny i złowróźbny. Zupełnie inny niż ten, który zapamiętałem.

Milczałem. Nie wiedziała, kim jestem, a ja nie powinienem jej pomagać w odkryciu prawdy.

– Jak wolisz – powiedziała z brzydkim uśmiechem. – Będzie bolało.

Nami skoczyła w moją stronę. Ostrza zaświszczały, ale przecięły tylko powietrze. Za pierwszymi cięciami podążyły następne. Nie ustawała w ataku. Robiłem uniki, ale coraz mniej dzieliło mnie od srebrzystego metalu. Kolejne zdradliwe cięcie od dołu. Zdołałem odskoczyć i od razu zaatakowałem pchnięciem, lecz Nami już tam nie było. Kątem oka zobaczyłem, jak ostrze zmierza w kierunku mojej nogi. Spróbowałem uciec, ale za wolno. Poczulem uderzenie i ból. Straciłem równowagę i runąłem na ziemię przekonany, że zamiast nogi mam krwawiący kikut. Kolejny cios nie nadchodził. Spojrzałem w dół i z zaskoczeniem zobaczyłem, że udo znaczy jedynie niezbyt głęboka rana.

Poszukałem wzrokiem Nami. Stała spokojnie kilka kroków ode mnie i patrzyła na mnie z zadowoleniem. Miała przewagę i doskonale o tym wiedziała. Mogła mnie teraz dopaść, ale najwyraźniej dostarczałem jej rozrywki, więc chyba postanowiła się ze mną pobawić.

Podniosłem się z ziemi. Nami uśmiechnęła się, jakbym właśnie się jej oświadczył. Gdy tylko stanąłem wyprostowany, skoczyła do przodu, celując w pierś. Nie wiem, jak tego dokonałem, ale zdołałem zablokować jej atak. Uderzenie było na tyle silne, że wstrząs poczułem w całym ciele.



Przez moment staliśmy twarzą w twarz, krzyżując broń między sobą. Na osłonie hełmu zobaczyłem parę oddechu Nami. Może i była chodzącą maszyną do zabijania, ale męczyła się tak samo jak ja. Krople potu na jej czole nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Wykorzystując przewagę masy i kombinezonu, odepchnąłem ją od siebie. Zaryzykowałem oparcie się wyłącznie na zranionej nodze i wyprowadziłem proste kopnięcie, wkładając w nie całą siłę. Nami poleciała w tył, uderzyła o płytę lądowiska i poszorowała nagimi plecami po betonie. Musiało zboleć, ale nie wyrządziło jej większej krzywdy, bo ledwie się zatrzymała, zrobiła przewrót w tył przez lewe ramię, podparła ostrzami i stanęła na nogach.

Żarty się skończyły. Widziałem to w jej twarzy wykrzywionej wściekłością. Poćwiartuje mnie przy pierwszym starciu, nie było co do tego wątpliwości. Miałem ostatnią szansę, żeby wyjść z tego w jednym kawałku.

Nami krzyknęła i zaatakowała. Kiedy znalazła się trzy metry ode mnie, uniosłem ręce. „Nigdy nie rzucaj nożem. Możesz chybić i zostaniesz bez broni” – zabrzmiał mi w głowie głos sierżanta z unitarki, gdy czarne ostrza oderwały się od przedramion i wystrzelone małymi ładunkami pomknęły na spotkanie Nami. Sierżant pewnie wiedział, co mówi, ale tym razem nie chybiłem.

Pierwsze ostrze weszło między lewe ramię i obojczyk, a drugie zagłębiło się w dolne żebro po prawej stronie. Siła uderzenia pociągnęła Nami w tył i rzuciła na ziemię. Od razu zaczęła się podnosić, ale nie zamierzałem jej na to pozwolić. Doskoczyłem do niej w kilku susach, stanąłem na jej prawej ręce i uderzyłem ją pięścią w głowę. Padła nieprzytomna. Krwawiła obficie z ran po ostrzach i przez chwilę rozważałem, czy ją opatrzeć, ale czas naglił.

03:19:15

Nagle na dach wieżowca padł cień. Spojrzałem w górę. Zobaczyłem transportowiec Vertas podchodzący do lądowania. Musiałem stąd spieszyć.

– Przepraszam, Nami – rzuciłem w kierunku nieprzytomnej kobiety i pobiegłem w stronę apartamentu.

XVI

„Banał. Dasz radę. To banał...”

Słowa Viki dźwięczały mi w uszach jak szyderczy śmiech, gdy pędziłem schodami w dół wieżowca. Trzysta pieprzonych pięter! Ponad kilometr. Byłem pewien, że nim dotrę na parter, stanę się kilka centymetrów niższy od walenia nogami o stopnie.

Drażniły mnie drzwi wind mijane po drodze. Gdybym mógł z nich skorzystać, byłbym już dawno na dole. Kilkadziesiąt sekund jazdy i po sprawie, bez kropli potu. Niestety, tak jak wszędzie, zamki genetyczne autoryzowały wyłącznie lokatorów i obsługę. Umiałem zhakować taki zamek, ale to trwało, a opcja windy z każdą chwilą stawała się coraz bardziej ryzykowna. Teraz już za nic w świecie nie wsiadłbym do żadnej z nich. Nie miałem ochoty utknąć w zablokowanej, stalowej klatce, mając sporo czasu na przemyślenie wariantów samobójstwa.

„Banał. Dasz radę. Banał...”

Podświetlone tabliczki z numerem piętra migwały mi przed oczami. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co się teraz działo na górze. Ludzie biegający po dachu, gorączkowe wzywanie posiłków, cucenie ochroniarzy i pośpieszne próby zrozumienia tego, co tam się właściwie wydarzyło. Czekala ich niełatwa łamigłówka. Uśmiechnąłem się mimowolnie na myśl o biedaku, który będzie próbował wpasować w to wszystko rozczłonkowane policyjne androidy.

Zamieszanie na lądowisku powinno dać mi kilka, może kilkanaście minut przewagi nad pościgiem. Wszystko zależało od Nami, a właściwie od tego, w jakim była stanie. Nie życzyłem jej źle i miałem nadzieję, że dojdzie do siebie, ale wolałbym, żeby nie nastąpiło to zbyt szybko. Jeżeli odzyska przytomność i zacznie mówić, ktoś natychmiast się zorientuje, że nadal jestem w budynku, a wtedy będzie po mnie. Przyspieszyłem.

„Banał. Dasz radę. Banał...”

Światła nad windami zapaliły się na czerwono. Wiedzieli. Na szczęście byłem już prawie na parterze.

Zbiegłem kolejne dwa piętra i stanąłem przed stalowymi drzwiami, odgradzającymi najniższe poziomy od części apartamentowej. Ich widok tak mnie zaskoczył, że kilka sekund gapiałem się na nie w bezruchu. Uświadomiłem sobie, że nigdy w życiu nie byłem tak nisko w żadnym z apartamentowców. Nawet nie wiedziałem, czego mam się spodziewać po drugiej stronie. W końcu wyrwałem się ze stuporu, przykleiłem nad zamkiem małą minę kumulacyjną i wycofałem się na półpiętro.

– Czysta finezja – powiedziałem sam do siebie i odpaliłem ładunek.

Huk nie był głośny, bardziej przypominał wystrzał z pistoletu niż eksplozję. Odepchnąłem uchylone drzwi i ruszyłem korytarzem słabo oświetlonym zielonymi

panelami. Stan korytarza i liczba drzwi po obu jego stronach jednoznacznie wskazywały na mieszkania biedoty. Jeden budynek, dwa światy.

Dobiegłem do drzwi na końcu korytarza i wpadłem na kolejną klatkę schodową. Długimi skokami pokonałem ostatnie piętra. Wyjścia na parterze strzegła metalowa brama wyposażona w zamek elektroniczny. Powtórzyłem sztuczkę z miną kumulacyjną i znalazłem się w wielkim, przeszklonym holu pozbawionym jakichkolwiek mebli czy ozdób. Byłem na poziomie ulicy, którą widziałem za szybami, ale nigdzie nie dostrzegałem wyjścia. Zamiast tego przy jednej ze ścian zobaczyłem grupkę ludzi siedzących na podłodze. Podbiegłem do nich.

– Wyjście! Gdzie jest wyjście?! – krzyknąłem.

Moje pojawienie się ani mój głos nie zrobiły na nich wrażenia. Flegmatycznie unieśli na mnie wzrok i patrzyli bez śladu zainteresowania czy zrozumienia na twarzach. Ich ciała były blade, wychudzone i niekompletne. Niektórym brakowała oka, innym ręki lub nogi. Znałem ten obraz z Mikry, gdzie należał do codzienności, ale tu nie spodziewałem się go zobaczyć. Ćpuni. Gdy nie mieli już za co kupować narkotyków, sprzedali swoje augmentacje.

– Gdzie jest pieprzone wyjście?! – wrzasnąłem ponownie, ale i tym razem nie uzyskałem odpowiedzi.

Nie miałem czasu na dalsze dociekanie. Skoro nie mogłem znaleźć wyjścia, to musiałem zrobić sobie własne. Odczepiłem z pleców zabrany z dachu karabin androida, przełączyłem go na amunicję obezwładniającą i strzeliłem w szybę. Tysiące szklanych fragmentów posypały się na chodnik i posadzkę holu. Narkomani siedzieli niewzruszeni i tylko zaskoczeni przechodnie spojrzeli w moją stronę. Niektórzy zatrzymali się z zainteresowaniem, wskazując sobie okruchy stłuczonego szkła, podczas gdy inni oddalali się pośpiesznie, zerkając za siebie. Cofnąłem się do grupy siedzących w środku, złapałem najbliższego z nich za ubranie i wyrzuciłem go przez pustą ramę na chodnik. Żaden z jego kolegów nie zaprotestował. Typ leżał na plecach, ociężałe poruszając kończynami, a ja miałem nadzieję, że to on zostanie zapamiętany przez przechodniów jako ten, który zbił szybę. Oczywiście prawda wyjdzie na jaw, ale każde opóźnienie działało na moją korzyść.

Zaczepliłem karabin w uchwycie na plecach, zdarłem z kolejnego ćpuna płaszcz i jakąś brudną chustę. Płaszcz zarzuciłem sobie na ramiona, szmatą owinąłem sobie głowę i wyszedłem na zewnątrz.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i spojrzałem w górę. Nad dachem wieżowca panował ożywiony ruch. Światła pozycyjne pojazdów zbliżały się i oddalały, zupełnie jakby ktoś potrząsnął gniazdem os. W pewnym momencie jeden z pojazdów zaczął zniżać lot do podstawy budynku. Wszedłem w boczną uliczkę i skryty w mroku patrzyłem, jak z ciemnoszarego transportowca wysypuje się oddział szturmowy. Nie marnowali czasu na dopytywanie o wejście, tylko od razu strzałami rozbili szyby i zniknęli w budynku.

Na zewnątrz został jeden operator. Podeszedł do mężczyzny wciąż leżącego na chodniku i postawił nogę na jego klatce piersiowej. Miałem wrażenie, że zadaje jakies

pytania, ale najwyraźniej uzyskał podobny rezultat, bo po chwili odsunął się od narkomana i rozejrzał wokoło. Zobaczyłem jego twarz i zrobiło mi się gorąco, gdy rozpoznałem Redharda.

* * *

Musiałem zapaść się pod ziemię, i to dosłownie. Wbiegłem głębiej w uliczkę i obok sterty śmieci znalazłem to, czego szukałem: wąż kanalizacyjny. Zardzewiała pokrywa sprawiała wrażenie, jakby od czasu, gdy ją tu zamontowano, nigdy nie była zdejmowana. Mimo wspomagania kombinezonu potrzebowałem kilku prób, żeby ruszyć ją z miejsca. Kiedy udało mi się ją podnieść i odsunąć, przełączyłem wizję na tryb nocny, zajrzałem do ciemnego otworu i wypatrzyłem stopnie drabinki. Rozejrzałem się wokół, upewniając się, że w uliczkę nie ma nikogo poza mną, i wsunąłem się do włazu, po czym zacząłem przeciągać pokrywę na swoje miejsce. Gdy już myślałem, że wszystko pójdzie sprawnie, ześlizgnąłem się z drabinki i wylądowałem na dnie kanału, zanurzając się po uszy w gównie.

Kiedy się podnosiłem, ból w udzie przypominał mi, że mam na nodze rozcięcie, które właśnie zanurzyłem w fekaliach. Powinienem to opatrzyć, ale najpierw trzeba było skończyć poprzednią sprawę. Wszedłem znowu na drabinkę, tym razem ostrożniej, i zasunąłem do końca pokrywę włazu. Potem zlazłem, oparłem się o ścianę i dopiero wtedy sięgnąłem do apteczki. Zdezynfekowałem ranę, zalałem ją klejem i zabezpieczyłem udo taśmą. Na tę chwilę musiało wystarczyć.

Rozejrzałem się. Otaczała mnie ciemność zakłócona pojedynczym jaśniejszym punktem otworu w pokrywie. Przywołałem na wyświetlacz osłony mapę kanałów wgraną przez Viki „tak na wszelki wypadek” i sprawdziłem odległość dzielącą mnie od gniazda.

– O ja pierdołę!

Miałem do przebycia pięćdziesiąt kilometrów, i to pod warunkiem, że po drodze nie czekają mnie żadne niespodzianki. W normalnych okolicznościach i na powierzchni nie byłoby to najmniejszym wyzwaniem. W kombinezonie, który miałem na sobie, mogłem pokonać taki dystans w czasie poniżej dwóch godzin. Niestety brnięcie mrocznymi korytarzami po kolana w gównie i innych, bliżej nieokreślonych substancjach nie miało wiele wspólnego z normalnymi okolicznościami.

Sprawdziłem zegar odliczający czas do wybudzenia się DX-ów. Teoretycznie zostało mi dziewięć godzin, ale w praktyce musiałem do nich dotrzeć w siedem, żeby wciąż mieć szansę na ich sformatowanie, zanim narkoza zejdzie poniżej bezpiecznego poziomu. Nie miałem pojęcia, jak je uspić, więc spóźnienie oznaczało konieczność czekania ze wszystkim na Viki, a to mogło zająć kilka dni, jeżeli nie tygodni. Za siedmioma godzinami, a właściwie sześcioma godzinami i pięćdziesięcioma ośmioma minutami przemawiał jeszcze jeden argument: na tyle miałem tlenu i baterii w kombinezonie.

– Banał. Dasz radę.

Włączyłem czerwone światło latarki, odetchnąłem głęboko i ruszyłem.

* * *

Padłem na posadzkę kryjówki. Bolał mnie każdy milimetr ciała, a na wyświetlaczu hełmu mrugały czerwone i pomarańczowe ikonki alarmów. Spojrzałem na zegar. Sześć godzin i pięćdziesiąt sześć minut.

Wbrew moim początkowym obawom przez większość drogi rzadko brodziłem w szlamie sięgającym powyżej kolan. Prawdziwy problem zaczął się po wejściu na teren Mikry. Tam stan i drożność nieserwisowanych kanałów pozostawiała wiele do życzenia. Prędkość, z jaką się przemieszczałem, spadła o połowę, a kilka razy zdarzyło mi się wpaść w jakieś rozpadliny i w całości zanurzyć w gęstej mazi. Gdy już myślałem, że nic gorszego nie może mnie spotkać, dotarłem do ostatniego odcinka leżącego pod terenem fabryki. Mogłoby się здаwać, że skoro od dziesięcioleci nic się tam nie dzieje, to kanały będą puste. Nic bardziej mylnego. Zaszły osad wypełniał je na prawie całą wysokość, pozostawiając tylko wąską szczelinę pod samym zwieńczeniem. Przez ostatnie dwie godziny czołgałem się przy akompaniamencie ostrzeżeń systematycznie przypominających mi, że jeśli nie dam rady, to spocznę w kanałach na zawsze.

Hełm zapiszczał ostrzegawczo. Ilość tlenu spadła do poziomu krytycznego. Odpiąłem szklaną osłonę i prawie natychmiast zwymiotowałem na skutek zmęczenia i fetoru, który przywlokłem ze sobą. Świat wokół mnie wirował. Nie spałem od ponad trzydziestu godzin, a przestająca działać chemia wspomagająca pogłębiała zmęczenie. Gdyby ktoś chciał mnie teraz zabić, nawet bym nie protestował. Patrzyłem na niewielką plamę soku żołądkowego rozlaną na podłodze tuż koło mojej twarzy, a powieki robiły się ciężkie i opadały jak kurtyna ze stali.

DX-y! Ta myśl mnie otrzeźwiła. Spojrzałem na zegar i odetchnąłem z ulgą. Spałem tylko kilka sekund. Podniosłem się na kolana i zacząłem ściągać z siebie kombinezon. Bez zasilania był tylko kilkukilogramową skorupą, której nie miałem siły nosić. Z górną częścią poszło mi w miarę sprawnie, ale z dołem cholernie się męczyłem i dopiero po kilku próbach zdołałem rozciąć nożem taśmę oklejoną wokół uda. Rzuciłem okiem na ranę i uznałem, że wygląda na dużo mniejszą, niż mi się początkowo wydawało.

Rozebrany do samych bokserek podszedłem do windy towarowej, odczuwając wdzięczność wobec Viki za to, że ją naprawiła. Na samą myśl o schodach robiło mi się niedobrze. Wkroczyłem do środka i wcisnąłem przycisk poziomu zero.

* * *

Szary transportowiec stał w samym środku hali, dokładnie tam, gdzie spodziewałem się go zobaczyć, i chyba ta zbieżność rzeczywistości z planem była najbardziej surrealistycznym elementem tego widoku. Miałem wrażenie, że odkąd spadłem z jego pokładu, minęło przynajmniej dziesięciolecie, w ciągu którego prawie odstrzelono mi

dupsko i poćwiartowano, a teraz po prostu stał tu sobie spokojnie i nikt w niego ani we mnie nie strzelał.

Ruszyłem w stronę pojazdu i dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że czuję na skórze wilgoć i słyszę szum. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, jak przez dziurawe poszycie dachu wpadają krople deszczu. Czy była to ta sama burza, która w nocy nadciągnęła nad miasto? I dlaczego się nie ubrałem, tylko paradowałem półnagi po zrujnowanej fabryce?

Podszedłem do burty transportowca. Wgłębienie wielkości pięści, czarny ślad rozprysku i zdarty lakier znaczyły poszycie w miejscu eksplozji granatu. Kilka centymetrów w lewo i wybuchłby w kabinie. Szczęście czy umiejętności Nami? Pewnie nigdy się tego nie dowiem, ale cokolwiek za tym stało, zdecydowanie cieszyłem się z końcowego rezultatu.

Zatrzymałem się przed drzwiami, wpisałem kod na konsoli i zastayłem w oczekiwaniu na to, co zobaczę w środku.

Obyło się bez niespodzianek. DX-y były tam, gdzie je zostawiłem. Leżały na podłodze, oplecione taśmami zabezpieczającymi. Przytrzymując się burty transportowca, wgramoliłem się do środka, obszedłem metamorfy i uklęknąłem między nimi. Pobieźnie sprawdziłem ich stan i stwierdziłem, że poza otarciami i odgnieceniami po pasach zabezpieczających nie noszą żadnych śladów uszkodzeń. Viki wielokrotnie powtarzała, że jedynie zniszczenie materii mózgowej albo spalenie DX-ów pokrzyżowałyby nasze plany, ale ja nie do końca ufałem tym zapewnieniom. Odetchnąłem z ulgą i oparłem się o burtę transportowca. Oczy same mi się zamykały, ale nie mogłem sobie pozwolić na luksus odpoczynku. Bez względu na to, w jak dobrej kondycji były metamorfy, nadal pozostawał problem czasu. Stopniowo wznoszące się linie narkozy wyświetlane na ekranach monitorujących nie pozostawiały złudzeń co do tego, że muszę się sprężyć.

– Nigdy nie może być z górki – wyjęczałem, wstając.

Najpierw zająłem się Reyzą. Odpiąłem pasy i zarzuciłem sobie na ramię jego bezwładne ciało. Jak zauważyłem wcześniej, chłopak nie należał do gigantów, ale przeniesienie go przy potwornym zmęczeniu i bez wspomagającego kombinezonu nie należało do najłatwiejszych. Na szczęście miałem do pokonania tylko kilkadziesiąt kroków. Wszedłem do windy, przyklęknąłem i położyłem metamorfa na podłodze. Wyprostowałem się, oparłem głowę o zimną metalową ścianę i oddychałem ciężko, próbując odzyskać choć część sił. Po kilkudziesięciu sekundach spojrzałem na swoje odbicie widoczne w wypolerowanej stali.

– Wyglądasz jak gównno – stwierdziłem zgodnie z prawdą.

Powłócząc nogami, wróciłem po Kori, leżącą na noszach pod prześcieradłem. Odpiąłem kłamy taśm, owinąłem ją białym materiałem, wziąłem na ręce i ruszyłem ku windzie, jakbym niósł pannę młodą, którą miałem zamiar przenieść przez próg wspólnego domu.

* * *

Metamorfy, tak jak i ludzie, nie powinny się przegrzewać. Mniej więcej tyle zapamiętałem z wykładu wygłoszonego przez Viki na temat istotności chłodzenia DX-ów w czasie formatowania. Najwyraźniej proces wymagał sporej ilości energii i wytwarzał duże ilości ciepła, które trzeba było sprawnie odprowadzać. W przeciwnym razie mogło dojść do dezintegracji materii mózgowej i metamorfy zmieniłyby się w puste skorupy, a *tego byśmy nie chcieli*. Umieściłem DX-y w stojących obok siebie zielonych skrzyniach po androidach, wypełnionych wodą i kostkami lodu. Nie wiedziałem, czy powinny w nich leżeć czy siedzieć, więc dla bezpieczeństwa postanowiłem ułożyć je tak, żeby ich głowy zawsze były nad wodą z topiącego się lodu.

Podszedłem do stołu, gdzie leżał sprzęt elektroniczny, i zabrałem przygotowane wcześniej kable transferowe i zestawy czujników przyklejanych na skórę. Odwróciłem się w stronę metamorfów i zamarłem. Ręce DX-ów zwiślały na zewnątrz skrzyń i stykały się, sprawiając wrażenie, jakby Reyza i Kori trzymali się za dłoń. Stałem przez chwilę, patrząc na to przypadkowe ostatnie pożegnanie i zrobiło mi się ich żal. Koniec końców byli tylko dwójką zakochanych młodych ludzi pragnących być razem na własnych zasadach. Zapłacili za to marzenie życiem, a teraz mieli umrzeć po raz drugi, tylko dlatego, że ktoś inny chciał wskrzesić swoją miłość.

– Przykro mi, dzieciaki – powiedziałem bardziej do siebie niż do nich.

Podpiąłem czujniki zgodnie z instrukcją zostawioną mi przez Viki, dbając o to, żeby ich powierzchnia idealnie przylegała do skóry. Do portów komunikacyjnych metamorfów wsunąłem wtyczki połączone z terminalem grubymi wiązkami półprzezroczystych przewodów.

Gdy skończyłem, upewniłem się trzy razy, że wszystko wygląda tak, jak powinno, usiadłem przy biurku i włączyłem skan. Żyłki przewodów rozświetliły się na niebiesko i po kilku sekundach na ustawionych pionowo monitorach zobaczyłem sylwetki mężczyzny i kobiety. Paski postępu wyświetlane u dołu monitorów drgnęły i zaczęły stopniowo wypełniać się zielenią. Wraz z postęпами procesu na sylwetkach metamorfów pojawiały się czerwone ikony czujników meldujących gotowość do pracy.

Nie miałem żadnego wpływu na postęp skanu ani na jego końcowy wynik, a mimo to odczuwałem napięcie za każdym razem, gdy jakiś etap trwał dłużej niż poprzednie. Po mniej więcej dziesięciu minutach paski postępow doszły do końca i na obu ekranach wyświetliły się okienka z zielonym napisem.

SKAN KOMPLETNY

WSZYSTKIE SYSTEMY SPRAWNE

Wstałem od terminala i przy pomocy wiadra uzupełniłem skrzynie lodem wydobytym z potężnej zamrażarki. Z całego sprzętu, który dostarczył mi Red, to właśnie ona intrygowała go najbardziej. „Znam lepsze metody na ukrycie ciała niż mrożenie” – zapewniał mnie kilkukrotnie, próbując dowiedzieć się, po jaką cholere mi to urządzenie. Bezskutecznie. Musiał zadowolić się zapewnieniem, że lubię zimne drinki.

Wróciłem do terminala, usiadłem na krześle, poczekałem, aż temperatura ciał metamorfów zacznie spadać, i po kilku sekundach wahania uruchomiłem procedurę formatowania. System oszacował potrzebny czas i poinformował mnie, że do zakończenia procesu pozostało od siedmiu do dziewięciu godzin.

– No to czekamy – powiedziałem do monitora i sięgnąłem po leżący na biurku batonik, mój pierwszy posiłek od ponad trzydziestu godzin.

* * *

Obudziłem się z suchością w ustach i mocnym bólem głowy, ale zważywszy na ilość chemii, jaką w siebie ostatnio wpompowałem, czułem się zaskakująco dobrze. Sięgnąłem po butelkę wody stojącą na biurku i wypilem prawie całą naraz, czując, jak zimna ciecz wypełnia pusty żołądek. Gdy tylko ugasilem pragnienie, do głosu doszedł głód. Rozejrzałem się za batonem, który jeszcze przed chwilą miałem w dłoni. Leżał na posadzce obok krzesła. Podniosłem go, rozpakowałem i wcisnąłem sobie do ust. Przeżuując karmelowo-orzechową lepkość, spojrzałem na monitory i prawie się udławiłem.

FORMATOWANIE ZAKOŃCZONE

– Co jest, kurwa?!

Zerwałem się na równe nogi i sprawdziłem czas. Minęło jedenaście godzin, odkąd zacząłem formatowanie.

– KURWA!

Dopałem do skrzyń. Łód w obu całkowicie się roztopił. Włożyłem dłoń do wody w kilku miejscach – wszędzie była ciepła.

Daleś dupy, Arth!

Wróciłem do terminala i uruchomiłem skan diagnostyczny. Woda nie była gorąca, więc istniała szansa, że tego kompletnie nie spieprzyłem. Po dziesięciu minutach zdających się być wiecznością pojawił się komunikat informujący o pozytywnym zakończeniu skanu. Stanowiło to jakieś pocieszenie, ale daleko mi było do prawdziwej ulgi.

– Viki, jesteś mi tu potrzebna – powiedziałem, sprawdzając listę połączeń i wiadomości w nadziei, że przespałem jakąś próbę kontaktu. Niestety log był pusty. Wybrałem numer Viki, gotów sam do niej zadzwonić, ale w ostatnim momencie zrezygnowałem z tego pomysłu. Nie tak się umawialiśmy.

Wróciłem do skrzyń. Przez chwilę stałem między nimi, zastanawiając się, co powinienem teraz zrobić. W końcu doszedłem do wniosku, że skoro skan przebiegł pomyślnie, to pozostawało mieć nadzieję, że wszystko jest w porządku. Postanowiłem kontynuować procedurę zgodnie z planem.

Odpiąłem metamorfy od terminala, usunąłem czujniki i ułożyłem ociekające wodą DX-y na jednoosobowych łózkach ustawionych obok siebie. W metamorfach nie było

żadnego życia. Wszystkie symulowane procesy ustały wraz z usunięciem wgranych osobowości i teraz DX-y bardziej przypominały lalki niż ludzi.

Sprawdziłem ponownie instrukcję zostawioną przez Viki i się skrzywiłem. Musiałem czekać dwadzieścia cztery godziny na wykonanie kolejnego kroku. Byłby to idealny czas, żeby się przespać, tylko że ja już się wyspałem.

* * *

Jeżeli służba w wojsku przygotowała mnie dobrze do czegoś oprócz zabijania i łatania dziurawionych kumpli, to było to czekanie. Stanowiło dziewięćdziesiąt procent mojego czasu w mundurze. Czekano się na żarcie, na sygnał, na transport, na wsparcie, na ewakuację i wcale nierzadko na opierdół. Czeakać godzinami, a czasem dniami w ciągłej gotowości i nie zwariować – to była sztuka. Na szczęście mimo upływu lat wciąż byłem w tym dobry.

Po dwudziestu czterech godzinach ponownie podłączyłem metamorfy do terminala. Tym razem miałem przeprowadzić drugą i ostatnią fazę formatowania: usuwanie pamięci powłok.

W przeciwieństwie do poprzednich generacji metamorfów, DX-y przechowywały w komórkach informacje o każdej przybranej fizyczności. Viki nie miała pojęcia, czy jest to problemem, ale w przypadku Lisy dysponowaliśmy zbyt małą ilością krwi, żeby pozwolić sobie na jakąkolwiek niepewność.

Ponownie zacząłem od skanu diagnostycznego i gdy dostałem zielone światło od systemu, uruchomiłem proces. Po kilku sekundach beczynności ciała Reyzy i Kori zafalowały, a ich oblicza zaczęły się rozpyływać. Powrót do formy zerowej początkowo przypominał normalną przemianę, jednak metamorfy pozbawione kodu wzorcowego z każdą sekundą traciły naturalny wygląd. Ich ciała stawały się obłe, z ledwie widocznymi cechami płciowymi. Włosy spopieliały i wsiąkły w skórę nabierającą mlecznobiałej barwy. Nosy stały się płaskie i szerokie jak u boksera pod koniec kariery. Bładoszare usta znaczyły swoją obecność jedynie cienką kreską, przypominającą rozcięcie skalpelem. Cała przemiana trwała zaledwie kilkadziesiąt sekund, po których w miejscu ludzi pozostały dwa człekokształtne golem.

Szczerze mówiąc, byłem trochę zawiedziony. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno czegoś bardziej spektakularnego niż to, co zobaczyłem.

Podszedłem do żeńskiego metamorfa i go dotknąłem. Oczekiwałem, że ciało będzie wilgotne, plastyczne i chłodne, jak u trupa, ale mlecznobiała skóra okazała się sucha, ciepła i całkiem sprężysta. Pochyliłem się nad twarzą i uniosłem pozbawioną rzęs powiekę, pod którą zobaczyłem oko o bezbarwnej tęczęwce przypominające szklaną kulkę. Zaświeciłem w nie latarką i nad źrenicami wypatrzyłem numer seryjny DX012. Odwróciłem się do drugiego łóżka i sprawdziłem numer męskiego metamorfa: DX005.

– Ja pierdole – wymamrotałem, nie mogąc uwierzyć, że mit okazał się prawdą.

Wróciłem do biurka, odsunąłem szufladę i wyciągnąłem z niej miniaturową chłodziarkę. Położyłem ją na blacie i otworzyłem, czując coraz mocniejsze bicie serca.

W środku znajdowały się dwie przezroczyste strzykawki z krwią, opisane ręcznie zrobionymi etykietkami: Lisy i Viki. Wyjąłem pierwszą z nich.

XVII

LOG WIADOMOŚCI

09:17:46 Cześć, Arth! Wszystko okej?
09:19:21 No kurwa, Viki, wreszcie się odezwałaś!
09:20:13 Nie mogłam wcześniej, działa się. Wszystko okej?
09:20:54 Tak, pod kontrolą.
09:21:20 Masz DX-y? Są całe?
09:21:37 W jednym kawałku. I nawet nieusmażone.
09:21:51 To dobrze. Gdzie teraz są?
09:22:01 Wysłałem je w trasę.
09:22:30 Dokąd?
09:23:00 Na Księżyc. No kurwa, a jak myślisz? Są w gnieździe. Kiedy tu będziesz?
09:25:34 Nie wiem, na razie lepiej nie.
09:25:58 Dlaczego? Coś nie tak?
09:29:11 Nie, ale musimy pogadać.
09:29:20 Co się dzieje?
09:39:07 Wyjaśnię u ciebie w mieszkaniu.
09:27:20 Po cholere tam? Przyjedź tutaj.
09:45:42 Nie mogę, muszę odwiedzić matkę.
09:45:52 Matkę?
09:50:14 Tak, zachorowała. Źle z nią. Dzisiaj, 17:00 u ciebie. Będiesz?
10:15:12 Tak.

* * *

Zanurzyłem twarz w kasztanowych włosach i powoli wciągnąłem ich zapach. Jeszcze kilka dni wcześniej zastanawiałem się, czy to, co robię, ma sens, czy nie jest tylko mirażem, szaloną wizją, która rozpadnie się w zderzeniu z rzeczywistością. Teraz wszystkie wątpliwości uleciały. To miało sens. Lisy miała sens.

Wstałem z kolan, pogładziłem jej policzek i uśmiechnąłem się. Gdy przed czterema dniami z bezkształtnego oblicza metamorfa wyłoniła się twarz Lisy, zamarłem i przez kilka minut nie potrafiłem się poruszyć. Dotykając jej ciała drżącą ręką, bałem się, że zniknie, rozwieje się jak mgła, a ja obudzę się w pustym mieszkaniu w Mikrze. W ciągu ostatnich dni zdążyłem już uwierzyć, że jest tu naprawdę, lecz wciąż, za każdym razem, gdy na nią patrzyłem, czułem mocniejsze bicie serca.

Odcliczałem czas, jaki musiałem odczekać do transferu. Pozostało osiemnaście godzin. Tysiąc osiemdziesiąt minut. Sześćdziesiąt cztery tysiące osiemset sekund. Niewiele w porównaniu z tym, co już odczekałem, ale i tak zdawało się wiecznością. Pochyliłem się nad Lisy i pocałowałem ją w czoło, czując, jak ponownie oszałamia mnie jej zapach.

Odwrociłem się w stronę drugiego łóżka. Viki fizycznie nie różniła się od oryginału, ale niestety nim nie była, a bardzo jej teraz potrzebowałem. Przez ostatnie dni, na zmianę, miałem ochotę ją przytulić i skopać jej tyłek, ale teraz głównie się o nią martwiłem. Od porwania minęło już sześć dni i dopiero przed godziną dostałem od niej pierwszą wiadomość. To, że się nie odzywała przez ten czas, nie martwiło mnie aż tak bardzo. Co prawda sześć dni to więcej, niż planowaliśmy, ale założyłem, że musi się przyczaić i zaczekać, aż sprawy chociaż trochę przycichną. Teraz jednak zaczynałem podejrzewać, że jej milczenie mogło mieć inną przyczynę. Im dłużej myślałem o wiadomościach i spotkaniu, tym wyraźniej czułem odór z paszczy lwa, w którą się pakowałem. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że nie miałem wyjścia. Musiałem zobaczyć kły, żeby ocenić, jakie mam szanse i co robić dalej.

Podszedłem do biurka i podpiąłem do terminala dwa dyski z rekordami jaźni Lisy i Viki. Zainicjowałem procedurę opóźnionego transferu i ustawiłem odliczanie na czterdzieści osiem godzin dla Viki i siedemdziesiąt dwie godziny dla Lisy. Planowałem wrócić do gniazda w ciągu kilku godzin i osobiście przeprowadzić transfer, ale gdyby mi się to nie udało, nowa Viki będzie musiała zająć się tym sama. Żeby pomóc jej w odnalezieniu się w nowej sytuacji, na terminalu napisałem krótką notatkę, w której wypunktowałem wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce w ostatnich dniach. Byłem pewien, że prawdziwa Viki wiedziałaby, co robić, i pozostawało mi wierzyć, że jej nowe wcielenie też da radę. Uruchomiłem odliczanie i wstałem od terminala. Z blatu biurka podniosłem pistolet, odruchowo sprawdziłem, czy jest załadowany, i wsunąłem go do kabury ukrytej na plecach za paskiem spodni. Była dziesiąta trzydzieści. Jutro o tej porze będę rozmawiał z Lisy. Ściągnąłem kurtkę z oparcia krzesła i ruszyłem w kierunku windy. Zatrzymałem się w wejściu i jeszcze raz spojrzałem na otoczone monitorami łóżka, na których, pod prześcieradłami, leżały nowe ciała dwóch najbliższych mi osób.

– Do zobaczenia, dziewczyno – pożegnałem się i wsiałem do windy.

* * *

Siedziałem na drewnianej ławce ustawionej przy zaśmieconej plaży i patrzyłem, jak moje buty stopniowo znikają przysypane ziarenkami piasku. Niebo było prawie bezchmurne, ale od oceanu regularnie docierały podmuchy zimnego wiatru i zapewne z tego powodu byłem tu jedyną osobą w odległości kilkuset metrów. Blask słońca odbijany od tafli oceanu boleśnie wbijał się w oczy i sprawiał, że miałem ochotę wrócić do gniazda, do łagodnego blasku monitorów. Zmieniam się w Viki – pomyślałem i uśmiechnąłem się pod nosem.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki, żeby wyciągnąć okulary przeciwsłoneczne, ale zrezygnowałem z tego pomysłu i przymknąwszy oczy, wystawiłem twarz do słońca. Słyszałem szum fal rozbijających się o falochron, skrzeczenie mew i odgłosy pojedynczych samochodów przejeżdżających starą ulicą ciągnącą się kilkadziesiąt metrów za moimi plecami, pomiędzy plażą a szarą ścianą zdewastowanych budynków. Było przyjemnie. W takich chwilach można było zapomnieć, że jest się w Mikrze.

Po kilku minutach kontemplacji usłyszałem wizg zbliżającego się motocykla. Odwróciłem się za siebie i spojrzałem na ulicę. Czerwony ścigacz wyłonił się zza zakrętu, zwolnił i teraz toczył się powoli wzdłuż wybrzeża. Kierowca ubrany w czarny kombinezon i kask z przyciemnioną szybą patrzył w kierunku plaży. Gdy wstałem i uniosłem rękę, motocykl zjechał z ulicy, przejechał kilkadziesiąt metrów po wybetonowanym poboczu i zatrzymał się na mojej wysokości. Kierowca zsiadł, ustawił maszynę na stopkach i ruszył ku mnie.

Usiadłem z powrotem, założyłem okulary i patrzyłem na mewy kołyszące się na falach. Motocyklista podszedł do ławki, zdjął z pleców sportową torbę z czarnego materiału, położył ją na piasku i zajął miejsce obok mnie.

– Jednak romantyk z ciebie, Arth. – Usłyszałem stłumiony męski głos.

– Miałeś wątpliwości?

– Nie, skądże. – Red sięgnął do kasku, ściągnął go i przetarł rękawicą łysą głowę. – Masz pozdrowienia od Heyk. Była zawiedziona, że nie wpadniesz do biura.

– Przeprós ją w moim imieniu. – Zwróciłem twarz w jego stronę.

– Spróbuję, ale chyba tak łatwo ci nie odpuści. – Red rozsunął do połowy suwak kurtki, oparł się o ławkę i skierował wzrok na ocean. – Co my tu robimy, bo raczej nie jesteśmy na randce?

– A chciałbyś? Następnym razem może być randka.

– Wszyscy tak mówicie, a później nie ma już następnego razu.

– Nie wiem, z kim spotykałeś się wcześniej, ale ja jestem inny. Uwierz mi. – Położyłem dłoń na piersi, jakbym chciał podkreślić szczerłość swoich słów.

– Yhm, już to kiedyś słyszałem.

Red pochylił się w przód, złapał za pasek torby, przyciągnął ją do stóp, rozsunął i po chwili grzebania wyciągnął ze środka dwie zielone butelki piwa. Podał mi jedną z nich.

– Zimne – przyznałem z uznaniem.

– Tak tu zapierdalałem, że nie zdążyło się zagrzać. Prawie się zabiłem przez jednego debila w ciężarówce.

– Najważniejsze w życiu są dobrze poukładane priorytety – skwitowałem, po czym odkręciłem kapsel, upiłem łyk i wyciągnąłem nogi. – Tak można żyć.

– À propos życia, a właściwie śmierci. Nie wiesz przypadkiem nic o dwóch rozczłonkowanych policyjnych androidach, o których sporo słyhać na mieście? – zapytał Red, otwierając swoje piwo.

– A powinienem coś wiedzieć?

- Lepiej nie. – Red pociągnął z butelki. – Chociaż można na tej informacji nieźle zarobić. Bardzo nieźle.
- A dla kogo ta informacja jest tak cenna?
- Oficjalnie dla policji, ale podobno nagroda za wskazanie wandalę pochodzi od hojnego sponsora. Do odebrania w wieżowcu Vertas Corp.
- Interesujące – przyznałem i lknąłem piwa. – A czy mogą znaleźć tego wandalę bez twojej pomocy?
- To raczej niemożliwe. – Red wyduł wargi i pokręcił głową.
- Czyli tym razem nikt nie zarobi?
- Na to wychodzi. – Red wzruszył ramionami.
- Dzięki.
- Nie musisz dziękować, ale dobrze by było, gdybyś zniknął z miasta, i to jak najszybciej. Ja cię nie sprzedam, ale cokolwiek zrobię, bardzo ich wkurwiło. Na ulicy mówi się tylko o tym. Każdy w tym mieście cię szuka i w końcu wpadniesz. Nie ma innej opcji. Twoją jedyną szansą jest ucieczka. Zrobię, co mogę, żeby ci pomóc, ale musisz stąd spierdalać.
- Nie mogę, Red. – Pokręciłem głową. – Jeszcze nie teraz. Potrzebuję kilku dni, żeby zakończyć to, co zacząłem.
- Arth, kurwa, ty naprawdę tego nie rozumiesz? Jak będziesz czekał, to zakończysz tylko swoje życie i nic więcej. Mówię ci, spierdaj z tego miasta i się nie oglądaj.
- Nie mogę. Uwierz mi, że bardzo chciałbym to zrobić, ale naprawdę nie mogę. Zresztą jeżeli nie dokończę tego co zacząłem, to i tak nie będę miał szansy uciec. Znajdą mnie wszędzie. Równie dobrze mogę sobie tu i teraz palnąć w łeb.
- O co tu chodzi? – Red spojrział na mnie. – Wiesz, że jesteś moim bratem i możesz mi zaufać?
- Wiem i dlatego ci nie powiem. Im mniej wiesz, tym lepiej. Tylko tak mogę cię chronić.
- Ty mnie? – Red uśmiechnął się i pokręcił głową z niedowierzaniem. – To coś nowego. W bidulu to zawsze ja musiałem ratować tyłek tobie.
- Bo byłeś największym i najbrzydszym bachorem, jaki tam mieszkał. Wszyscy szczeni w gacie na twój widok. Teraz z tym brzuchem możesz co najwyżej kardiologa straszyć.
- Dupek. Przez ciebie będę miał kompleksy.
- Przeżyjesz. – Uśmiechnąłem się, położyłem Redowi rękę na ramieniu i ścisnąłem lekko. – Twojej psychiki nie da się już bardziej uszkodzić.
- I mówi to koleś, którego dupa na własne życzenie zmieniła się w tarczę strzelecką. Z nas dwóch to ty jesteś psychiczny.
- Bardzo możliwe – przyznałem.
- Nie chcesz mówić, to nie mów. Nie zmuszam cię. Ale tak bez szczegółów, co kombinujesz? To jakaś duża sprawa? Znowu będzie głośno na ulicy?
- Mam nadzieję, że nie, bo w przeciwnym razie będzie to znaczyło, że coś się spierdoliło. I to koncertowo.

- A to? – Red trącił butem torbę.
- Zabezpieczenie. Na wszelki wypadek. Lepiej mieć i nie użyć...
- ...niż potrzebować i nie mieć – dokończył Red.
- Dokładnie. – Kiwnąłem głową. – Red, mam jeszcze jedną sprawę.
- Jaką? – Spojrzał na mnie i zmarszczył czoło.

Odstawiłem piwo na ławkę, rozsunąłem kurtkę i sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni po niewielki dysk wielkości zapalniczki. Podałem go Redowi. Przyjął urządzenie i obejrzał je z obu stron.

- Co mam z tym zrobić?

- Na razie nic, po prostu przechowaj go przez dwie doby. Jeżeli w tym czasie nie zjawię się po niego, podłącz dysk do terminala. Po czterdziestu ośmiu godzinach powinien rozszyfrować się automatycznie, ale i tak zapyta o hasło. Wpisz nazwę naszego sierocińca. Znajdziesz tam kilka informacji i adres. Pojedź tam. To będzie stara hala fabryczna z zaparkowanym transportowcem w środku. Wejdz w głąb hali, po lewej stronie za transportowcem zobaczysz windę. Wygląda na popsutą, ale działa. Zjedź nią na najniższy poziom. Spotkasz tam moją przyjaciółkę Viki. Ona wie, kim jesteś, ale będzie miała za sobą trudne chwile, więc może być trochę skołowana. Daj jej czas, żeby doszła do siebie, a potem jej pomóż. Zrobisz to dla mnie?

Red milczał, obracając dysk w palcach i kiwając głową w zamyśleniu.

- Zrobię – odezwał się w końcu.

- Dzięki. Nie chciałem cię w to mieszać, ale nie mam wyjścia. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

- Nie ma sprawy – odpowiedział, chowając urządzenie do kieszeni. – A ty gdzie wtedy będziesz, jeżeli się nie odezwiesz?

- Najprawdopodobniej w piachu – przyznałem zgodnie z własnym przekonaniem.

- Hmm... – Pokiwałem głową. – Szkoda. Lepiej, jakbyś wylądował w oceanie.

- Co to za różnica? – zapytałem, unosząc brwi.

- Rybki by cię wpierdoliły. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej one by skorzystały.

Roześmiałem się głośno. Zawtórowały mi mewy.

- Masz ochotę coś zjeść? – zapytał Red. – Znam w okolicy niezłą knajpę. Gdybyś sam tam trafił, to pewnie by cię sponiewierali i obrobili, ale ze mną będziesz bezpieczny.

- Brzmi dobrze, ale muszę wracać do Steris. – Szczerze żałowałem, że nie mogę przyjąć zaproszenia, bo zaczynałem robić się głodny.

- Twoja strata. Masz transport?

- Nie. – Pokręciłem głową.

Red wyciągnął z kieszeni kurtki elektroniczny klucz i położył mi go na nodze.

- Weź motocykl, chyba że wolisz taksówkę.

- Dajesz mi swój motocykl? – upewniłem się.

- W sumie nie jest mój. – Red wzruszył ramionami. – Zgubił się z transportu.

- Aha. – Pokiwałem głową. – Zatem dajesz mi nie swój motocykl?

- Tak. Przeszkadza ci to?

- To zależy.
 - Od czego?
 - Czy zatankowany.
 - Za kogo ty mnie masz? Do pełna. Bak i bateria. Gówna bym ci nie wciskał.
 - Dzięki.
- Schowałem klucz do kieszeni kurtki, sięgnąłem po piwo i opróżniłem butelkę.
- Znajdziesz czas na jeszcze jedno? – zapytał Red, wskazując na pustą butelkę.
 - Jasne, że tak.
 - I to mi się podoba.

Red dopił swoje piwo, postawił pustą butelkę obok ławki, po czym wyciągnął z torby dwa kolejne piwa.

Morze szumiało, mewy wydzierały się jak wściekłe, słońce sunęło po niebie, a my wspominaliśmy stare czasy i popijaliśmy piwo. Gdy się skończyło, podaliśmy sobie dłonie i każdy ruszył w swoją stronę.

* * *

Viki zjawiała się punktualnie o siedemnastej. Wpuściłem ją do budynku i czekałem w otwartych drzwiach mieszkania. Miałem wrażenie, że na mój widok zawahała się przez ułamek sekundy, ale szybko nadrobiła uśmiechem.

- Cześć, Arth!

- Cześć, Viki, dobrze cię widzieć. – Przytuliłem ją i od razu wyczułem, że jest spięta. – Wszystko w porządku, dziewczyno? – zapytałem, robiąc krok w tył, ale wciąż trzymając ją za ramiona.

- Na tyle, na ile może. Jakoś dużo stresu mam ostatnio – odpowiedziała z uśmiechem, ale uciekła wzrokiem przed moim spojrzeniem. – Będziemy tu tak stali?

- Jasne że nie, wchodź. – Przesunąłem się w bok i wskazałem dłonią wejście do studia. Viki minęła mnie i wkroczyła do środka. Zatrzymała się zaraz za progiem i rozejrzała po pomieszczeniu.

- Nic się tu nie zmieniło od ostatniego razu – skomentowałem. – Siadaj. Napijesz się czegoś?

Nie czekając na odpowiedź, podszedłem do barku. Wziąłem dwie szklanki i do połowy opróżnioną butelkę whisky.

- Odwaliliśmy niezłą akcję i nadal żyjemy – powiedziałem, wracając do Viki, która przycupnęła na skraju kanapy. Uniosłem butelkę. – Takie rzeczy nie zdarzają się często, musimy to uczcić.

- Tak, ale nie dzisiaj – zaproponowała Viki. – Nie mamy na to czasu. Muszę wrócić do biura, zanim ktoś zacznie się interesować, gdzie jestem.

- Spokojnie, przecież nie będziemy tu imprezować całą noc. – Postawiłem szklanki na stole i wlałem w nie alkohol.

- Wiesz, że nie przepadam za whisky – powiedziała Viki z wyczuwalnym wyrzutem.

- Wiem, ale ta ci ostatnio smakowała. Za szczęście, żeby nas nie opuściło!

Uniosłem swoją szklankę i opróżniłem jej zawartość. Viki niechętnie poszła za moim przykładem, ale jedynie zwilżyła wargi i odstawiła szklankę na stół.

– Arth, musimy pogadać.

– O, to na pewno, masz sporo do nadrobienia. Daj mi sekundę. – Podeszedłem do biurka, na którym nadal stał uszkodzony terminal Lisy. Z szuflady wyciągnąłem prostokątne urządzenie. Wróciłem do Viki i położyłem je na blacie.

– Zagłuszacz? – Viki zmarszczyła czoło i spjrzała na mnie pytającym wzrokiem.

– Zdzwiona? Jak widzisz, czegoś tam się od ciebie czasami nauczę.

Rozłożyłem dwie antenki i aktywowałem urządzenie. Po kilku sekundach na soczewce zobaczyłem ostrzeżenie o braku zewnętrznej komunikacji.

– Jak sytuacja w firmie? – zapytałem. – Nadal gorąco?

– Tak – zachrypiała Viki, odchrząknęła i powtórzyła odpowiedź. – Tak. Cały czas sypią się głowy.

– Do ciebie nikt się nie dopieprza?

– Nie. – Viki pokręciła głową. – Nie zajmowałam się zabezpieczeniem transportu. Inni mają bardziej przejebane.

– Domyślam się i...

– Arth – przerwała mi Viki. – Posłuchaj, robiłam co mogłam, żeby to opóźnić, ale za kilka godzin Vertas będą wiedzieli, że to ty porwałeś metamorfy.

W pokoju zapadła cisza. Od początku zakładałem, że wcześniej czy później możemy zostać zdemaskowani, ale miałem nadzieję, że nie będzie nas już wtedy w Steris.

– Jesteś pewna? – zapytałem w końcu. – Tak szybko? Jak?

– Dałeś się zranić. – Viki wskazała palcem moje udo. – Znaleźli DNA na ostrzu Nami. Jeszcze nie wiedzą, że to ty, bo trochę namieszałam w wynikach, ale to kwestia czasu.

– Kurwa! – Złapałem się za głowę, zamknąłem oczy i głośno wypuściłem powietrze. Czuję, jak wzbiera we mnie wściekłość, że przeoczyłem coś tak istotnego. Jeżeli teraz wszystko się spierdoli, to będę mógł winić tylko siebie. Przeanalizowałem na szybko opcje, jakie mi pozostały. Wnioski nie napawały optymizmem. Gdy tylko Vertas poznają prawdę, moje szanse na dożycie starości przybiorą wartości ujemne. – Co za debil ze mnie.

– Chciałam cię ostrzec wcześniej, ale nie mogłam – powiedziała Viki przeproszającym tonem. – Vertas od początku obstawiało wewnętrzną robotę. Wszyscy byliśmy pod stałą obserwacją. Bałam się. Dopiero dziś dałam radę wysłać pierwszą wiadomość i wyjść z biura. Przepraszam.

– Viki, to nie twoja wina. To ja spieprzyłem sprawę. Ile mamy czasu? – Chodziłem po mieszkaniu, próbując zebrać myśli.

– Kilka godzin, może dzień. Tak czy inaczej musimy się śpieszyć. – Napięcie w głosie Viki stało się wyraźniejsze.

– Masz jakiś plan?

– Nic konkretnego. Z Vertas raczej nic nie damy rady zrobić. Musimy skupić się na metamorfach i jak najszybciej zabrać je ze Steris. Później będziemy myśleć co dalej. Co z DX-ami, w jakim są stanie?

– Dobrym. Przygotowałem je do transferu, tak jak mi powiedziałaś. Chyba wszystko się udało.

– Chyba? – zapytała, unosząc brwi.

– Na tyle na ile potrafię sprawdzić, to tak. Nie jestem tobą, żeby mieć pewność.

– Dobra. – Viki wstała z kanapy. – Jedźmy do nich, sprawdzę wszystko sama.

– Teraz? – zdziwiłem się. – Przecież mówiłaś, że musisz wracać do biura.

– Muszę, dlatego nie marnujmy czasu. – Viki ruszyła w stronę drzwi.

– Czekaj – powiedziałem, idąc za nią.

– Nie mamy czasu! – Viki odwróciła się w moją stronę wyraźnie poirytowana. – Vertas może cię namierzyć w każdej chwili i wtedy wszystko pójdzie się pieprzyć. Nie rozumiesz tego?

– Rozumiem, ale jedna rzecz mnie zastanawia.

– I nie może zaczekać, aż będziemy w taksówce. – Viki złapała za kłamkę, ale drzwi były zamknięte.

– Wolę to wyjaśnić teraz. – Zbliżyłem się do niej, patrząc w oczy. – Napisałaś, że musisz odwiedzić chorą matkę. Zrobiłaś to?

– Tak i to cię tak zastanawia? – Viki zmarszczyła czoło.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Raczej to, że twoja martwa matka choruje.

Viki otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Złapałem ją za kark i wbiłem w brzuch strzykawkę z resetem. Żrenice Viki rozszerzyły się, a twarz spłoszyła.

– Arth... co ty... robisz? – wystękała, tracąc oddech.

Puściłem ją. Zrobiła dwa chwytne kroki w tył i wyrwała strzykawkę z brzucha. Po chwili jej skóra zaczęła jaśnieć i falować. Ubrania Viki nie wytrzymały naporu pęczniejącego ciała i rozerwały się na strzępy. Metamorf stracił równowagę i upadł na ziemię. Potrzebowałem kilku sekund, żeby we wciąż zmieniającej się twarzy dostrzec rysy Matta.

– Tak myślałem!

Dobyłem broni i wycelowałem w głowę metamorfa.

– Co z Viki? – zapytałem, gdy proces przemiany dobiegł końca i metamorf uniósł na mnie wzrok.

– Pierdol się, Arth! – warknął Matt. – I wsadź sobie ten pistolet w dupę. Nie zabijesz mnie. Nie zabiłeś nikogo w czasie porwania, to i teraz tego nie zrobisz. Dobrze wiesz, że Vertas nigdy by ci tego nie zapomniał.

– Do tamtych ludzi nic nie miałem, ale ciebie nigdy nie lubiłem, więc lepiej nie kuś losu. Zapytam jeszcze raz: co z Viki?

Nie wiem, czy przekonały go moje słowa, wyraz twarzy czy może po prostu miał ochotę mi dopierdolić. Tak czy inaczej, zauważyłem, że coś w nim drgnęło. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tak oblesnie, jak chyba tylko on potrafił.

– Chcesz wiedzieć? Dobra, powiem ci. Ta suka nie żyje. Rozjechała sobie łeb. Chcieli ją przeskanować, żeby znaleźć ciebie, ale ta pojebana pizda miała bombę w porcie

komunikacyjnym. Twoja przyjaciółeczka wymeldowała się z tego świata i zostawiła cię samego. Zadowolony?

Nie zaskoczyła mnie wiadomość o śmierci Viki. Właściwie to nawet poczułem ulgę. Ze wszystkich możliwych scenariuszy ten nie był wcale najgorszy. Przynajmniej Viki nie cierpiała. Musiałem jednak przyznać, że jej nie doceniłem. Nie spodziewałem się, że znajdzie w sobie odwagę, żeby aż tak zaryzykować. Co prawda mogła mieć nadzieję, że w jej wypadku śmierć będzie jedynie stanem tymczasowym, ale przecież nie miała gwarancji.

– Skąd miałeś jej rekord? – zapytałem. Matt dobrze podszywał się pod Viki, a wątpiłem, żeby był aż tak utalentowanym aktorem.

– Syntetyczna jaźń. Straszne gówno. Polecam, jakbyś chciał spróbować. Zdechniesz w męczarniach.

To była dobra wiadomość. Skoro Vertas zadało sobie trud wygenerowania syntetycznej jaźni i zaryzykowało wgranie jej w Matta, to znaczyło, że posiadane przez nich rekordy Viki są bezwartościowe. A skoro tak, to nie mają pojęcia, gdzie jest gniazdo.

– Jak się zdradziła?

– Nie zdradziła się. Chcieli ją przesłuchać dla pewności. Tylko przesłuchać, tak jak wszystkich innych. A ona spanikowała i rozwalila sobie łeb. – Szyderczy uśmiezek wykrzywił usta Matta. – Kurwa, jakim trzeba być kretyńcem, żeby okraść Vertas. Masz przejebane i nic z tym nie zrobisz. Znajdą cię, wyciągną z ciebie wszystko, a później zajebią. Poćwiartują żywcem.

– Może i tak. – Wzruszyłem ramionami. – Ale ty już tego nie zobaczysz.

Zrozumiał. Uśmiech zniknął i Matt rzucił się w moją stronę. W otwartych szeroko ustach zobaczyłem wydłużające się kły. Byłem na to gotowy. Kopnąłem go w spłot słoneczny. Zgiął się wpół i upadł na kolana, próbując złapać oddech. Dосkoczyłem do niego, złapałem za włosy i pociągnąłem głowę w tył, tak żeby na mnie spojrział.

– Ugrzyż to! – krzyknąłem i wbiłem mu lufę pistoletu w usta, kalecząc wargi i wybijając zęby. W załzawionych oczach widziałem już tylko przerażenie. Puściłem jego głowę i pociągnąłem za spust. Krwawe fragmenty czaszki i mózgu zbryzgały podłogę. Świat stał się odrobinę lepszym miejscem.

XVIII

Siła eksplozji wyważyła drzwi wejściowe. Wyrwane fragmenty poszybowały korytarzem w głąb mieszkania. Za duży ładunek, oceniłem, wyszarpując zakrwawiony pistolet z ust kłęczącego trupa. Cofnąłem się do kanapy i wycelowałem w wejście do salonu. Z obłoków rzadkiego dymu wyłonił się mężczyzna. Znałem tę twarz, to był jeden z opiekunów. Mik? Mike?

Zobaczył mnie i Matta. Uniósł broń. Strzeliłem dwa razy w głowę. Krew zbryzgała ścianę, a ciało runęło na podłogę korytarza. Sięgnąłem po sportową torbę leżącą obok kanapy.

– Stój, skurwielu! – Usłyszałem znajomy głos. – Rzuć broń!

Odwrociłem się powoli w kierunku wejścia. Wciąż trzymałem pistolet i wcale nie zamierzałem go rzucić.

– Cześć, Rek.

Stała kilka kroków ode mnie z bronią gotową do strzału. Widziałem ją pierwszy raz od awantury w Asturia Excelsior. Miała teraz trochę dłuższe włosy, ale poza tym w ogóle się nie zmieniła.

– Coś ty narobił, pojebie?! – zapytała z mieszaniną wściekłości i przerażenia w głosie. Rzuciła spojrzenie na Matta i ponownie wbiła wzrok we mnie. – Zajebią mnie za to. Miałam go chronić...

Pistolet w ręce Rek zadrżał niebezpiecznie.

– Rek, nie miałem wyjścia – powiedziałem łagodnie, próbując ją uspokoić. – Nie miałem wyjścia, rozumiesz? Gdybym tego nie zrobił, oni by mnie zabili. Naprawdę...

– Nie, kurwa! – przerwała mi. – Nie zabiliby cię. Mieliśmy wziąć cię żywcem.

Uniosła pistolet. Doskonale widziałem teraz czarny wylot lufy.

– Nie wiedziałem, ale...

– Tego, że Viki przez ciebie zginie, też nie wiedziałeś? Była twoją przyjaciółką, a ty wciągnąłeś ją w to gówno. Kurwa, byłeś jednym z nas!

– Rek, to nie tak...

– Po chuj to zrobiłeś!?! – kontynuowała, nie zważając na moje słowa. – Po chuj? Ona by teraz żyła...

W jej oczach pojawiły się łzy.

– Posłuchaj mnie, to wszystko nie jest takie proste.

Spróbowałem do niej podejść, ale Rek zrobiła krok w tył i mocniej ścisnęła rękojeść pistoletu. Zatrzymałem się i powoli wyciągnąłem lewą rękę, otwartą dłońią w jej stronę.

– Wyjaśnię ci wszystko, tylko opuść broń. Okej?

– Mam w dupie, co chcesz powiedzieć. Zabieram cię do firmy i tam będziesz się tłumaczył. Mam nadzieję, że ci dojebią, pierdolony zdrajco!

– Rek – spróbowałem ponownie, patrząc jej prosto w oczy. – Zabrzmi to nierealnie, ale Viki żyje. Zabiorę cię do niej, tylko opuść broń.

– Jesteś pojebany! Widziałam jej ciało, widziałam na własne oczy. Ona nie ma głowy, Arth. Przez ciebie nie ma pieprzonej głowy!

– Nie rozumiesz. To był jej pomysł. Mam jej rekord i metamorfa. Mogę ją ożywić. Viki będzie żyła.

– Pierdol się, Arth! Rzuć broń!

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Pomyśl. Wystarczy już trupów na dzisiaj. Chodź ze mną. Po tym wszystkim, co tu się stało, i tak nie masz wyjścia. Vertas ci tego nie wybaczy.

– Mam to w dupie. Może mnie zajebią, ale przynajmniej dojadą też ciebie. Rzuć broń i połóż się na podłodze, albo rozjebię ci łeb. Liczę do trzech. Raz... Dwa...

Zamiast „trzy” usłyszałem huk wystrzału. Rek pchnięta niewidoczną siłą upadła na twarz i już się nie podniosła. W jej plecach ziała wielka dziura. Kałuża krwi rozrastała się na podłodze. Uniosłem wzrok. W wejściu do salonu zobaczyłem mojego sąsiada. Gheri stał ubrany w złote obcisłe slipy i rozsznurowane trzewiki, a w rękach trzymał dymiącą strzelbę.

– Jesteś cały, sąsiedzie? – zapytał z uśmiechem na twarzy.

Duma w jego głosie sprawiała, że miałem ochotę go zabić.

– Tak – wydusiłem przez ściśnięte gardło. – Dzięki.

Przyklęknałem przy ciele Rek, z kieszeni kurtki wyciągnąłem ostatnią strzykawkę, jaka mi została, i wbiłem igłę w jej ramię.

– Zakładam, że jesteś finansistą – zażartował Gheri, wchodząc do salonu i przyglądając się trupom. – Kim oni byli?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. – Podniosłem z podłogi torbę i pchnąłem sąsiada w stronę wyjścia. – Wracaj do siebie, zamknij się w mieszkaniu i nikomu nigdy nie przyznawaj się, że tu byłeś. Nigdy!

– Ale...

Na twarzy Gheriego malowało się zaskoczenie. Widać było, że nie takiej reakcji spodziewał się po człowieku, któremu właśnie uratował życie.

– Żadnego ale, chyba że chcesz umrzeć.

Gdy znaleźliśmy się na klatce schodowej, usłyszałem szum silników transportowca lądującego na dachu.

– Spierdalaj do siebie i nie wychodź! – krzyknąłem, pchając Gheriego na schody.

Zatrzymał się na sekundę, spojrzął na mnie, po czym bez słowa zbiegł na swoje piętro. Po chwili usłyszałem odgłos ryglowanych drzwi.

Zdjąłem torbę z ramienia i wyciągnąłem z niej kilka niewielkich krążków. Rzuciłem je w powietrze. Miny kierunkowe poszybowały na wszystkie strony jak przyciągnięte magnesami i przykleiły się do ścian, podłogi i sufitu klatki schodowej. Ponownie sięgnąłem do torby. Wyszarpnąłem z niej karabinek i kamizelkę ucieczkową zazwyczaj noszoną przez wojskowych pilotów. Wciągnąłem ją przez głowę i wracając do salonu, dociągnąłem taśmy. Wycelowałem broń w szybę i wywaliłem w nią wszystkie naboje.

Szkoło pokryło się siatką pęknięć, ale nie rozpadło i dopiero przy trzecim kopnięciu tafla wypadła z ramy i poleciała w dół. Miałem nadzieję, że nie spadnie komuś na głowę.

Usłyszałem serię wybuchów.

Wymieniłem magazynek i wyskoczyłem przez okno. Zdążyłem opaść kilka pięter, nim aktywowały się silniki odrzutowe w kamizelce. Miałem wystarczająco dużo paliwa, żeby dolecieć na dół, ale ten kierunek ucieczki nie miał sensu. Bez kombinezonu nie mogłem skryć się w kanałach, a na ulicy, z pościgiem na karku nie przetrwałbym nawet dziesięciu minut. Otworzyłem szerzej przepustnice odrzutu, wystrzeliłem w górę i wylądowałem na dachu.

* * *

Szary transportowiec stał na lądowisku z włączonymi silnikami, gotowy do startu. Ruszyłem biegiem w jego kierunku. Po lewej stronie z kłębow białego dymu i kurzu wydobywającego się z klatki schodowej wynurzyło się dwóch operatorów. Byli ranni i wyraźnie oszołomieni, ale i tak mnie zauważyli. Unieśli broń. Przystanąłem i strzeliłem dwa razy do każdego z nich. Wizjery hełmów rozpadły się krwisto i operatorzy zwalili się na posadzkę.

Gównianie się czułem, zabijając tych ludzi, ale nie miałem czasu o tym myśleć. Dopadłem transportowca i jednym szarpnięciem otworzyłem drzwi kabiny. Usłyszałem wystrzał i poczułem uderzenie w pierś, które przewróciło mnie na ziemię. Płyta balistyczna kamizelki ucieczkowej zatrzymała kulę, ratując mi życie. Z kabiny wychylił się pilot z pistoletem w dłoni. Może latał świetnie, ale z chodzeniem w stresie najwyraźniej sobie nie radził. Potknął się przy wyskakiwaniu z pojazdu i dał mi w ten sposób sekundę, której potrzebowałem. Nim odzyskał równowagę, jego mózgowcazaska stała się przewiewnym miejscem.

Zebrałem się z betonu i wpakowałem do kabiny. Gdy sięgnąłem do drzwi, żeby je za sobą zamknąć, poczułem uderzenie w skroń. Głowę oplotła mi pajęczyna niebieskich iskier i straciłem przytomność.

* * *

W ciągu całego życia wiele razy i z różnych powodów traciłem przytomność. Pierwszy raz, gdy jako kilkuletni dzieciak źle oceniłem stosunek wysokości stołu do swojego wzrostu. Kolejne przypadki miały miejsce w dorosłości i wiązały się z nadmiarem alkoholu, licznymi bójkami, a także charakterem służby wojskowej.

Sama utrata świadomości nie była taka zła. Przychodziła znienacka, odcinała zmysły i okrywała wszystko ciemnością. Dużo gorzej wspominałem proces odzyskiwania przytomności. W najlepszym przypadku otwierałem oczy we własnym łóżku, czując naciągającego kaca i za nic nie mogąc sobie przypomnieć wydarzeń z ostatnich godzin. Czasami miałem tyle szczęścia, że obok siebie znajdowałem kobietę, której obecność sugerowała, że cokolwiek się działo, raczej nie było źle.

Zdarzało się jednak, wcale nierzadko, że budziłem się, leżąc w sali pooperacyjnej, na betonie lub w błocie. Bywałem pokryty swoją lub cudzą krwią, przysypany gruzem, ziemią, a nawet fragmentami ciała. Po otwarciu oczu widywałem nad sobą twarze zatroskanych kumpli albo ich trupy leżące wokół mnie. Gapiłem się w mrok, w światła latarni, w niebo poznaczone słupami dymu albo w płomienie. Czasami słyszałem ciszę zmaconą jedynie bzyczeniem owadów, ale bywało, że w głowie dzwoniła mi eksplozja, a uszy rozrywały płacz, krzyki i odgłosy strzelaniny. Budziłem się w jednym kawałku, brakowało mi kończyny, albo byłem podziurawiony jak sito.

Wydawało mi się, że zdobyte doświadczenie przygotowało mnie na każdy scenariusz. Okazało się jednak, że mam do uzupełnienia sporą lukę w wykształceniu.

Z niebytu przywołały mnie uderzenia gruchoczące żebra i masakrujące twarz. Jęknąłem. Otworzyłem powieki, uniosłem głowę i zobaczyłem szary, rozmyty świat, na horyzoncie poznaczone pomarańczowymi smugami zachodzącego słońca.

– Obudziłeś się wreszcie.

Głos zabrzmiał znajomo, ale mój ociężały umysł nie potrafił skojarzyć go z właścicielem. Jakiś czarny kształt zmaterializował się w polu widzenia i zderzył się z moją twarzą. Głowa odskoczyła w tył, uderzyła potylicą o coś twardego, po czym zwisła bezwładnie na piersi. W ustach czułem krew płynącą z pokiereszowanych policzków. Lepka ciecz wypływała spomiędzy rozchylonych warg i ściekała na koszulkę. Z trudem uniosłem głowę. Ostrość wzroku wracała powoli, wydobywając z rozmazanego obrazu rysy twarzy osoby klęczącej naprzeciwko mnie. Gdy ją rozpoznałem, pożałowałem, że nie jestem trupem, ale miałem przecucie, że to jeszcze nic straconego.

Spróbowałem się poruszyć, bez powodzenia. Rozejrzałem się dookoła. Siedziałem na betonie, a przeguby uniesionych rąk miałem przypięte plastikowymi opaskami do porzewiałej barierki okalającej dach budynku.

– Niewygodnie ci? – zapytał Redhard i nie czekając na odpowiedź, uderzył mnie pięścią w twarz. – Przyzwyczaj się, bo trochę tu posiedzisz, skurwysynie.

Pułkownik wstał, pochylił się nade mną i wyszczał:

– Zabijeś moją córkę.

Zasypał mnie kopnięciami. Musiał mieć bioniczne nie tylko ręce, lecz także nogi, a przynajmniej tak obstawiały moje masakrowane organy wewnętrzne. Nie wiem, jak długo to trwało, ale w pewnym momencie przestałem czuć ból i tylko wstrząsy targające ciałem uświadamiały mi, że bicie się nie skończyło. Nagle Redhard przestał mnie kopać i schylił się, żeby podnieść coś z ziemi. Uniosłem głowę i zobaczyłem w jego dłoniach chłodziarkę. Byłem przekonany, że zgubiłem ją w trakcie ucieczki.

Pułkownik otworzył chłodziarkę i wyciągnął z niej strzykawkę.

– Czyja to krew? – zapytał.

– Rek... – jęknąłem, nie wiedząc, dlaczego mu to mówię.

– Co? Po co...

Po jego minie widziałem, że wizja wskrzeszenia córki powoli do niego dociera. Wcześniej, zaślepiony rozpaczą i nienawiścią, nawet o tym nie pomyślał, jednak teraz, gdy ta możliwość stała się realna, pochłonęła go bez reszty.

Redhard ostrożnie włożył strzykawkę do chłodziarki i schował ją w kieszeni spodni.

– Gdzie są metamorfy? – zapytał.

Zrobił krok w moją stronę i z paskudnym uśmiechem złapał mnie za mały palec lewej dłoni.

– Gdzie są metamorfy? – powtórzył.

Nie odpowiedziałem.

– Jak chcesz – warknął. – I tak mi powiesz.

Powoli odgiął palec, aż rozległ się trzask kości. Zawyłem. Wierzgnąłem nogami i zacisnąłem dłonie w pięści. Opór w niczym mi nie pomógł. Pułkownik bez problemu odgiął kolejny palec i uchwycił go w bionicznej dłoni.

– Gdzie są metamorfy?

Tym razem nawet nie czekał na odpowiedź. Czując ból łamanej kości, targnąłem całym ciałem i poszorowałem podeszwami butów po betonie.

– Gdzie są metamorfy?

Trzeci palec pękł z trzaskiem. Szarpnąłem się kilka razy w bezsensownej próbie przerwania opasek, łzy popłynęły mi po policzkach.

Redhard kucnął naprzeciwko mnie, złapał za włosy i odgiął głowę tak, żebym patrzył mu prosto w twarz.

– Ty już się z tego nie wywiniesz – powiedział ściszym głosem. – Cokolwiek planowałeś, nic z tego nie wyjdzie. Jesteś trupem i dobrze o tym wiesz. Powiedz mi, gdzie są metamorfy, a umrzesz szybko.

Milczałem. Nie miałem wyjścia. Redhard miał rację. Z moich planów zesterzenia się przy Lisy nic nie wyjdzie, ale ona i Viki miały szansę, dlatego musiałem wytrzymać do momentu, aż pułkownik mnie zabije.

– Gdzie są metamorfy? – Redhard ponowił pytanie. – Nie bądź głupi, Arth. Przegrałeś, nie ma sensu dalej walczyć. Po cholere chcesz dłużej cierpieć?

Pułkownik milczał przez chwilę, najwyraźniej dając mi czas na podjęcie decyzji. Gdy cisza się przedłużała, pokręcił głową i wstał.

– Twój wybór – powiedział.

Ku mojemu zdziwieniu nie wrócił do łamania mi palców, tylko ruszył w kierunku stojącego kilka kroków ode mnie transportowca. Dopiero teraz zauważyłem, że pułkownik nie był sam. Przy pojeździe stało trzech operatorów ze zdjętymi hełmami. Patrzyli na mnie beznamiętnym wzrokiem. Dwóch z nich miało pokiereszowane twarze, a udo trzeciego oplatał opatrunek. Poczułem dziwną dumę na myśl o minach. Uśmiechnąłem się i poczułem, jak krew spływa mi po brodzie.

Redhard otworzył drzwi luku transportowego i zobaczyłem podeszwy butów należące do trupów upchanych na podłodze. Wśród nich dostrzegłem jedne mniejsze, ułożone nieco z boku, i poczułem ukłucie w sercu. Rek. Nie chciałem, żeby tak to się skończyło. Mogłem z nią nie rozmawiać, tylko od razu ją postrzelić albo znokautować. Może wtedy wciąż by żyła.

Redhard dotknął jej nogi i stał tak przez chwilę z pochyloną głową. Operatorzy spojrzeli na niego, ale szybko odwrócili głowy. Pułkownik sięgnął w głąb kabiny, wyciągnął z niej metalową walizkę i ruszył w moją stronę. Dobrze wiedziałem, co jest

w środku. Operatorzy również musieli rozpoznać walizkę, bo wymienili między sobą nerwowo kilka zdań.

Redhard klęknął przy mnie, otworzył wieko i wyciągnął strzykawkę wypełnioną brązową substancją.

– Poznajesz to? Widzę, że tak. Będziesz cierpieć, skurwysynu.

Ściągnął osłonę igły i przyparł moją głowę do barierki.

– Jedno oko ci wystarczy.

Wbił mi igłę tuż pod gałką oczną, ale nim wstrzyknął serum pamięci, ktoś złapał go za rękę i odciągnął ją razem ze strzykawką.

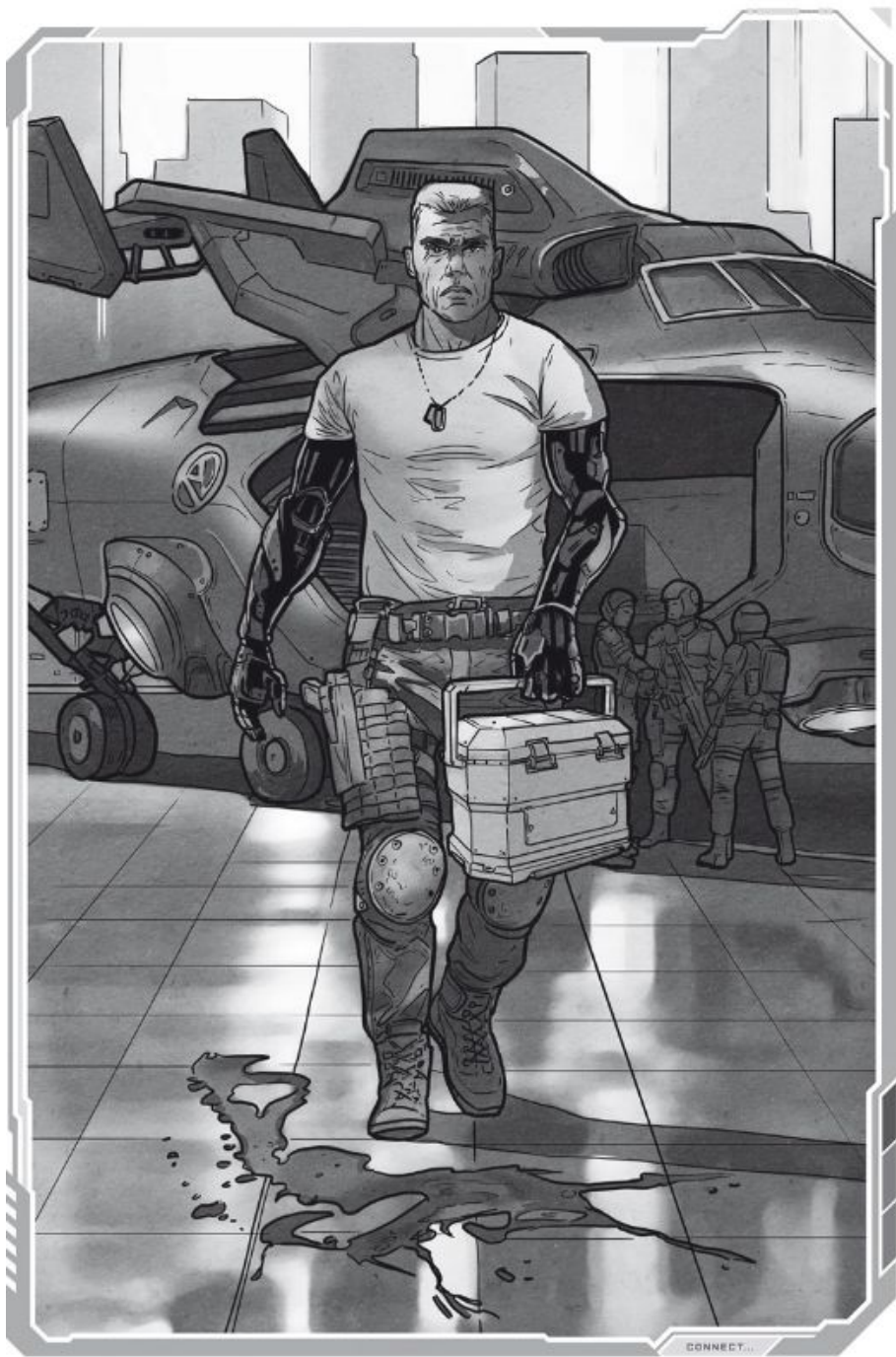
– Nie tak się umawialiśmy, Redhard! – Operator z obandażowanym udem trzymał pułkownika za przedramię. – Miałeś go obić i wyciągnąć z niego, gdzie są metamorfy, ale bez poważnego uszkodzenia.

– Puść mnie, Skart!

Pułkownik wyrwał rękę i wstał. Był o głowę wyższy od operatora.

– To ścierwo zabiło Rek i teraz za to zapłaci.

– Rozumiem...



– Gównu rozumiesz! – warknął Redhard. – To nie twoja córka leży martwa w transportowcu, więc się odpiardol!

– Nie po to go tu przywieźliśmy, żebyś go teraz zabił. – Skart nie ustępował.

– Chyba zapominasz, kto tu dowodzi, majorze. – Ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem.

– Doskonale pamiętam, pułkowniku. – Skart zrewanżował się podobnym tonem. – Rozkaz dyrektora Derhmana był wyraźny: pojmać Artha Vena i dostarczyć go do kwatery głównej. Pojmać, nie wykończyć.

– On – Redhard wskazał na mnie ręką – zabił twoich ludzi, a ty zamierzasz słuchać jakiegoś korpochuja?

– A co mam zrobić? – Skart zrobił krok do przodu i zadarł głowę. – Zajebać go i co później? Redhard, pracujemy razem od prawie dwudziestu lat. Służyłem pod twoimi rozkazami i nigdy ich nie kwestionowałem. Jakby to ode mnie zależało, to mógłbyś z nim zrobić, co tylko byś chciał, a ja bym ci z przyjemnością pomógł. Nienawidzę tego skurwysyna tak samo jak ty. Straciłeś dziś córkę, a ja przyjaciół i mam ochotę go za to zajebać. Ale to nie zależy od nas. Chuj, jakby jeszcze chodziło tylko o nas, to może bym zaryzykował, ale mam rodzinę. Dostaliśmy zadanie dostarczyć go żywego i w jednym kawałku. Wiesz, co się stanie z moją rodziną, jeżeli teraz go zabijemy. Vertas może wybaczyć niekompetencję, ale nie wybaczy braku posłuszeństwa.

– Skart...

– Nie, pułkowniku! Nie chcę jutro znaleźć się na jego miejscu. Otrzymałem zadanie i zamierzam je wykonać. Zabierzcie go! – rozkazał Skart, nie odwracając spojrzenia od Redharda.

Dwaj operatorzy podeszli do mnie, rozcięli więzy, złapali pod ramiona i pociągnęli w górę. Gdy tylko stanąłem na nogach, boleśnie wykręcili mi ręce, ale ich nie skuli. Pewnie doszli do bądź co bądź słusznego wniosku, że po zebranych łomocie nie dam rady stawić oporu.

– Lecisz z nami? – zapytał major, gdy szturmowcy wlekli mnie w stronę transportowca, lecz Redhard nie odpowiedział. – Jak chcesz.

Skart ruszył za nami.

Wystrzał. Jeszcze dwa. Operatorzy upuścili mnie na beton i padli obok. Wystrzał. Kroki. Wystrzał tuż nade mną. Wystrzał. Głowa leżącego obok operatora podskoczyła. Z otworu w czaszce wyciekł szaroróżowawy mózg. Kopnięcie obróciło mnie na plecy. Pułkownik stał nade mną z moim pistoletem w ręce.

– Myślałeś, że się wywiniesz?

Opadł kolanem na moją klatkę piersiową. Kolejne żebra nie wytrzymały i pękły. Poczulem ukłucie na szyi. Serum zadziało natychmiast. Serce ruszyło jak oszalałe, rany rozpały się bólem, jakby wypalano je kwasem. Poczulem paniczny strach.

Z palców lewej dłoni pułkownika wysunęły się czarne ostrza. Uniósł rękę, po czym wbił mi ją w pierś. Poczulem ostrza kaleczące żebra i zawyłem z bólu. Redhard chwycił mnie za mięsień i wstał, unosząc z ziemi. Próbowałem się szarpnąć, ale ból był zbyt wielki, więc zamarłem, starając się nawet nie oddychać. Pułkownik uderzył mnie pięścią

w twarz. Nos pękł z trzaskiem, poczułem szarpnięcie w piersi i upadłem na beton. W lewej dłoni Redharda pozostał krwisty kawałek mięśnia i skóry.

Pułkownik odrzucił wyrwany fragment ciała i wcisnął mi do rany na piersi piętę buta. Napał i przekręcił, jakby gasił papierosa.

– Gdzie są metamorfy? – warknął.

– Nie... znajdziesz... ich... – wystękałem i uśmiechnąłem się krwisto, chcąc go sprowokować.

Redhard złapał mnie za poły kurtki, uniósł i rzucił w bok z taką siłą, że przeleciałem w powietrzu kilka metrów. Podbiegł do mnie i w pełnym pędzie kopnął w brzuch. Poszorowałem po betonie i uderzyłem o barierkę, wyginając ją.

Tym razem pułkownik nie zamierzał dać mi czasu na dojście do siebie. Dосkoczył do mnie i zasypał kopnięciami.

– Gdzie są metamorfy?! – wykrzyczał, zdyszany, gdy uznał, że dostatecznie mnie zmiękczył.

Nie zamierzałem odpowiadać, a nawet gdybym chciał, raczej nie byłbym w stanie tego zrobić. Połamane żebra musiały przebić mi płuca. Z ust wylała się nowa fala krwi. Z trudem oddychałem. Pułkownik zdawał się tego nie zauważać. Bił mnie bez opamiętania.

– Kurwa, wyciągnę to z ciebie! Mów!

Podniósł mnie na nogi i przyparł do barierki. Poczulem na brzuchu ostrza protetycznych palców. Pułkownik jednym pociągnięciem dłoni rozplątał skórę i mięsień od pępka, aż po żebra. W mgnieniu oka zalałem się krwią. Nogi ugięły się pode mną, ale Redhard nie pozwolił mi upaść.

– Mów, gdzie są metamorfy! – ryknął i złapał za moje krocze. – Wykastruję cię! Gadaj, skurwysynu!

Wymamrotałem odpowiedź tak cicho, że nawet sam nie usłyszałem swoich słów. Redhard zauważył to, przechylił lekko głowę, po czym zbliżył ucho do mojej twarzy.

– Jeb się! – wykrztusiłem.

Chciałem na niego splunąć, ale zamiast tego wgrzyłem się w grubą, mięsistą szyję. Tętnica chrupnęła w zębach, a moje usta wypełniły się ciepłą krwią. Redhard próbował się cofnąć, ale objąłem go i przywarłem do niego ze wszystkich sił. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odchyliłem się do tyłu i ciągnąc pułkownika ze sobą, runąłem przez barierkę w pustkę.

* * *

Ocknąłem się w nocy. W pobliżu nie było żadnych latarni, ale blady blask księżycy dawał nieco światła. Leżałem na betonie i czułem się, jakby rozjechała mnie ciężarówka. Musiałem jednak przyznać, że nie było tak źle, biorąc pod uwagę wpierdol zebrany na dachu i finałowy lot. Żyłem, czego Redhard nie mógł powiedzieć o sobie. Leżał metr ode mnie z nienaturalnie wykrzywioną szyją i zdeformowaną czaszką. Kałuża krwi, która wyciekła z jęgo oczu, uszu i dziury w szyi, zdążyła już zakrzepnąć.

Po kilku podejściach udało mi się usiąść i oprzeć się plecami o metalowy kontener stojący przed budynkiem. Uznałem, że poczekam trochę, żeby nabrać sił, i spróbowałem poruszać nogami. Wydawały się nieco sztywne i nieposłuszne mojej woli, ale wyglądało na to, że są w jednym kawałku. Najwyraźniej musiałem upaść na Redharda, który przyjął na siebie większość energii uderzenia.

Brak pękniętego kręgosłupa wcale nie oznaczał, że wszystko było w porządku. Gdy tylko spróbowałem wstać, zakręciło mi się w głowie, upadłem na kolana i zwymiotowałem. Niespecjalnie mnie to zdziwiło. Straciłem dużo krwi, a wstrząs mózgu miałem na pewno.

Gdy moje wnętrzności się uspokoiły, otarłem usta i na czworaka podszedłem do Redharda. Obszukałem go i zabrałem strzykawkę z krwią Rek oraz mój pistolet. Poczulem się lepiej ze znajomą bronią w dłoni.

Ponownie dźwignąłem się na nogi. Nadal kręciło mi się w głowie, ale tym razem zdołałem utrzymać się w pionie. Wiedziałem, że muszę jak najszybciej spieszyć z tego miejsca, ale nie miałem pojęcia, który kierunek wybrać. Rozejrzałem się dookoła. Okolica przypominała opuszczone tereny fabryczne, więc była szansa, że koniec końców trafiłem do Mikry. Aktywowałem interfejs, żeby sprawdzić swoje położenie, ale zamiast mapy zobaczyłem na soczewkach same zakłócenia. Najwidoczniej pocisk obezwładniający uszkodził elektronikę. Brakowało jeszcze tylko, żebym się po tym wszystkim zgubił.

Nie mając lepszego pomysłu, ruszyłem przed siebie, w nadziei, że po drodze uda mi się ustalić, gdzie jestem. Szedłem powoli, zmagając się z zawrotami głowy. Nogi mi się płatały, a opuchnięte stopy bolały przy każdym kroku. Ciemność, zmęczenie i serum wiecznej pamięci krążące w krwiobiegu przypominały o sobie potokiem wizji i przebłysków pojawiających się bez ostrzeżenia i równie nagle znikających. Widziałem twarze, miejsca i wydarzenia. Niektóre z nich rozpoznawałem, inne zdawały się wytworami wyobraźni.

Po kilkuset metrach trafiłem na ogrodzenie z pordzewiałej siatki. Poszedłem wzdłuż niego i wkrótce zobaczyłem wiszącą na nim zniszczoną tabliczkę informującą o skażeniu. Przyjrzałem się pobliskim budynkom i poczułem ulgę, gdy je rozpoznałem. Od gniazda dzieliły mnie dwa, może trzy kilometry.

* * *

Widząc bryłę znajomej hali fabrycznej, poczułem się, jakbym wracał do domu. Przepchnąłem się przez uchylone drzwi. Na środku pomieszczenia dostrzegłem ciemny kształt transportowca. Ruszyłem w jego kierunku. Przechodząc obok pojazdu, dotknąłem wgniecionej burty, upewniając się, że on i ja naprawdę tu jesteśmy. Chłód stali i wyczuwalne rysy na lakierze dodały mi otuchy.

Dotarłem do windy i wcisnąłem guzik ze strzałką w dół. Drzwi rozsunęły się z cichym szumem. W środku kabiny zobaczyłem Redharda.

Sięgnąłem po pistolet i strzeliłem dwa razy. On też. Chyba spudłował. Aby się upewnić, lewą dłonią obmacałem swoją klatkę piersiową, jednocześnie celując w Redharda. Nadal stał w windzie i też dotykał swojej piersi. Coś było nie w porządku.

Potrzebowałem kilku sekund, żeby zrozumieć co.

Redhard miał ręce. Nie bioniczne protezy, ale zwykłe, ludzkie ręce...

Zrobiłem krok do przodu i zdałem sobie sprawę, że patrzę na przebite dwiema kulami i popękane odbicie Redharda. Gapiłem się na nie i czułem, jak robi mi się gorąco. Podeszedłem do ściany windy i zbliżyłem twarz do lustra. Nad źrenicą zobaczyłem napis: DX003.

* * *

Lisy otworzyła oczy i usiadła. Była zdezorientowana, a gdy tylko mnie zauważyła, podciągnęła prześcieradło pod brodę i cofnęła się na tyle, na ile pozwalało łóżko.

Czułem serce bijące jak oszalałe i fale emocji wstrząsające całym ciałem. Chciałem do niej podejść, przytulić ją, poczuć zapach... Nie mogłem. Byłem przypięty do krzesła plastikowymi opaskami. Sam je sobie założyłem. Nie ufałem sobie... jemu.

Spojrzała w bok i zobaczyła drugie łóżko, na którym leżała, wciąż nieprzytomna, Viki. Za minutę albo dwie ona też powinna się obudzić. Rozpoznała ją. Oczy Lisy otworzyły się szerzej, a usta bezdźwięcznie wypowiedziały imię. Powoli odwróciła głowę w moją stronę. Patrząc na mnie ze strachem, zadała pytanie, na które nie znałem odpowiedzi.

– Kim jesteś?

KONIEC



ANDRZEJ KWIECIEŃ

CHRZEST



Opowiadanie „Chrzest” ukazało się w numerze 12/2022 pisma „Nowa Fantastyka”. Wersję audio, a także materiały dodatkowe do książki znajdziesz w naszej aplikacji PulpUp.

* * *

– Łazarzu wyjdź na zewnątrz! – głos Jezusa zdusił szmery rozmów i odbił się od skalnej ściany. Oczy Żydów zgromadzonych przed grobem skierowały się na ziejący ciemnością otwór pieczary. Pokryci kurzem ludzie zastęgli w oczekiwaniu. Słońce piekło, pot zalewał oczy i spływał po karkach. W zapadłej ciszy słychać było jedynie muchy i trzepotanie szat targanych sporadycznymi powiewami wiatru. Z mroku grobowca wyłonił się owinięty bandażami człowiek. Marta, siostra Łazarza, ścisnęła dłoń stojącego obok Jezusa i jęknęła. Usta kobiety zadrgały, a po policzkach spłynęły łzy...

Rhett opuścił projekcję i wsparł się o blat półprzezroczystego terminalu, uformowanego na podobieństwo ołtarza. Czekał, aż bijące z podniecenia serce zwolni swój rytm, i dopiero wtedy utworzył oczy.

Panujący w kościele półmrok rozświetlały zawieszone wzdłuż białych ścian ekrany imitujące witraże. W centralnej części stało dziesięć rzędów ławek, zajętych przez wiernych nadal przebywających w projekcji. Siedzieli nieruchomo z głowami spoczywającymi na obszytych syntetyczną skórą oparciach. Z portu, umiejscowionego za prawym uchem każdego z wiernych, wychodził mieniący się czerwienią przewód, który biegł po podłodze ku ołtarzowi.

Zgromadzeni ludzie nie wydawali z siebie żadnych dźwięków i jedynie poruszające się białka wywiniętych oczu i drgania mięśni twarzy świadczyły o ekstazie, jakiej doświadczali, uczestnicząc w cudzie wskrzeszenia.

Rhett wyciągnął z portu za uchem wtyczkę terminala, rozluźnił koloratkę, starł rękawem krople potu polyskujące na bladym, nienawykłym do słońca czole i palcami zaczesał do tyłu posiwiałe włosy. Ponownie powiódł wzrokiem po wiernych i uniósł nad ołtarz bioniczną protezę prawej ręki. Wygrawerowany na wierzchu metalicznej dłoni krzyż rozświetlił się blado potwierdzając połączenie z terminalem. Na soczewkach osadzonych na niebieskich oczach pojawiło się trzydzieści osiem białych punktów reprezentujących zebranych w kościele ludzi.

Niektórych znał już niemal dziesięć lat, innych pozyskał dla Boga i wspólnoty zaledwie kilka tygodni wcześniej. Reprezentowali wszystkie możliwe rasy i płcie. Nie brakowało wśród nich młodych takich jak piętnastoletni Aron, jak i starców podobnych do sturzydziestoletniej Helen. Ilustrowali przeróżne stadia augmentacji ciała, od

minimalnych, organicznych przeszczepów, aż po te najbardziej inwazyjne, charakterystyczne dla silnego uzależnienia. Pelen przegląd społeczeństwa XXII wieku.

Członków wspólnoty, oprócz wiary, łączyło jeszcze jedno – Mikra, najbiedniejsza dzielnica Steris. Wszyscy pochodzili z niej i Rhett nie stanowił wyjątku. Urodził się tu, wychował i jak wielu uciekł stąd do lepszego życia. Dwadzieścia lat później znowu mieszkał w Mikrze, ale tym razem z wyboru, by krzewić wiarę w Pana.

Kapłan stuknął palcem w terminal i obok białych punktów ukazały się dane biochemiczne wiernych. Przeanalizował aktywność ich mózgów i gdzie było to konieczne zwiększył poziom endorfin, by zintensyfikować siłę doznań. Odczekał, aż wszystkie słupki zrównają się ze sobą, i zainicjował proces wyjścia z projekcji. Przewody łączące zgromadzonych z ołtarzem zmieniły kolor na niebieski, po czym zbladły i zgasły.

Wierni stopniowo odzyskiwali świadomość i otwierali oczy. Po kilku sekundach konsternacji, typowej dla wyjścia z projekcji, uśmiechali się i ze łzami padali sobie w ramiona. „Przeżywanie ewangelii nabrało nowego znaczenia” – pomyślał Rhett przyglądając się rozradowanym ludziom.

* * *

Uwaga! Goście – informowało czerwone okno alertu wyświetlone na półprzezroczystym ekranie. Rhett telepatycznie powiększył okienko i na obrazie z kamery rozpoznał swoich parafian, Meda i Rei Kay.

Małżeństwo należało do najstarszych stażem członków wspólnoty. On czarnoskóry mężczyzna średniej postury i w wieku metrycznym sześćdziesięciu lat, ona niewiele starsza, biała, nieco tęgawa, o naturalnie siwiejących włosach i protezach nóg. Gdy ich poznał wiedli typowe życie standardów, od rana do wieczora podłączeni do jednej z socjalnych projekcji NeuroLife, gdzie spędzali czas, jaki im przypadł między narodzinami a śmiercią. Rhett zwrócił ich Bogu, poznał ze sobą i nadał sens doczesnej egzystencji.

Alert mignął ponownie, rozświetlając pokój czerwoną poświatą. Kapłan spojrzął na zegar pokazujący godzinę dwudziestą drugą, przetarł zmęczone oczy i nacisnął przycisk zwalniający roletę zasłaniającą wnękę w ścianie z pojedynczym łóżkiem. Przegroda rozłożyła się cichym szumem, tworząc jednolitą, mleczną powierzchnię.

Rhett wstał od biurka, obciągnął rękawy koszuli, zakrywając protezę prawego przedramienia i tatuaż Golgoty z trzema krzyżami na lewej ręce. Rozjaśnił nieco światło, zlustrował biuro i zwolnił blokadę drzwi.

– Ojciec... – załkała Rei, gdy tylko drzwi się otworzyły. – Evlyn... Porzuciła nas... Już nie wierzy...

– Wejdźcie. – Rhett odsunął się na bok, zapraszając małżeństwo do gabinetu. Med wprowadził do środka zapłakaną żonę. – Posadź ją tam. – Ksiądz wskazał białą kanapę ustawioną pod ścianą naprzeciwko biurka.

Med pomógł usiąść żonie i zajął miejsce obok, cały czas trzymając jej dłoń. Rhett podszedł do lodówki, nalał szklankę wody i podał kobiecie.

– Napij się Rei i uspokój. Pamiętaj, że Pan nad tobą czuwa i nigdy cię nie opuści. – Ksiądz przesunął spod ściany krzesło i usiadł naprzeciwko pary. – Med, powiedz mi, co się stało.

– Evlyn... Ona... Straciła wiarę. – Mężczyzna spuścił głowę. – Zawiedliśmy ojczę.

– Pan oceni nasze winy i on będzie wydawał wyroki. Nie ubiegaj go w tym.

– Przepraszam, ojczę. – Mężczyzna nie podniósł wzroku wbitego w szare płyty podłogi.

– Dlaczego straciła wiarę? – Głos Kapłana był łagodny.

– Nie wiemy. – Med spojrzął na żonę trzymającą na kolanach szklankę ujętą w obie dłonie, po czym ponownie spuścił wzrok. – Evlyn nie było w domu dwa dni, nocowała u przyjaciółki. Wróciła dziś wieczorem, ale... Jakaś inna. Nie potrafię tego inaczej nazwać. Była nieobecna. Unikała nas. Jak nie ona. Pytaliśmy, czy coś się stało, ale powiedziała, że nie, i zamknęła się w pokoju. Nie wyszła nawet, żeby nam pomóc przy kolacji. Myśleliśmy, że może pokłóciła się z Rahel i dlatego tak się zachowuje, ale później, gdy chcieliśmy podziękować Panu za posiłek, milczała i...

– I...? – Rhett przerwał przedłużającą się ciszę.

– Powiedziała, że Pana nie ma... – podjęła Rei, a po jej twarzy spłynęły nowe łzy. Kobieta wzięła kilka oddechów, żeby się uspokoić, i kontynuowała. – Kazałam jej przeprosić i błagać Pana, by po takich słowach nadal pozwolił dostąpić jej zbawienia, ale ona... Ona powiedziała, że nie potrzebuje zbawienia, bo może żyć wiecznie. Powiedziała, że nie potrzebuje Boga, który każe jej umrzeć... Wtedy... – Płacz wstrząsnął ciałem Rei, uniemożliwiając mówienie.

– Co się wtedy stało? – Rhett skierował pytanie do próbującego pocieszyć żonę Meda.

– Rei kazała się jej wynosić z domu... – wydusił z siebie mężczyzna.

– Ja nie chciałam! – zaszlochała Rei i spazm wstrząsnął jej ciałem.

– Uspokój się, kochanie, proszę. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz... – Med gładził żonę po plecach, dopóki ta nie przestała płakać.

– Co się z nią stanie, ojczę? – Kobieta spojrzała na milczącego księdza. – Czy Pan jej wybaczy?

– Pan jest miłościwy.

– Ona nie chce z nami rozmawiać. Nie chce nas znać. Może ksiądz z nią porozmawia? – W spojrzeniu Meda pojawiła się isierka nadziei. – Ona księdza posłucha. Nawróci się.

– Nie. – Rhett pokręcił głową. – Na razie będzie lepiej, jak się z tym wstrzymamy. Evlyn, jest na pewno bardzo wzburzona po waszej kłótni. Dajmy jej czas na uspokojenie.

– To co mamy robić? – zapytała Rei łamiącym się głosem.

– Czekać. Wróćcie do siebie i odpocznijcie. To był dla was ciężki dzień.

– Ale co z Evlyn? Chcemy odzyskać naszą córeczkę. – Usta Rei zadrgały, zapowiadając kolejną falę łez.

– Zostawcie to mi. – Rhett wstał z krzesła, podniósł Rei z kanapy i spojrzał jej w oczy. – Nie martw się, odzyskasz córkę. Masz moje słowo.

* * *

Evlyn Kay spoglądała z ekranu monitora. Dwudziestoletnia dziewczyna o kręconych włosach i mleczno-czekoladowej skórze hipnotyzowała urodą. Ev, jak nazywali ją wszyscy, była bardzo przywiązana do swoich rodziców, a ci robili wszystko, by ich córka była szczęśliwa i dostąpiła zbawienia. Dziewczyna była na jak najlepszej drodze ku temu. Log zebrany podczas ostatniej mszy wskazywał na wielkie zaangażowanie i radość z przebywania we wspólnocie. Evlyn Kay miłowała Pana i jego Kościół. Tym bardziej było niepokojące to, co wydarzyło się kilka godzin wcześniej w domu Kayów.

Rhett przywołał na ekran zdjęcie młodego mężczyzny. Blondyn o opalanej skórze, z trzema kolczykami w brwi nad protetycznym okiem, dzięki któremu posiadał stały dostęp do poszerzonej rzeczywistości. Chris Grim był freelancerem pracującym dla banków osobowości przechowujących zapisy ludzkich umysłów, po to by gdy nadejdzie czas, wszczepić je w bioniczne ciała. Oczywiście wszystko to za odpowiednią opłatą, proporcjonalną do wizji wiecznego życia.

Chłopak miał talent, ale nie zawsze wykorzystywał go zgodnie z prawem, o czym świadczyła zebrana kartoteka. Większość popełnionych przestępstw dotyczyła nielegalnego manipulowania wspomnieniami i pewnie dlatego Chris, pomimo niezaprzeczalnych zdolności, wciąż pracował w podrzędnym banku osobowości, zamiast piąć się po korporacyjnej drabinie u któregoś z liderów branży.

Rhett sprawdził Chrisa już wtedy, gdy usłyszał o nim po raz pierwszy od zaniepokojonych rodziców Evlyn. Chłopak nie należał do wspólnoty i uczestniczył w czymś, co jej członkowie odrzucali – pogonią za nieśmiertelnością w świecie doczesnym. Pomimo tego Rhett nie był przeciwnym ich relacji. Wręcz przeciwnie. Wiara Ev była silna i Rhett ufał, że dzięki dziewczynie Chris stanie się dzieckiem Pana. Nie było to proste zadanie, ale droga do zbawienia nigdy nie jest prosta. Rhett wiedział o tym doskonale, a gdyby zapomniał wystarczyło, że spojrzał na protezę.

Uniół prawą rękę przed oczy i przyglądał się jej, kilkukrotnie zaciskając i rozluźniając metaliczne palce. W dniu, kiedy ją stracił, narodził się na nowo i przeszedł swój chrzest. W wannie, gdzie kilka minut wcześniej próbował popełnić samobójstwo.

Chciał umrzeć, by nie żyć bez Alice. Obydwoje byli psychiatrami i pomagali tym, którzy w świecie bez celu nie widzieli sensu istnienia. Uratowali wielu, ale nie potrafili pomóc sobie samym. W ostatniej wiadomości zostawiła mu tylko jedno słowo: „Przepraszam”. Był wściekły. Chciałby powiedzieć, że na siebie, za to że nie był w stanie jej pomóc, prawda była jednak taka, że był wściekły na nią. Za to, że go porzuciła, za to „przepraszam”, które w niczym nie pomagało i nic nie zmieniało. Był tak wściekły, że postanowił o niej zapomnieć.

Podpiął się do systemu, za pomocą którego tyle razy pomagał pacjentom wyrwać się z mroków depresji, i założył sobie blokadę wspomnień. Wyparcie na życzenie. Alice miała się już nigdy nie pojawić w jego życiu. Miała odejść na dobre, jakby nigdy nie istniała. Miała, ale tak się nie stało. Była w nim zbyt głęboko, była wszystkim, co miał, i zawsze znajdowała drogę do jego świadomości. Aż w końcu zrozumiał, że odejdzie tylko wtedy, kiedy on dołączy do niej.

Nim, leżąc w wannie, stracił przytomność, widział, jak nitka trucizny pnie się w górę ramienia. Później był cień wujka wyważającego drzwi do łazienki i ciemność. Po niej nastąpiło nowe życie i nowy on.

Rhett odsunął szufladę biurka i wyciągnął oprawiony w skórę dziennik misyjny należący kiedyś do najmłodszego brata babki. Analogowe świadectwo jego istnienia i służby Panu. Przez całe lata, dopóki nie odszedł, by oczekiwać na Sąd Ostateczny, wspólnie nawracali zagubione dusze, łącząc mądrość ewangelii z technologią i przywracając sens ludzkiemu istnieniu. Sens zakorzeniony w wierze.

Rhett otworzył dziennik na ostatniej stronie i delikatnie przesunął palcami po zapisanych tam słowach, wyczuwając wgłębienia każdej litery.

Życie bez śmierci nie ma sensu, a ta nie ma sensu bez Boga.

Zaufaj Panu, On Cię poprowadzi.

* * *

Rhett stał w bocznej uliczce wciśniętej pomiędzy wieżowce. Oparty o siedzenie sportowego motocykla wpatrywał się w kałużę zabarwioną światłami lewitującego billboardu. Ulewa ustała i tylko pojedyncze, spóźnione krople wciąż spadały na ziemię. W ciemności po drugiej stronie uliczki niewyraźnie rysowała się sterta śmieci, efekt decyzji firm sprzątających, które postanowiły zakończyć działalność na terenie Mikry. Najwidoczniej zdruzgotało im się szukanie swoich robotów u lokalnych handlarzy złomem.

Brak porządku nie był jedyną rzeczą, jaka odróżniała Mikrę od pozostałych dzielnic. Uwagę zwracała brak wszechobecnego w innych częściach Steris dozoru kamer. W sposób oczywisty wpływało to na bezpieczeństwo dzielnicy, ale z drugiej strony nadawało życiu tu posmak swoistej wolności. Mogło się wydawać, że Mikra jest enklawą anarchii, ale anarchia była jedynie pozorem. Władza nie ma zwyczaju bywać bezpiecznym kundlem i szybko znalazł się ktoś, kto ją przygarnął. Łukę po korporacjach, policji i AI wypełniły gangi. Wystarczyło wybrać stronę i być w jakiś sposób przydatnym, by czuć się w miarę bezpiecznym. „Tak jak Chris” – pomyślał Rhett, dotykając palcami emblematu Riveris przytwierdzonego do motocykla.

Uliczkę wypełnił odgłos zbliżających się kroków. Rhett unosił głowę i spojrzał w kierunku rozświetlonego billboardami wylotu. Na tle światła głównej ulicy odcinała się ciemna postać zbliżającego się człowieka. Po kilkunastu metrach nadchodzący mężczyzna zatrzymał się w pół kroku.

– Witaj, Chris! – Rhett odsunął się od motocykla i wskazał ruchem głowy na maszynę. – To twój, prawda? Świetny, miałem kiedyś podobny. W innym życiu, jeżeli mogę tak to ująć.

– Znamy się? – Chris spojrzął za siebie, oceniając odległość do ulicy.

– Nie, przepraszam. Nazywam się Rhett. – Ksiądz położył metaliczną dłoń na sercu i skłonił się nieznacznie.

– Ojciec Rhett? – W głosie chłopaka zabrzmiało zaskoczenie.

– Tak. – Ksiądz skinął głową i uśmiechnął się kącikami ust. – Słyszałeś o mnie?

– Słyszałem. – Chris podszedł do motocykla, czujnie przyglądając się księdzu. – Ev mi o panu opowiadała. Co ojciec tu robi?

– Czekam na ciebie? – Rhett nie zmienił pozycji, wodząc jedynie oczami za chłopakiem.

– Na mnie? – Chris wyciągnął kask ze schowka pod siedzeniem. – Po co?

– Domyślam się, że wiesz. – Kapłan uśmiechnął się przyjaźnie.

– Chodzi o Evlyn. – Chłopak odłożył kask na siedzenie, oparł się o motocykl i skrzyżował ręce na piersi.

– Tak. – Rhett skinął głową. – Mam nadzieję, że jest u ciebie.

– Jej rodzice pana przysłali? – zadrwił chłopak. – Sami nie mieli odwagę przyjść?

– Nie i raczej wolałbym, żeby nie wiedzieli o naszym spotkaniu. To samo tyczy się Ev, przynajmniej na razie. Med i Rey mogłyby to z niej wyciągnąć.

– O to nie musi się ojciec martwić. Ev nie chce z nimi rozmawiać.

– Obawiam się, że to, czego Ev chce, nie zawsze ma dla nich znaczenie. Zresztą, sam wiesz, o czym mówię.

– Tak... – Twarz Chrisa złagodniała. – Nigdy nie miałem okazji podziękować...

– Nie masz za co. – Rhett uśmiechnął się dobrotliwie.

– Mam. Evlyn mówiła, że to ksiądz ich przekonał. Bez tego nie bylibyśmy razem. Ev nie sprzeciwiłaby się rodzicom...

– Stać po stronie miłości to stać po stronie Boga.

Sterta śmieci zaszeleściła, przyciągając spojrzenia obu mężczyzn. Spomiędzy rozprutych worków wyszedł szczur i nic sobie nie robiąc z obecności ludzi, nieśpiesznie przebiegł przez uliczkę.

– Prawdziwy? – zapytał Rhett.

Chris spojrzął w miejsce, gdzie zniknął gryzoń. Żrenica bionicznego oka zmieniła kolor na zielony i wydała dźwięk zoomu.

– Tak, zwykły szczur, zero elektroniki. – Chłopak przeniósł wzrok na Rhetta. Bioniczne oko stało się na powrót czarne. – Dlaczego ojciec nie chce, żeby ktoś dowiedział się o naszym spotkaniu?

Kapłan zbliżył się do chłopaka i spojrzął mu w oczy.

– Dla dobra Ev. Z tego samego powodu, dopóki nie wyjaśnię pewnych rzeczy, będzie lepiej, jak zostanie u ciebie.

– Więc nie zamierza mnie ojciec przekonywać, żebym namówił ją do powrotu do domu? – zdziwił się Chris.

– Nie. – Rhett sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął paczkę papierosów. – Zapalisz?

– Ojciec pali? – Chłopak sięgnął po papierosa.

– Każdy ma jakąś słabość. – Kapłan włożył papierosa do ust i schował paczkę. – We współczesnym świecie coraz trudniej umrzeć, więc trzeba jakoś dopomagać śmierci.

Rhett zbliżył wskazujący palec protezy do swojego papierosa i rozżarzył końcówkę.

– Mały upgrade, a cieszy. – Kapłan przypalił papierosy.

– Przydatny. – Chris zaciągnął się dymem. – Co ojciec chce wyjaśnić?

Rhett zajął miejsce obok Chrisa.

– Nie czuję się dobrze z rzucaniem podejrzeń na moich najwierniejszych parafian, ale znam Ev od urodzenia i jej dobro jest dla mnie najważniejsze. Jakiś czas temu zauważyłem coś, co nie daje mi spokoju. Do tej pory przekonywałem się, że to nic takiego, ale ostatnie wydarzenia na nowo rozbudziły moje obawy... Wydaje mi się, że Ev ma jakiś paskudny wszczep w mózgu.

– Skąd ojciec o tym wie? – Chris zamarł z papierosem w pół drogi do ust i spojrzał na Rhetta.

– Gdy podłączałem ją do projekcji, pokazywały się dziwne błędy. Sprawdziłem, co mogą oznaczać, i nie było to nic dobrego, ale nie znam się na tym dokładnie. Liczę, że ty mi z tym pomożesz.

– Ja?

– Tak. – Rhett zaciągnął się papierosem i uśmiechnął do chłopaka. – Evelyn dużo mi o tobie opowiadała. Wiem, czym się zajmujesz.

– I nie przeszkadza to księdzu?

– Kłóci się to z moją wiarą, ale ocenę pozostawiam komuś innemu. – Rhett wskazał ręką na niebo. – Tylko On zna nas naprawdę i może wydawać wyroki. Myślisz, że mogę mieć rację co do Ev?

Chris rzucił niedopałek na ziemię i rozgniół go butem.

– Tak. Ma ojciec rację.

– Jesteś pewien? Jeżeli to prawda, to musimy coś z tym zrobić, nie możemy jej tak zostawić.

– Już to zrobiłem. – W głosie Chrisa zabrzmiała duma.

– Co?

Chris odepchnął się od motocykla i podszedł do puszki zwianej z kupy śmieci na środek uliczki. Kopnięciem posłał ją na swoje miejsce i odwrócił się do Rhetta.

– Powiem ojcu, ale liczę, że zachowa to dla siebie.

– Masz moje słowo.

– Dwa dni temu przyjechała do mnie Ev – zaczął Chris, zajmując swoje miejsce przy motocyklu. – Rodzicom powiedziała, że będzie u przyjaciółki. To był mój pomysł, żeby ich okłamać, bo nie chciałem, żeby robili jej problemy. Ev bardzo to męczyło, ale w końcu się zgodziła. Tamtej nocy... To był jej pierwszy raz... Sama tego chciała, ale gdybym wiedział, co będzie później, nigdy bym tego nie zrobił. Ev wpadła w histerię. Płakała całą noc i powtarzała, że zawiodła rodziców i Boga. Próbowałem z nią

rozmawiać, ale w ogóle mnie nie słuchała. To było nienormalne. Nie wiedziałem, co mam robić. Chciałem jej pomóc i ...

– Wpiąłeś się, żeby założyć blokadę. – Głos Rhett'a brzmiał łagodnie.

– Tak... – Chris spojrział na księdza z zaskoczeniem. – Ona nie wie, co się stało. Myśli, że zasnęła ze zmęczenia. Zablokowanie wspomnień to nic trudnego, normalnie jest to dużo łatwiejsze niż manipulacja zapisami w banku, tylko że z Ev nie było normalnie. Jak tylko się podłączyłem, trafiłem na jakąś blokadę. Nie był to zwykły firewall ani żadne ze standardowych zabezpieczeń terminala. Bardziej przypominało więzienne oprogramowanie kontrolne do wymuszania posłuszeństwa. Spróbowałem to usunąć i nawet częściowo mi się udało, ale nie mogłem znaleźć wszystkich punktów zakotwiczenia. Walczyłem z tym kilka godzin i w końcu jedyne, co osiągnąłem, to założenie blokady obszarowej. Po przebudzeniu Ev zachowywała się normalnie i nie histeryzowała, więc myślałem, że wszystko poszło dobrze... Jak widać myliłem się.

– Nadal nie wiesz, czym było to coś w jej głowie?

– Nie. Ale mam zapis i się dowiem.

– Ev go nie znajdzie przez przypadek?

– Nie, a nawet jakby znalazła, to nikt po za mną go nie odtworzy. Zadbalem o to.

– Dobrze. – Rhett odrzucił niedopałek i przeczesał palcami włosy. – Myślisz, że Med i Rei byliby w stanie zrobić coś takiego?

– A kto inny mógł to zrobić? – Chris spojrział na Rhetta. – Ev miała to w sobie od dziecka. W chwili instalacji mogła mieć rok, może dwa, nie więcej. Ona nigdy nie była wolna, nigdy nie miała wyboru, bo to coś kontrolowało ją od zawsze. Cały czas była w jakiejś pieprzonej, niewidocznej klatce. Rzygać mi się chce, jak o tym pomyślę. Jak można zrobić coś takiego swojemu dziecku?

– Rozmawiałeś z nią o tym?

– Nie... Ona i bez tego już się dostatecznie naciępała, chociaż sama nawet o tym nie wie. Zanim jej coś powiem, muszę mieć pewność, ale jeżeli to prawda... Nie daruję im.

– Dobrze zrobiłeś... – Rhett stanął naprzeciwko Chrisa i ścisnął ramię chłopaka. – Byłby z ciebie wspianały wierny.

– Nie sądzę... – Nie dokończył.

Rhett uniósł prawą dłoń. Z metalowych palców wystrzeliły błyskawice i uderzyły chłopaka w twarz. Chris zachwiał się, jego soczewki błysnęły czerwienią alertów i bezwładne ciało runęło na mokrą ulicę. Ksiądz klęknął na jego klatce piersiowej i z kieszeni płaszcza wyciągnął metalową tubę zakończoną stożkowatym ostrzem.

– Niech ci Bóg wybaczy twoje grzechy, synu – wyszeptał i wbił ostrze w czołkę Chrisa. Odczekał, aż ciało przestanie wierzgać, i nacisnął przycisk zwieńczający metalową tubę. Z rozwartego ostrza strzelił płomień. W powietrzu rozszedł się smród palonego ciała i elektroniki. Rhett zwolnił przycisk dopiero, gdy w oczodołach chłopaka pojawiły się płomienie.

Schował tubę do kieszeni i zaciągnął ciało w stertę śmieci, gdzie pomiędzy odpadami ukrył butelki z kwasem. Wylał ich zawartość na trupa i patrzył, jak pieniący się kwas przeżera się przez ubrania i ciało, pozostawiając po sobie jedynie bezkształtną maź. Na

koniec zarzucił cuchnąca breję śmieciami, zmienił ładunek w protezie i wywołał połączenie. W oknie komunikatora pojawiła się twarz Meda.

– Chciałbym spotkać się z twoją córką.

* * *

– Witaj, Ev. – Rhett odłożył na stolik niewielki tablet i wstał z kanapy ustawionej w salonie Kayów.

Mieszkanie wyglądało jak setki innych mieszkań w Mikrze. Zbudowane przez władze miejskie w ramach stałego programu socjalnego i wyposażone tak, by zaspokajało podstawowe potrzeby rodziny o promowanym modelu dwa plus jeden. Salon, dwa niewielkie pokoje i kabina prysznicowa zajmowały trzydzieści pięć metrów kwadratowych.

– Ojciec Rhett... – Zaskoczona Evlyn weszła do środka z wyraźnym wahaniem, rozejrzała się po pokoju i przez otwarte drzwi sprawdziła sypialnię rodziców – Gdzie mama i tato?

– Nie ma ich. Poprosiłem, żeby wyszli i zostawili nas samych.

– Jak to wyszli? Przecież tato mówił, że z mamą jest źle... Okłamał mnie...? – Niedowierzanie wymalowało się na twarzy dziewczyny. – On nigdy nie kłamie...

– Ja go o to poprosiłem. Mam nadzieję, że Pan mi wybaczy. Chciałem z tobą porozmawiać.

– Nie ma o czym. – Ev odwróciła się w stronę drzwi.

– Evlyn, zaczekaj! – Dziewczyna się zatrzymała. Rhett podszedł do niej, ujął za ramiona i spojrzał w oczy. – Chyba możesz poświęcić trochę czasu staremu przyjacielowi?

– Po co? – Evlyn zrobiła krok do tyłu. – Żeby ojciec próbował mnie nawrócić, przekonać do zmiany zdania? A jak się nie uda, to co? Każę mi się ksiądz wynosić z domu? Wolę od razu wyjść.

– Dobrze wiesz, że nie zrobiłbym tego. Chciałbym po prostu porozmawiać. Usiądź, zrób to dla mnie. – Rhett wskazał jej fotel i sam zajął miejsce na kanapie.

– Opowiesz mi, co się między wami wydarzyło? – zapytał, kiedy dziewczyna usiadła po chwili wahania.

– Przecież ojciec wie. Rodzice na pewno wszystko już powiedzieli.

– Chcę poznać twoją wersję.

– Nie wiem. – Ev przetarła oczy i spojrzała na Rhetta. – Sama tego nie rozumiem. Po prostu nagle do mnie dotarło, że to wszystko nie ma sensu. Że Boga nie ma. Może kiedyś i był, ale teraz... Świat go nie potrzebuje.

– Jesteś tego pewna? Wyrzyj przez okno i popatrz na ten nasz świat, który nie potrzebuje Boga. – Ksiądz wskazał okno wychodzące na wieżowiec po drugiej stronie ulicy. – Nie zobaczysz tam szczęścia, tylko agresję, depresję i brak jakiegokolwiek celu. Do piekła nie trzeba iść, żeby do niego trafić. Stworzyliśmy je sobie sami tu na ziemi. Nie doszłoby do tego, gdyby ludzie nie odwrócili się od Pana.

– Myśli ojciec, że wystarczy trochę wiary i nagle cały ten pozbawiony sensu świat zacznie być lepszym?

– Tak, tak właśnie myślę. Wierzę w to. – Rhett pochylił się do przodu. – Widzisz, Ev, żeby nadać cel życiu, które utraciło sens, trzeba go wypełnić czymś, co sensu nie wymaga. Wiara.

– Gdyby to było takie proste, to kościoły nadal by były pełne.

– Kiedyś znowu będą. Na wszystko trzeba czasu, ale świat tego potrzebuje. To jedyny sposób, żeby go ocalić, i zrobię wszystko co w mojej mocy, by do tego doprowadzić.

– Zamierza ojciec nawrócić cały świat? – Ev uśmiechnęła się z powątpiewaniem. – W jaki sposób?

– Bardzo prosto, nawracając jedną duszę na raz.

– To trochę zajmie, ale może kiedyś będziemy nieśmiertelni, więc ma ojciec szansę.

– Już jestem nieśmiertelny. – Rhett uśmiechnął się łagodnie. – Nie pamiętasz słów Pana? „Ja jestem Drzewem Życia. Kto wierzy we Mnie, ma życie wieczne”. Pewnego dnia wszyscy zmartwychwstaniemy.

– Właśnie, zmartwychwstaniemy, a ja nie chcę umierać. Chcę żyć. – Ev wypowiedziała ostatnie słowo z naciskiem.

– Jak długo? Sto, dwieście, trzysta lat? A co potem? Gdy już zobaczysz i doświadczysz wielokrotnie wszystkiego? Co, gdy już nic nie będzie nowe, pierwsze i niepowtarzalne? Uczucia wyblakną, pozostawiając po sobie pustkę, a twarze rodziców, przyjaciół, wrogów i dzieci znikną w otchłani wspomnień. Co wtedy zrobisz, po co będziesz żyła? Dla kogo? – Rhett zamilkł, czekając na odpowiedź dziewczyny, ale ta nie nastąpiła. – Nie potrafisz odpowiedzieć, bo nikt nie potrafi. Widzisz, moja Evlyn, w pogoni za wiecznym szczęściem i życiem ludzie zapomnieli o jednym. To śmierć nadaje wszystkiemu sens. To ona wyznacza granice, ustanawia reguły i pomaga podjąć decyzje. To ona motywuje do działania, by zdążyć, nim się po nas zgłosi.

– Może ma ojciec rację, ale ja spróbuję żyć po swojemu. – Ev wstała z krzesła. – Muszę już iść

– Nie zostaniesz porozmawiać z rodzicami?

– Nie i niech na razie nie dzwonią. Nie potrzebuję więcej kłamstw.

– Dobrze, skoro tak chcesz. – Rhett wstał z kanapy i zbliżył się do Ev. – Pozwól, że cię chociaż pobłogosławię.

– Mówiłam księdzu, że nie potrzebuję tego.

– Ty nie, ale ja będę czuł się lepiej. Błogosławieństwo od przyjaciela nie zaszkodzi. Zrób to dla mnie.

Ev zawahała się, ale w końcu pochyliła głowę, splotła dłonie i zamarła w oczekiwaniu. Rhett uniósł prawą rękę i zbliżył ją do twarzy dziewczyny. Niebiskobiała kula ładunku elektrycznego uderzyła w Ev. Nogi Evlyn ugięły się, ale nim upadła, ksiądz złapał ją i delikatnie złożył na fotelu. Odchylił głowę w lewo, odsunął włosy zasłaniające port za uchem i podłączył do niego przewód ukryty w protezie. Na wyświetlaczu zobaczył mapę umysłu. Sprawnie usunął blokady założone przez Chrisa,

a w ich miejsce stworzył nowe, blokujące wspomnienia o chłopaku. Skończywszy, pogładził nieprzytomną dziewczynę po twarzy.

– Moja dziecko, wkrótce wrócisz do Pana. – Rhett zrobił znak krzyża na czole Evlyn i zainicjował proces instalacji wiary. – Ja ciebie chrzczę....

KONIEC

KSIĄŻKĘ WSPÓŁTWORZYLI:



Redaktorka:

Marta Sobiecka, rocznik 1990. Absolwentka dziennikarstwa oraz filozofii na UKW w Bydgoszczy. Publikowała prozę i publicystykę na łamach m.in. „Nowej Fantastyki”, „Nieznanego Świata”, „Fenix. Antologii”. W 2019 roku wyróżniona w konkursie Pigmalion Fantastyki. W 2022 nominowana do nagrody Reflektor przyznawanej przez redakcję „Nowej Fantastyki”. W 2021 roku wydała cyberpunkowy zbiór opowiadań „Algorytm życia”, w którym po raz pierwszy pojawia się oficer Kaori Nakamura. „Chindōgu” to kontynuacja przygód japońskiej policjantki. Na co dzień pracuje jako redaktorka i korektorka.



Fot. Foto Studio Praga
Korektorka:

Joanna Kłos – redaktorka i korektorka. Wykonuje zlecenia dla wydawnictw i mediów, a także proofreading reklam i treści online. W pracy najbardziej cieszy ją różnorodność wyzwań.

fb.com/loremipsumkorekty



Fot. Anna Liminowicz
Lektor:

Filip Kosior to lektor audiobookowy znany z interpretacji bestsellerowych pozycji, jak „Shantaram”, serii „Malowany człowiek”, czy książek Jakuba Ćwieka. Nagrał ponad 500

audiobooków. Rocznik 1992, urodzony w Chorzowie. W 2015 roku ukończył Akademię Teatralną w Warszawie. Aktor w składzie niezależnego teatru Potem-o-tem.



Fot. Magdalena Bednarek/Okiem Meg

Grafik:

Piotr Sokołowski projektant graficzny, ilustrator. Autor okładek wielu książek, m.in. nowego wydania „Kłamcy”, czy książek autorstwa Marcina Mortki. Projektuje ilustracje do gier planszowych. Jest wielkim pasjonatem gier konsolowych. Dawniej dyrektor artystyczny magazynu technologicznego CHIP.

METAMORF
Andrzej Kwiecień

Wydawnictwo: Pulp Books
Redaktorka prowadząca: Agnieszka Włoka
Redakcja: Marta Sobiecka
Korekta: Joanna Kłos, Tomasz P. Bocheński
Grafika okładkowa: Piotr Sokołowski
Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Sokołowski

ISBN: 978-83-967566-3-3



PULPBOOKS SP. Z O.O.
ul. Łagiewnicka 121
91-863 Łódź

www.pulpbooks.pl

ŁÓDŹ 2023
WYDANIE PIERWSZE

Opracowanie ebooka
Katarzyna Rek

Spis treści

Strona tytułowa

Metamorf

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Chrzest

KSIĄŻKĘ WSPÓŁTWORZYLI:

Karta redakcyjna